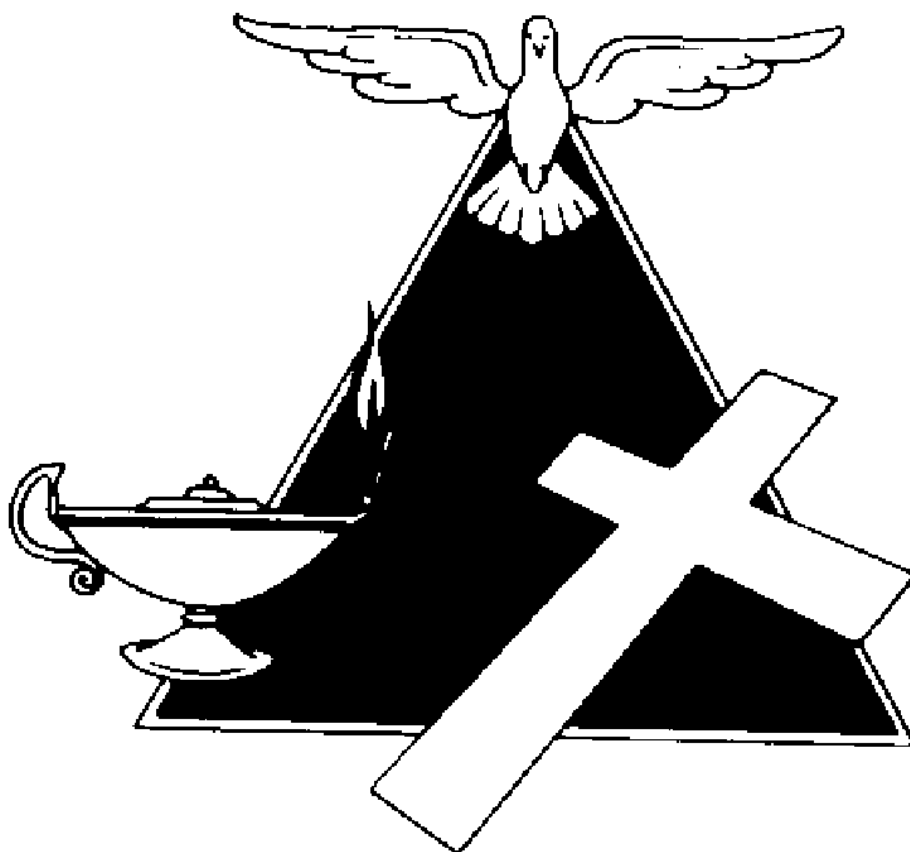


KS. TADEUSZ DEJCZER

**ROZWAŻANIA
O WIERZE**



SPIS TREŚCI:

Część pierwsza: Cnota wiary

Rozdz. I Wiara jako uczestnictwo w życiu Boga

Rozpoznawanie miłującej Obecności

Ślady Boga w świecie

Talenty

Rozdz. II Wiara jako przyłgnięcie do Chrystusa

"Nikt nie może dwom panom służyć"

Wola Boża a nasza wola

Rozdz. III Wiara jako oparcie się na Chrystusie i powierzenie się Jemu

Bóg jedynym oparciem

Postawa zawierzenia

Zdanie się na Boga

Zazdrosna miłość Boga

Rozdz. IV Wiara jako uznanie własnej bezradności i oczekiwanie wszystkiego od Boga

"Błogosławieni ubodzy w duchu"

Moc Boża potrzebuje słabości człowieka

Ubóstwo Chrystusa

Uznać, że wszystko jest darem

Posiew nieufności

Ubóstwo duchowe jako postawa dziecięctwa

Część druga: Dynamizm wiary

Rozdz. I Nawrócenie jako wymiar wiary

Felix culpa

Skutki zła

Nie można poznać Chrystusa bez człowieka

Jak patrzeć na własne zło

"Sakrament nawrócenia"

Patronowie sakramentu nawrócenia

Nawrócenie ku radykalizmowi

Rozdz. II "Cnota" humoru w służbie wiary

Jansenizm jako zagrożenie dla wiary

Humor jako "egzorcyzm"

Proch i pył

Patron humoru

Rozdz. III Próby wiary

Oczekiwanie na Boga

Wiara Abrahama

Próby wiary w życiu Maryi

Życiowe burze

Niepokój płynący z braku wiary

Pokój płynący z wiary

Rozdz. IV Pustynia

Symbolika pustyni

"Obyś był zimny albo gorący"

Pustynia miejscem ogołocenia

Pustynia - doświadczenie miłości Boga

Rozdz. V Środki bogate i ubogie w Kościele

Jezus ubogi

Skuteczność środków ubogich

Zwycięstwo przez wiarę

Macierzyństwo duchowe

Świadek Jana Pawła II

Część trzecia: Aktualizowanie się wiary

Rozdz. I Sakrament chrztu

Zanurzenie w śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa

Włączenie do Ciała Chrystusowego

Kapłaństwo wiernych

Rozdz. II Bierzmowanie

Ogołocenie warunkiem pełni

Owocność sakramentu bierzmowania

Dar Ducha dla Apostołów

Umiłować Kościół

Zobowiązanie do apostołstwa

Rozdz. III Eucharystia

Oczekiwanie na Eucharystię
Eucharystia kulminacją wiary
Kenoza Chrystusa

Rozdz. IV Wsłuchiwanie się w Słowo Boże

Przedmiotowa i podmiotowa relacja do Słowa Bożego
Obecność Boga w Słowie
Rola Słowa Bożego w modlitwie

Rozdz. V Modlitwa jako aktualizacja wiary

Przykład Chrystusa
Pierwszeństwo modlitwy
Rodzaje modlitwy
Modlitwa człowieka ubogiego
Różaniec Maryi
Człowiek nieustannej modlitwy

Rozdz. VI Miłość jako realizowanie się wiary

Agape
Rola uczuć
Kryzys więzi naturalnych
Pozwolić, by Chrystus w nas kochał
Nie można kochać człowieka, nie kochając Boga
Samorealizacja w Chrystusie

Część pierwsza: Cnota wiary

Czym jest wiara? - Teologalną cnotę wiary charakteryzuje niezwykła złożoność. W prezentowanych tu rozważaniach chodzi o określenie rzeczywistości wiary nie z punktu widzenia teologii dogmatycznej, lecz w ujęciu teologii życia wewnętrznego. Wiara nowotestamentalna to odpowiedź człowieka na objawienie się Boga w Jezusie Chrystusie. Jest ona uczestnictwem w życiu Boga, doświadczeniem życia Bożego w nas, pozwalającym nam widzieć siebie samych i otaczającą nas rzeczywistość jakby oczyma Boga. Jest przyłgnięciem do osoby Chrystusa, naszego Mistrza, Pana, Przyjaciela; oparciem się na Chrystusie - niezawodnej skale naszego zbawienia - oraz powierzeniem się Jego nieskończonej mocy i bezgranicznej miłości. W obliczu ludzkiej bezradności wiara staje się nieustannym uciekaniem się do niewyczerpanego miłosierdzia Boga i oczekiwaniem wszystkiego od Niego (por. G. Thils, *Sainteté chretienne*, 359).

Rozdz. I Wiara jako uczestnictwo w życiu Boga

Św. Tomasz z Akwinu mówi, że wiara przybliżyła nas do poznania Bożego. **Uczestnicząc bowiem w życiu Boga zaczynamy widzieć i oceniać wszystko jakby Jego oczyma - omnia quasi oculo Dei intuemur** (*In Boeth. de Trinitate*, qu. 3, a. 1).

Uczestnictwo przez wiarę w życiu Bożym sprawia, że stajemy się nowym człowiekiem, otrzymujemy nowe rozumienie rzeczywistości, nowe widzenie zarówno Boga, jak i otaczającej nas rzeczywistości doczesnej. Przez wiarę w rzeczywistości doczesnej zaczynamy dostrzegać działanie pierwszej przyczyny - Boga. Dostrzegamy Jego obecność i działanie zarówno w sobie, jak i w świecie przyrody czy historii. Dostrzegamy, że to On jest autorem, On jest twórcą wszystkiego, że to, co poznajemy tylko po ludzku, po świecku, nie jest pełną rzeczywistością, że jest to tylko widzenie czysto zewnętrzne, oglądanie jedynie drugorzędnych przyczyn, którymi Bóg się posługuje.

Wiara jest cnotą, która umożliwia kontakt z Bogiem i stanowi fundament życia nadprzyrodzonego. Ponieważ znajduje się ona u podstaw wszelkiej aktywności nadprzyrodzonej, wszystko dzieje się przez nią. O aktywności życia nadprzyrodzonego decydują zalety i niedostatki naszej wiary. Trudności w życiu nadprzyrodzonym wiążą się zawsze ze słabością wiary. Jest ona cnotą podstawową, ponieważ daje nam możliwość uczestniczenia w życiu Boga. Wiara to uczestnictwo w myśli Boga, to jakby osadzenie na naturalnych władzach duszy rozum nadprzyrodzony, który uzdalnia nas do myślenia tak jak Bóg zarówno o sobie samym, jak i o wszystkim, z czym stykamy się. Stąd wierzyć znaczy uzgadniać swoją myśl z Jego myślą i identyfikować się z Jego myślą.

Różnica między poznaniem naturalnym a poznaniem przez wiarę nie jest różnicą stopnia, a natury. Wiara przynosi zjednoczenie z myślą Boga i wewnętrzne uczestnictwo w świetle, w którym Bóg poznaje samego siebie. W tym sensie prowadzi do kontemplacji, jest wprowadzeniem w przyszłe poznanie Boga w wieczności.

Skoro przez wiarę wchodzimy w życie Boga, w życie Jezusa Chrystusa, to przez wiarę Bóg rodzi w nas własne swoje życie. Celem naszej wiary jest, byśmy myśleli tak jak Jezus Chrystus, żebyśmy pozwolili Jemu, żyjącemu w nas przez wiarę, posługiwać się nami, myśleć w nas, żyć w nas.

Dzięki wierze może dokonać się w nas całkowite przeobrażenie dotychczasowego sposobu widzenia, myślenia, odczuwania, przeżywania. Wiara zmienia naszą mentalność, każe nam stawiać Boga zawsze na pierwszym miejscu, troszczyć się o nastawienie całego życia na Niego, interpretować świat w Bożym świetle. Wtedy wszystkie nasze sądy, oceny, pragnienia i oczekiwania są opromienione światłem wiary. I tak realizuje się komunია wiary, która swoją pełnię osiągnie dopiero w miłości.

Otoczający nas świat stworzony jest formą przemawiającego do nas głosu. Jeżeli nasza wiara jest słaba, głos ten powoduje rozproszenie, odciąga nas od Boga i skupia na sobie. Ze wzrostem wiary następuje proces odwrotny. Świat zewnętrzny zaczyna wtedy mówić nam o Bogu, skupia nas na Bogu, przyciąga do Niego, staje się znakiem Jego obecności, pomaga nawiązać z Nim kontakt, staje się dla nas miejscem spotkania z Nim.

Wiara uzdalnia cię do przekraczania pozorów, do dostrzegania ponad przyczynami wtórnymi przyczyny pierwszej. Pozwala zobaczyć, że to, co dzieje się wokół, nie dzieje się mocą człowieka. Wiara umożliwia ci odkrywanie w stworzeniu śladów Boga. Daje ci możliwość dostrzegania w zjawiskach i zdarzeniach wyrazu woli Bożej, dostrzegania wydarzeń jako przejścia Boga.

Rozpoznawanie miłującej Obecności

Każdy moment naszego życia jest przeniknięty Obecnością, która kocha i obdarza. Żyć wiarą to umieć dostrzec tę miłującą nas i ciągle obdarzającą Obecność. Dzięki wierze Chrystus staje się stopniowo światłem, które prześwietla całe życie człowieka, prześwietla świat. Staje się On żywą, czynną Obecnością w życiu swoich uczniów. Każda chwila życia przynosi nam Jego obecność. Czas to Obecność pisana dużą literą - obecność Chrystusa w naszym życiu, osobowa obecność Boga, objawiającego się jako Ten, który czegoś od nas oczekuje. Bóg objawia się nam poprzez swoją wolę. A co jest Jego wolą? - Zawsze nasze dobro, bo Bóg jest Miłością. **Każda chwila twojego życia to moment spotkania z tą miłującą cię Obecnością.** Ktoś powiedział, że czas to sakrament spotkania człowieka z Bogiem. W tym znaczeniu każda chwila jest ewangelicznym talentem, ponieważ jest Obecnością, która do czegoś wzywa. Pan Bóg z każdą chwilą, czy to będzie chwila łatwa, czy trudna, wiąże łaskę. Święty Paweł mówi, że my w Bogu żyjemy, poruszamy się, jesteśmy (por. Dz 17, 28). Od Niego więc otrzymujemy dar istnienia, ale i dar oddychania, pożywienia, przyjaźni, dar każdego momentu życia.

Stwierdzenie św. Teresy od Dzieciątka Jezus, że wszystko jest łaską (por. *Żółty zeszyt*, 36), oznacza, że wszystko, cokolwiek dzieje się w twoim życiu, jest związane z jakąś formą łaski. Bóg przychodzi do ciebie w formie daru, w formie łaski, w formie wezwania - w tym znaczeniu wszystko jest łaską. Bóg chce, by wszystko stawało się dla ciebie "kapitałem" dobra. On nawet ze zła usiłuje wyciągnąć dobro. Zło nie może być łaską, ale Bóg w swojej wszechmocy i nieskończonym miłosierdziu może wyciągnąć dobro również z niego. Skutki zła mogą zaowocować w formie wielkiej szansy nawrócenia. Tak więc "wszystko jest łaską"

i wszystko jest talentem, ponieważ ciągle i wszędzie Pan stawia przed tobą szansę. Niezwykle ważne jest, byś uwierzył w tę stałą i manifestującą się w różny sposób Obecność.

Chwila obecna, każda chwila przynosi miłość, jak powiedział ks. kardynał Stefan Wyszyński. Łaska jest wyrazem miłości, więc każda chwila jest związana z miłością Boga, ponieważ związana jest z Jego łaską. Wtedy nawet, kiedy bardzo grzeszysz, Chrystus jest przy tobie i kocha ciebie. Gdybyś o tym pamiętał, gdybyś uwierzył, że jesteś stale zanurzony w miłosiernej miłości Boga, który nigdy cię nie opuszcza, z pewnością nie upadłbyś.

Wszystko, co cię spotyka, związane jest z miłością kochającego cię Boga, z Jego pragnieniem twójgo dobra. On jest obecny w twoim życiu niezależnie od tego, co robisz. Czas to sakrament twójgo spotkania z Bogiem i Jego miłosierdziem, z Jego miłością do ciebie i pragnieniem, by wszystko mogło ci posłużyć ku dobremu, by każda twoja wina stawała się "winą szczęśliwą". Gdybyś tak patrzył na każdą przeżywaną chwilę, to rodziłyby się w tobie spontaniczna modlitwa. Byłaby to modlitwa stała, bo przecież Pan jest przy tobie stale i stale cię kocha. Każda chwila twójgo życia przeniknięta jest miłością tej nieustannie cię ogarniającej Obecności.

Ślady Boga w świecie

Wiara pozwala nam dostrzegać wszędzie ślady działania Boga, rozumieć, że jest On obecny w nas, w naszym życiu duchowym, psychicznym, fizycznym. **Jeśli będziesz umiał widzieć wszędzie Boga, twoja modlitwa stanie się modlitwą wiary,** będzie modlitwą nie tylko słów, ale również modlitwą spojrzenia, podziwiania świata, modlitwą wdzięczności za wszystko, czym Bóg cię obdarza.

Dzięki wierze odkrywamy, że to tylko pozornie protagonistami historii świata są ludzie, że w istocie sam Bóg jest głównym jej protagonistą. Obecność Boga w historii dotyczy zarówno wydarzeń z dziedziny polityki, spraw społecznych, gospodarczych, jak też naszych spraw rodzinnych czy zawodowych. On obecny jest wszędzie i od Niego wszystko zależy. W Jego ręku złożone są zarówno losy każdego z nas, jak też losy narodów i świata. To wszystko poznajemy dzięki wierze, która rodzi w nas wewnętrzny pokój, pokój płynący z wiary, ze świadomości, że Ten, który jest nieskończoną mocą i nieskończoną miłością, trzyma wszystko w swoich pełnych miłosierdzia dłoniach, że prowadzi wszystko ze swoją nieskończoną mądrością i miłością do celu. Wiara daje nam poczucie bezpieczeństwa, pokój i przeświadczenie, że **stale jesteśmy ogarnięci miłością Boga.** Wiara to inne widzenie świata, inne widzenie zwłaszcza tego, co trudne. Wiara umożliwia nam poznawanie Boga w zjawiskach przyrody, w której wciąż możemy odkrywać ślady Jego działania, ślady Jego troski o nas i o otaczający nas świat.

Człowiekiem wielkiej wiary, rozpoznającym wszędzie ślady Boga, jest św. Franciszek z Asyżu. Jaka niesamowita wiara przebija z postawy Franciszka, który modli się słowami: Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego księżyc i nasze siostry gwiazdy. Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego wiatr i przez powietrze. Czy zdarzyło ci się kiedy, że gdy szedłeś łąką czy lasem, owiewany przez wiatr, dostrzegłeś w tym wietrze dotknięcie Boga. Jeśli tak, to jest w tobie coś z wiary św. Franciszka z Asyżu, który wszędzie widział przejaw działania Boga. - Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego wiatr; pochwalony bądź, który jesteś w tym wietrze. Pochwalony bądź przez orzeźwiający nas powietrze, którym możemy oddychać, bo Ty jesteś naszym oddechem i naszym powietrzem. Wszystko jest od Pana,

i czas pogodny, i pochmurny; brzydka pogoda też jest Jego pogodą. Żywa wiara umożliwia nam dostrzeganie Bożych cudów w otaczającym nas świecie i w naszej zwykłej codzienności. Nawet chlapa i deszcz są cudem Boga dla nas zdziałanym. Deszcz, który z pewnością nie jeden raz przemoczył cię do suchej nitki, jest też dotknięciem Pana. Jeśli to dostrzeżesz, będzie to twoja **modlitwa wiary**.

Bądź pochwalony, Panie, przez naszą siostrę wodę. Pijąc wodę, gdy jesteś spragniony, zwłaszcza w gorące i upalne dni, możesz doświadczyć obecności Pana. Do takiego widzenia świata nie jesteśmy przyzwyczajeni. A przecież w tej zwykłej, codziennej sytuacji można zobaczyć Boga, który tą wodą orzeźwia nas i zwilża nasze, może zeschnięte i spieczone usta. On jest w tej wodzie. Świadomość takiej obecności to postawa wiary. Dlatego św. Franciszek przypomina nam, że jest to "siostra woda" - symbol obecności i działania Boga.

Talenty

Bóg oczekuje od nas patrzenia na wszystkie przeżywane przez nas sytuacje, zwłaszcza sytuacje trudne, oczyma wiary. W przypowieści o talentach Jezus przestrzega nas przed zamknięciem się na płynące z wiary Boże poznawanie i przed gnuśnością w wykorzystywaniu wszystkiego, czym Bóg nieustannie nas obdarowuje. Pan, zostawiając jednemu ze sług dziesięć talentów, drugiemu pięć, trzeciemu jeden i zobowiązując ich do pracy, dał im szansę. Słowo talent, które w czasach Chrystusa oznaczało pewną wartość pieniężną, teraz oznacza raczej wartość intelektualną. Mówimy, że ktoś jest utalentowanym muzykiem, matematykiem. Sens przypowieści o talentach jest jednak o wiele głębszy. Myślenie ewangeliczne jest jakby odwróceniem o 180 stopni naszego myślenia świeckiego, czysto ludzkiego. Tak również jest w przypadku przypowieści o talentach. Talent to dar i pewne tworzywo, a jednocześnie szansa. **Chrystus, powierzając ci talent, obdarza cię zaufaniem i oczekuje, że go właściwie wykorzystasz.** Jeżeli dał ci jakieś zdolności, to nie jest Mu obojętne, co z nimi zrobisz. Jeśli jednak nie otrzymałeś tych zdolności - to też talent. **Talentem jest nie tylko otrzymanie czegoś, ale i brak czegoś.** W świetle wiary talentem jest na przykład zdrowie, które masz, ale i to, że chorujesz, też jest talentem. Jezus w każdym przypadku stawia ci pytanie: co robisz z tym talentem? Zmarnować bowiem można zarówno zdrowie, jak - jeszcze bardziej - brak zdrowia. A przecież **wszystko jest darem - talent to dar.** Jesteś nieustannie przez Boga obdarowywany. Talentem na przykład jest to, że nie potrafisz się modlić, a ty uważasz, że to nieszczęście. Ważne jest, co robisz z tą nieumiejętnością modlenia się. Może zakopałeś ten talent i mówisz sobie: no to nie będę się modlił. A przecież z niego można tak wiele wykrzesać; nieumiejętność modlitwy powinna pogłębiać w tobie głód Boga, a tym samym stać się środkiem twojego uświęcenia. Podobnie gdy masz problemy domowe, kiedy rodzina jest skłócona - to też twój talent i dana ci od Boga szansa. Co z nim robisz? Jeżeli załamujesz się i zniechęcasz, to zakopujesz go w ziemi. Człowiek wiary nie może nie dostrzegać głębszego sensu własnych doświadczeń, przy czym już samo poszukiwanie sensu jest jakimś obracaniem talentem. Jeżeli przeżywałeś lęk, np. boisz się cierpienia, śmierci, to też twoja szansa. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus miała wielki wstręt do pajaków. Kiedyś powiedziała o tym, jak bardzo musiała się przewycięzać, aby omiatać z pajęczyny niszę pod schodami (zob. *Żółty zeszyt*, 80). To bardzo pomagało jej w drodze do Pana. Był to złożony w jej ręce talent, którym umiała obracać.

Jeżeli pewne sytuacje wywołują u ciebie napięcia, to znaczy, że kryje się w nich jakby przysypany popiołem diament - twój talent. Co z nim robisz, jak go wykorzystujesz? Przecież wszystko ma służyć twojemu uświęceniu. W tym sensie wszystko jest łaską. Przygniatające

cię cierpienie czy różne niesprzyjające okoliczności to cały kompleks talentów. My jednak często jesteśmy jak ślepi lub jak małe dzieci, które wielu rzeczy nie rozumieją. Dopiero kiedy staniemy przed Bogiem, wszystko zobaczymy i zrozumiemy. Poznamy to całe morze talentów, w którym byliśmy zanurzeni.

Talenty dzielą się na mniej i bardziej cenne. Jeżeli ci coś wychodzi, udało ci się - to na pewno talent, ale jeśli ci nic nie wychodzi - to drogocenniejszy dar. **Niepowodzenia to bezcenne skarby dane ci w życiu, właśnie niepowodzenia.** Bóg kiedyś zapyta cię, tak jak ten ewangeliczny pan, który wrócił z podróży i zażądał rachunku od swoich sług, jak wykorzystałeś swoje życiowe porażki, które On dawał ci jako szansę, jako talent. Niekiedy jest ich tak wiele w twoim życiu - czy je wykorzystujesz?

Przypowieść o talentach to ewangeliczne wezwanie do nawrócenia. Musisz zacząć inaczej patrzeć na swoje życie, musisz patrzeć na nie oczyma wiary. Dopiero wtedy dostrzeżesz to nieustanne Boże obdarowywanie cię, dostrzeżesz, że całe twoje życie jest jakby kompleksem ukrytych szans nieustannej wewnętrznej przemiany. Poznasz, że wszystko jest łaską. Bóg, udzielając ci łask trudnych, niekiedy jakby wciska ci swój dar do rąk, a ty bronisz się, nie chcesz go przyjąć. Tymczasem **łaski trudne to najcenniejsze talenty twojego życia.** Jest ich nieraz tak wiele, bo Bóg chce, abys miał czym obracać.

Wiara to udział w widzeniu Boga, a Pan Bóg zupełnie inaczej patrzy na twoje życie. Jeśli wierzysz, to tak jakbyś oczyma Jezusa patrzył na swoje życie, na każdy swój dzień. Wtedy dopiero dostrzeżesz tę nieustanną szansę nawrócenia i uświęcenia. Wtedy zaczniesz też rozumieć cierpienie, które w świetle wiary jest krzyżem, a więc czymś, co cię wewnętrznie przemienia - o ile go przyjmujesz. Kiedy rozpoznajesz w swoich trudnych doświadczeniach krzyż, a tym samym szansę ku przemianie, wówczas rzeczywiście stają się one dla ciebie darem. Gdybyś dostrzegał te niezliczone talenty, które Bóg ciągle ci daje, nigdy nie byłbyś smutny. Wtedy również takie talenty, jak brak zdrowia, sytuacje konfliktowe, niepowodzenia, wywoływałyby w twoim sercu radość, że Bóg obdarza cię czymś tak bezcennym i okazuje ci tak niezwykle zaufanie. On ufa, że nie zakopiesz ani nie odrzucisz Jego darów. **On liczy na twoją wiarę,** ponieważ jedynie w świetle wiary rozpoznasz darowane ci talenty. Talentem jest wszystko, co dotychczas rozumiałeś i zapamiętałeś, ale talentem jest też słaba pamięć i to, że tak wiele rzeczy zapominasz, bo wszystko niesie łaskę i - w tym znaczeniu - wszystko jest łaską. **Tylko człowiek, który wierzy, potrafi być wdzięczny za wszystko.** Ta wdzięczność będzie objawiała się radością na twojej twarzy, radością, bo wszystko jest talentem ku obracaniu na dobro. To rozważanie o talentach nawiązuje do nauki św. Pawła i do słynnej tezy św. Augustyna: "Miłującym Boga wszystko pomaga ku dobremu, nawet grzech". Tak więc nawet upadek, a więc wielkie niepowodzenie, które jednocześnie rani Jezusa, może być szansą; w nim też kryje się jakiś dany ci talent, który możesz wykorzystać. Trzeba tylko twojej wiary, twojego nawracania się ku takiej wierze, byś mógł patrzeć oczyma Jezusa. On patrząc na twoje życie - może pełne niepowodzeń, trosk, konfliktów, nieudanych zamierzeń, trudności w życiu zewnętrznym i wewnętrznym - nigdy nie jest smutny. On patrzy z radością, bo spodziewa się, że to wszystko zaowocuje, że wykorzystasz to, że będziesz radosny i wdzięczny za wszystko, czym cię obdarza. "Miałaś dziś dużo cierpień - powiedziała Matka Agnieszka do ciężko chorej Teresy od Dzieciątka Jezus. Tak - odpowiedziała - ale skoro je Kocham□ Kocham wszystko, co mi Pan Bóg daje" (*Żółty zeszyt*, 140 n).

Podobnie patrzyła na swe życie św. Bernadeta, której "Testament" to niezwykle wymowne świadectwo wdzięczności za dostrzeżone obdarowanie:

Za biedę, w jakiej żyli mama i tatuś, za to, że się nam nic nie udawało, za upadek młyna, za to, że musiałam pilnować dzieci, stróżować przy owcach, za ciągle zmęczenie dziękuję Ci Jezu.

Dziękuję Ci, Boże mój, za prokuratora i za komisarza, za żandarmów, za twarde słowa ks. Peyramale

Za dni, w które przychodziłaś, Maryjo, i za te, w które nie przyszłaś - nie będę Ci się umiała odwdziaczyć, jak tylko w raju. Ale i za otrzymany policzek, za drwiny, za obelgi, za tych, co mnie mieli za pomyłką, za tych, co mnie posądzali o oszustwo, za tych, co mnie posądzali o robienie interesu dziękuję Ci Matko.

Za ortografię, której nie umiałam nigdy, za to, że pamięci nigdy nie miałam, za moją ignorancję i za moją głupotę dziękuję Ci.

Dziękuję Ci, ponieważ gdyby było na ziemi dziecko o większej ignorancji i większej głupocie, byłabyś je wybrała

Za to, że moja mama umarła daleko, za ból, który odczułam, kiedy mój ojciec, zamiast uścisnąć swoją małą Bernadetę, nazwał mnie "siostrą Mario Bernardo" dziękuję Ci Jezu.

Dziękuję Ci za to serce, które mi dałeś, tak delikatne i wrażliwe, a które przepelniłeś goryczą

Za to, że matka Józefa obwieściła, że się nie nadaje do niczego, dziękuję, za sarkazmy matki mistrzyni, jej głos twardy, jej niesprawiedliwości, jej ironię, i za chleb upokorzenia[□] dziękuję.

Za to, iż byłam taką, że matka Maria Teresa mogła o mnie powiedzieć: "Nigdy jej dość nie ustępujcie"

Dziękuję za to, że byłam tą uprzywilejowaną w wytykaniu mi wad, tak że inne siostry mówiły: "Jak to dobrze, że nie jestem Bernadetą".

Dziękuję za to, że byłam Bernadetą, której grożono więzieniem, ponieważ widziałam Ciebie, Matko, tą Bernadetą tak nędzną i marną, że widząc ją, mówili sobie: "To ta ma być?" Bernadetą, którą ludzie oglądali jak rzadkie zwierzę.

Za to ciało, które mi dałeś, godne politowania, gnijące, za tę chorobę, piekącą jak ogień i dym, za moje spróchniałe kości, za pocenie się i gorączkę, za tępe ostre bóle dziękuję Ci, mój Boże.

I za tę duszę, którą mi dałeś, za pustynię wewnętrznej oschłości, za Twoje noce i Twoje błyskawice, za Twoje milczenie i Twe pioruny, za wszystko. Za Ciebie - i gdy byłeś obecny, i gdy Cię brakło dziękuję Ci Jezu

(wg "Fonti vive", Caravate, wrzesień 1960).

Rozdz. II Wiara jako przyłgnięcie do Chrystusa

Wiara w sensie podmiotowym jest nie tylko uczestnictwem w życiu Boga, ale również egzystencjalnym przyłgnięciem do Chrystusa jako jedyne Pana i jedynej miłości. Implikuje to ze strony człowieka wybór i ukierunkowanie woli ku Chrystusowi jako ostatecznemu celowi i najwyższej wartości.

Przyłgnięcie do Chrystusa jest naszą odpowiedzią na Jego pełne miłości spojrzenie i na Jego wezwanie. Odpowiedź ta będzie zawsze naznaczona rysem przygody, ale i ryzyka. Jezus chce, byś przyłgął do Niego bez pytania o szczegóły i wszystkie konsekwencje twojego wyboru, bez pytania o przyszłość. Chce, byś jak Maryja powiedział - "tak", wyrażając tym swoje całkowite zawierzenie. Istota zawierzenia Jezusowi i przyłgnięcia do Jego osoby tkwi właśnie w tej niewiedzy, która jest ciemnością, i przez to domaga się wiary. Przyłgnięcie do Chrystusa jest zaczątkiem miłości, która będzie się realizowała przez jednoczenie naszej woli z wolą Chrystusa. To początek osobowej komunii z Bogiem.

Nasze przyłgnięcie do Chrystusa nie będzie możliwe bez oderwania się od tego, co może nas zniewalać. Apostołowie, by pójść za Chrystusem, musieli zostawić wszystko. Wybór Chrystusa jako najwyższej wartości zakłada też naszą zgodę na to, by On sam nas kształtował.

"Nikt nie może dwom panom służyć"

Wiara, która jest przyłgnięciem do Chrystusa jako jedyne Pana i jedynej naszej miłości, wymaga zwrócenia się ku Niemu jako najwyższej wartości. Całkowite przyłgnięcie do Chrystusa wymaga wolności serca, a więc odwrócenia od zniewalającej nas Mamony. Ewangelia mówi: "Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie" (Mt 6, 24). Jest dwóch panów - Bóg i Mamona, nie ma trzeciego. Tak mówi najwyższy autorytet Jezus Chrystus. Stosunek jednego pana do drugiego jest stosunkiem radykalnego przeciwieństwa. Ewangelia wyraźnie stwierdza: "albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował". Jeżeli miłuje się jednego pana, nienawidzi się drugiego. I dalej: "albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi". Jeżeli trzymasz z jednym, to drugim musisz gardzić. To bardzo mocne stwierdzenie. Nie możemy więc przyłgnąć do Chrystusa i służyć Jemu, służąc jednocześnie Mamonie, choć zawsze grozi nam pokusa godzenia się na kompromis i łączenia tego, co połączyć się nie da.

"Nikt nie może dwom panom służyć". Kim są ci "panowie" (w tekście greckim *kyrios*)? Jednym jest Chrystus, nasz jedyny, prawdziwy Pan - *kyrios*. Drugim jest Mamona - fałszywy

kyrios, fałszywy pan. Służyć Mamonie to zniewolić się i uzależnić od jakiegoś dobra materialnego czy duchowego. Zwróćmy uwagę, że Mamona nazwana jest panem, któremu służy się tak, jak służy się królowi. **Służymy albo Bogu i kochamy Go, i wtedy nienawidzimy Mamony, a więc naszego przywiązania do dóbr materialnych czy duchowych, albo - aż trudno powiedzieć - miłujemy nasze przywiązanie do tych dóbr i wobec tego - może nieświadomie - zaczynamy gardzić Bogiem.**

W rozpoznaniu, jakie rodzaje i oblicza Mamony pojawiają się w twoim życiu, pomoże ci przeanalizowanie twojej modlitwy. **Jeśli poznasz, o czym w czasie modlitwy najczęściej myślisz, wtedy zobaczysz, co jest dla ciebie skarbem.** "Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje" (Mt 6, 21). Twoje rozproszenia pozwalają ci rozpoznać, ile jest w tobie przywiązań do Mamony. Jeżeli dużo, to nie dziw się, że trudno ci o skupienie przy różańcu, w czasie adoracji czy podczas Najświętszej Ofiary.

Słowo "*kyrios*" w języku greckim oznacza absolutnego władcę i pana. Słowo zaś "*doouleuein*" [służyć] oznacza niewolniczą służbę absolutnemu panu i całkowitą przynależność do niego. Ewangelia mówi, że jesteśmy całkowitą własnością Pana, niezależnie czy to uznajemy, czy nie. Jesteśmy i pozostaniemy zawsze własnością Pana, którym jest Jezus.

Hebrajski termin "mamona" oznaczał początkowo jakiś skarb, a więc pieniądze bądź drogocenne rzeczy przekazane w depozyt. Nie miał on wówczas znaczenia pejoratywnego. Z czasem jednak nastąpiła ewolucja rozumienia tego terminu. Zaczęto uważać, że jeżeli złożyło się drogocenne rzeczy bankierowi czy komuś zaufanemu, to można na ten swój skarb liczyć i pokładać w nim swoją nadzieję. To był pierwszy stopień ewolucji. Mamona stawała się przedmiotem zaufania. A potem zaczęto pisać "mamone" dużą literą, i to był już ten fałszywy pan i władca. Nastąpiła wtedy niezwykła alienacja - **rzecz posiadała człowieka**. Wszystko, w czym pokładał nadzieję, zaczęło stawać się dla niego bogiem.

A w kim lub w czym ty pokładasz nadzieję? Na co liczysz? Kto jest twoim Bogiem? Jeżeli pokładasz nadzieję w bogu fałszywym, to musisz zaznać goryczy i rozczarowania, bo jest to pan, który wcześniej czy później cię zawiedzie. Będzie to jednak dla ciebie wielka łaska - zaczniesz się bowiem kruszyć i twoje zaufanie do Mamony.

Co może być tą Mamoną, która zniewala twoje serce? - Mogą nią być zarówno dobra materialne, jak i duchowe, na przykład przywiązanie do pieniędzy, przywiązanie do swoich dzieci, do pracy, a więc do tego, co tworzysz, nad czym pracujesz, do spokoju, a nawet przywiązanie do własnej doskonałości. Wszystkie te przywiązania powodują twoje zniewolenie, przynoszą ci niewolę. Człowiek winien przywiązywać się tylko do jednej jedynej rzeczywistości - do woli Boga. Każde zniewolenie zamyka cię na Boga i umniejsza twoją wiarę.

Jak poznać swoją Mamonę? - Otóż napięcie, stres, niepokój, pośpiech, smutek, które ci towarzyszą w życiu, to znaki wskazujące, że służysz jakiejś postaci Mamony. Są na przykład ludzie, którzy żyją w nieustannym napięciu. Jak więc wielkie musi być ich przywiązanie do czegoś przeciwnego Bogu. Ludzie wolni od przywiązań są pełni Bożego pokoju. Boży pokój buduje i umacnia zdrowie psychiczne, które rzutuje z kolei na stronę somatyczną. W ten sposób i duch, i psychika, i ciało uczestniczą w wielkiej wolności człowieka. Człowiek wolny od przywiązań jest jednocześnie wolny od zmarszczek na twarzy, od stresów, od chorób cywilizacyjnych. **Mamona systematycznie niszczy człowieka**. Ona nie tylko blokuje cię

w twoim dążeniu do Chrystusa i przyłgnięciu do Niego, ale niszczy również twoje zdrowie i twoją psychikę.

Wyraźnym **przejawem przywiązań** jest również twój **smutek w sytuacjach, gdy Pan Bóg ci coś zabiera**. Będzie ci zaś zabierał to, czym jesteś zniewolony, a więc wszystko, co jest twoim największym wrogiem, co powoduje, że twoje serce nie jest wolne dla Pana. Dopiero, gdy tego rodzaju sytuacje zaczniesz akceptować i przyjmować pogodnie, będziesz stawał się coraz bardziej wolny.

Na modlitwie, stając przed Panem, ukazuj Mu swoje ręce nie tylko puste, ale i brudne, skalane przywiązaniem do Mamony i proś, żeby On się zmiłował. Modlitwa może rozwijać się tylko w klimacie wolności. Jako uczeń Chrystusa jesteś powołany do modlitwy, i to modlitwy kontemplacyjnej, **aby jednak twoja modlitwa mogła stać się kiedyś kontemplacją** - miłosnym wpatrywaniem się w Jezusa Chrystusa, twojego Oblubieńca - **konieczna jest wolność twojego serca**. To dlatego Chrystus tak walczy o to, by twoje serce było wolne. Walczy poprzez różne wydarzenia, poprzez trudności i burze, przez stawianie cię w sytuacjach trudnych, podczas których daje ci szansę intensywnej współpracy z łaską. W tych wszystkich sytuacjach Chrystus oczekuje, że będziesz usiłował oczyścić swoje serce, zabrudzone przywiązaniami i służeniem Mamonie. Stąd wszystkie trudne chwile, wszystkie burze są dla ciebie łaską, są przejściem Miłosiernego Pana, który tak cię ukochał, że pragnie ci dać ten niesamowity dar - Twoje serce ma być nie podzielone, ma być sercem dla Niego.

Wierzyć to znaczy dostrzegać i rozumieć sens swojego życia zgodnie z optyką Ewangelii - najważniejszy jest Bóg. Twoje życie ma być ukierunkowane na Niego, na szukanie i budowanie przede wszystkim Jego królestwa z wiarą, że wszystko inne będzie ci przydane (zob. *Mt 6, 33*). Bóg chciałby obdarzyć całą swoją miłością każdego człowieka. Może jednak obdarzać tylko stosownie do otwarcia, w miarę zgody na ogołocenie z przywiązań, by powstało miejsce dla Niego. To wiara czyni w nas pustkę i próżnię dla Boga.

Wola Boża a nasza wola

O tym, czy nasza wiara pogłębi się kiedyś aż do całkowitego przyłgnięcia do Chrystusa, będzie decydowało nasze pragnienie pełnienia we wszystkim Jego woli i związana z tym zgoda na krzyżowanie naszej woli własnej. Przyłgnąć do Chrystusa to poddać własną wolę Jego woli. Życie wewnętrzne dokonuje się w ciągłym napięciu między wolą Boga i wolą człowieka. Napięcie to wypływa z faktu, że my ciągle obracamy się wokół własnej woli, wokół tego, co nam jest wygodne, podczas gdy wiadomo, że zakres naszych planów i pragnień, zakres tego, czego my chcemy, nie pokrywa się z tym, czego chce Bóg. Człowiek broni się przed przekreśleniem własnych pragnień. Broni się bądź świadomie, odmawiając Bogu podporządkowania się Jego woli, bądź jest to proces nieświadomy, który często przybiera formę obronnego mechanizmu racjonalizacji. Mechanizm ten ukazuje, jak wiele jest w naszych pragnieniach i działaniu szukania samego siebie.

Na czym polega ten mechanizm obronny racjonalizacji? - Polega on na nieświadomym przypisywaniu własnemu działaniu motywów przez nas akceptowanych przy jednoczesnym odrzucaniu nie akceptowanych przez nas motywów faktycznych. Mówiąc językiem potocznym powiedzielibyśmy, że do tego, co robimy, by zrealizować własne pragnienia i zamiary, dorabiamy pewną samousprawiedliwiającą teorię, która nas uspokaja. Klasycznym przykładem ilustrującym taki system obronny jest sytuacja, kiedy matka broni swojego syna

wobec synowej. W przypadku zaistnienia mechanizmu obronnego racjonalizacji matka będzie pełna przekonania, że kieruje się wyłącznie miłością, że ma do tego prawo, ponieważ jest jego matką i chce jego dobra. Występująca wtedy zwykle zaborczość miłości do syna pozostaje ukryta pod nieświadomym mechanizmem obronnym i dorobioną, usprawiedliwiającą taką postawę, subiektywną teorią. Przekonanie tak zachowującej się matki, że kocha ona samą siebie w swoim synu, że rozbija małżeństwo, że powinna usunąć się, a nawet stanąć raczej po stronie synowej niż syna, jest wówczas prawie niemożliwe.

Mechanizm obronny racjonalizacji jest tak silną i trudną do rozbrojenia "twierdzą" przede wszystkim dlatego, że jest nieświadomy. Jakże często każdy z nas dorabia sobie jakąś teorię usprawiedliwiającą niewłaściwe postępowanie. Mówimy - przecież muszę odpocząć, nie mogę się tym zająć, przecież mam prawo do tego, przecież skrzywdzono mnie, muszę się bronić itd. **Możesz nawet bardzo oddawać się rzekomej miłości, apostołstwu, szlachetnym zainteresowaniom, a u źródeł tego wszystkiego może leżeć ukryty i nieświadomy egoizm.**

To egoizm sprawia, że nasze życie wewnętrzne toczy się w ramach nieustannego napięcia między naszą wolą i wolą Boga. Jeżeli życie wiarą oznacza przyłgnięcie do Chrystusa i Jego woli, to w tym kontekście należy podkreślić, że szukanie własnej woli jest czymś najgorszym. Jest ono źródłem zła i grzechu, źródłem naszego nieszczęścia i zniewolenia. Przyłgnięcie do Chrystusa i Jego woli oznacza, że wtedy, gdy Jego wola jest niezgodna z naszą, my godzimy się, by On zburzył nasze plany, by je pokrzyżował. Wydarzenia z życia świętych bardzo często ukazują nam takie Boże krzyżowanie ludzkich planów, aby wola człowieka mogła jednoczyć się z wolą Pana.

Oto św. Teresa z Avila jedzie do Sewilli, gdzie ma założyć nową fundację zakonną. Są to trudne czasy reformy. Teresa zakłada wtedy nową, reformowaną gałąź karmelitanek. Założenie fundacji w nowej miejscowości wymaga, by pojechała tam jako przełożona z grupą siostr. Siostry jechały zwykle szczelnie krytym wozem, bo karmelitanki reformowane, tzw. bose, są zakonnicami klauzurowymi i nie mogą pokazywać się publicznie. Ukryte w opatulonym wozie czuły się bezpieczne i miały nadzieję, że dojadą na miejsce tak, by ich nikt nie widział, bo nie chciały być przedmiotem sensacji czy widowiska.

Był dzień Zesłania Ducha Świętego. Siostry wyjechały bardzo wcześnie rano. Teresa upatrzyła sobie kościół na dalekim przedmieściu Kordoby, gdzie postanowiły się zatrzymać. Tam ks. Julian z Avila miał odprawić dla nich Mszę św., tak by nie były widziane, a później siostry zamierzały jechać dalej. Wkrótce okazało się, że aby dojechać do tego wybranego kościoła, trzeba przejechać przez most. Most jednak o tak wczesnej porze był zamknięty, a pilnujący wejścia strażnicy oznajmili, że o klucz trzeba prosić burmistrza. Okazało się jednak, że burmistrz jeszcze śpi i że nie życzy sobie, by w takich sytuacjach go budzić. Trzeba więc czekać. Tymczasem wschodzi słońce i zaczyna się upał. Wokół wozu gromadzą się ludzie. Niektórzy, bardziej żądni sensacji, usiłują nawet zajrzeć do środka wozu. Wreszcie, po dwóch godzinach czekania, przyniesiono klucz i otworzono bramę. Wóz ruszył, ale okazało się, że nie mogą przejechać przez most, gdyż wóz jest za szeroki.

Zaczęły mijać następne godziny. - A św. Teresa tak pragnęła być w tę uroczystość Zesłania Ducha Świętego wcześniej na Mszy św. i tak bardzo zależało jej na tym, by siostry przejechały przez nikogo nie zauważone. Kiedy wreszcie sterczące części odpiłowano i siostry dojechały do kościoła za miastem, spotkało je znów coś nieoczekiwanego. Oto okazało się, że w tym właśnie kościele uroczystość Zesłania Ducha Świętego jest świętem patronalnym, i jak to

zwykle bywa w takim dniu, w kościele i przed kościołem jest pełno ludzi. Tego już było za dużo. Św. Teresa stwierdza, że była gotowa nawet nie być na Mszy św. Pozostałe siostry też chciały już z niej zrezygnować. Potem dopiero Teresa przyzna, że popełniłaby wielką winę. Na szczęście ks. Julian nakazał siostronom, by mimo tłumu poszły na Mszę św. Wyszły więc ze swego bezpiecznego ukrycia i zaczęły przechodzić przez zatłoczony kościół. Św. Teresa, która zwykle barwnie opowiadała, powie później, że kiedy ludzie zobaczyli je - okryte zasłonami, w białych samodziłowych strojach - zareagowali tak, jak uczestnicy igrzysk reagują na ukazanie się byka na arenie. Teresa wyzna, że była to w jej życiu jedna z najcięższych przykrości. Tą jedną z najcięższych przykrości obdarzył ją Duch Święty w swoją uroczystość.

Nie był to jeszcze koniec trudności. Po Mszy św. siostry musiały znów przejść pośród krzyczącego i szarpiącego je tłumu, a po wyjściu okazało się, że z powodu wielkiego upału nie można było jechać dalej. Konie nie chciały ciągnąć wozu. W wozie zaś było tak gorąco i duszno, że resztę dnia siostry spędziły pod mostem (*Księga fundacji*, rozdz. 24, 12-14). Z ich planów nic nie wyszło.

Duch Święty może zstąpić na człowieka z taką łaską, która zburzy wszystkie jego plany. To są Jego wielkie łaski ogołocenia. W takim potraktowaniu Teresy w dniu Zesłania Ducha Świętego była przecież Jego wielka miłość do niej. Ona tak sobie wszystko doskonale ułożyła i zaplanowała, a On te jej plany doskonale pokrzyżował, bo były niezgodne z Jego wolą. W tym wszystkim ważne jest jednak to, że dokonała się rzecz istotna - **Duch Święty "zstąpił" na Teresę i pozostałe siostry, bo one przyjęły Jego działanie: poddając się woli Bożej bardziej przyłgnęły do Chrystusa.** Duch Święty, ten wielki Budowniczy naszej wiary, ogołocił je i uczynił bardziej ubogimi, aby zdolne były przyjąć moc Tego, który w liturgii Kościoła zwany jest "Ojcem ubogich".

Rozdz. III Wiara jako oparcie się na Chrystusie i powierzenie się Jemu

Wiara jest uczestnictwem w życiu Boga, przyłgnięciem do Niego jako jedyne Pana, a także oparciem się wyłącznie na Nim. Oparcie się na Chrystusie i całkowite powierzenie się Jemu wyraża naszą pełną ufność wobec Niego. Człowiek jest ukierunkowany na szukanie poczucia bezpieczeństwa, na szukanie oparcia, co oznacza, że jest ukierunkowany na zawierzenie. Jest ukierunkowany na to, żeby mieć jakiś system zabezpieczeń, żeby na coś liczyć, żeby się czemuś czy komuś powierzyć. Poczucie bezpieczeństwa to podstawowy, najbardziej elementarny wymóg ludzkiej psychiki. Jego brak, czy to w sytuacji zagrożenia, czy zabrania nam jakiegoś oparcia, rodzi lęk. To ten rodzący się w nas lęk sprawia, że nasze dążenie do poczucia bezpieczeństwa jest bardzo silne.

Można mówić o opieraniu się na czymś i poczuciu bezpieczeństwa w sensie rzeczowym - gdy liczymy na to, co posiadamy; mogą to być np. pieniądze, uzdolnienia, umiejętności. Można też umacniać swoje poczucie bezpieczeństwa w sensie osobowym - gdy liczymy na kontakty i międzyludzkie relacje ukierunkowane na realizowanie jakichś naszych planów. Poczucie bezpieczeństwa w sensie rzeczowym wiąże się często z naszym ukierunkowaniem się na przyszłość. Człowiek o silnym oddźwięku psychicznym próbuje przewidzieć, co będzie w przyszłości, próbuje zobaczyć nawet jej szczegóły i stara się do wszystkiego przygotować, by nie być zaskoczonym. Chce w ten sposób jakby zapanować nad przyszłością, szukając w tym oparcia i poczucia bezpieczeństwa.

W naszym życiu takie poszukiwanie poczucia bezpieczeństwa występuje ciągle. Student, który idzie na egzamin, opiera swoje bezpieczeństwo na pamięci, na tym, czego się nauczył, albo na swoich zdolnościach. Może też liczyć na tak zwany los szczęścia, ale zawsze będzie próbował na czymś się oprzeć, czy to w sensie rzeczowym, czy osobowym. Wszystkie jednak ludzkie systemy bezpieczeństwa są niedoskonałe i nie mogą być doskonałe, ponieważ oparte są jedynie na naszych planach czy kalkulacjach; dlatego muszą zawodzić, i wtedy dochodzi do kryzysu. Jeśli zawierasz sobie, swoim zdolnościom, temu co posiadasz bądź ludziom, z którymi jesteś związany, to wcześniej czy później będziesz musiał się zawieść.

Aby nasza wiara była oparciem się na Chrystusie i powierzeniem się Jemu, musimy uznać, że tylko On jest naszym prawdziwym zabezpieczeniem. Płynące z wiary w Jego Słowo całkowite zawierzenie Chrystusowi jest jedyną właściwą odpowiedzią na Jego niezgłębioną miłość ku nam.

Bóg jedynym oparciem

Wiara to nieopieranie się na niczym poza Bogiem. Nie możemy opierać się na żadnym z Jego darów - jedynie na Nim samym, na Jego nieskończonej mocy i miłości nieskończonej.

Poruszająca jest scena, jaka miała miejsce na podwórku świątynnym, kiedy to Bóg przypatrywał się ludziom wrzucającym swe ofiary do skarbony. Co chwilę słychać było brzęk padających monet, a gdzieś z boku siedział Jezus Chrystus z Apostołami i przypatrywał się tym, którzy wrzucali swe ofiary. Jakaś wdowa wrzuca dwa małe pieniążki - jeden grosz, a Pan mówi: "Ona wrzuciła najwięcej [□], wrzuciła wszystko, co miała" (*Mk 12, 43-44*). Możemy podziwiać jej czyn: oddała wszystko, podczas gdy bogaci dawali jedynie z tego, co im zbywało. Widzieć sam gest, to jednak za mało. Należy podkreślić, że ona oddając wszystko "skazała" się na śmierć, ponieważ nie ma już więcej pieniędzy i nie ma z czego żyć. Ona sama podcięła swój system bezpieczeństwa materialnego. - Stąd to zdumienie samego Boga, wyrażone z zastosowaniem uroczystej formuły: "Zaprawdę powiadam wam: [□] Ona ze swego niedostatku wrzuciła wszystko, co miała, całe swe utrzymanie". Niepojęta wiara tej kobiety!

Człowiekowi pozbawionemu wszystkiego, całego systemu zabezpieczeń, zostają dwie rzeczy: albo rozpacz, albo płynące z wiary całkowite powierzenie się Bogu. Taka właśnie musiała być wiara wspomnianej wdowy. Dla niej Bóg musiał być wszystkim, musiał być jej jedynym oparciem. Z naszych systemów zabezpieczeń może ogołacać nas Bóg, ale możemy to robić również sami. Następuje wtedy czynne oczyszczenie nas ze zniewoleń. Tak było w przypadku ewangelicznej wdowy - ona sama się ogołociła.

Możemy też mówić o podobnym zawierzeniu wdowy z Sarepty, która spotkała się z Eliaszem (zob. *1 Krl 17, 8-16*). Wdowa miała małe dziecko, a w jej kraju panował głód. Cały jej zapas żywności stanowiły ostatnie garści mąki i ostatnie krople oliwy. I w takiej sytuacji Eliaz mówi do niej: Przyrządź mi podpłomyk. Uwaga wdowy, że są to ostatnie garści mąki, niczego nie zmienia. Eliaz ponawia swoją prośbę: Przyrządź mi. Kobieta odpowiada: Tak, zrobię to, o co mnie prosisz, a potem pomrzemy - ja i moje dziecko. Była to rzeczywiście zgoda na śmierć, ponieważ na nic już nie można było liczyć, nawet na tę garść pożywienia. To Bóg przez Eliasza zabrał wdowie tę resztę żywności, która dawała jej jeszcze pewne poczucie bezpieczeństwa. Teraz nie ma już nic.

Co Pan Bóg robi z takimi ludźmi? Biblia mówi, że potem tej mąki zaczęło przybywać, tak że pomimo przyrządzania posiłków ciągle jej wystarczyło, podobnie było z oliwą - wdowa i jej dziecko nie umarły. Bóg nie może zostawić człowieka, który powierzając się Jemu całkowicie sam oczyszcza się od Mamony i odcina od niszczącego jego wiarę systemu zabezpieczeń. **Bóg patrzy z zachwytem na cud ludzkiej wiary, zwłaszcza tej ufnej, dziecięcej, która wyraża się oddaniem wszystkiego.** Człowiek takiej wiary potrafi powiedzieć: Boże, jeżeli taka jest Twoja wola, to jestem gotów nawet umrzeć, ponieważ wierzę, że Ty mnie kochasz. **Tak głęboka wiara rodzi świętych.**

Gdy Matka Teresa z Kalkuty, chcąc zająć się umierającymi przy świątyni bogini Kali w Kalkucie, występuje z klasztoru indyjskich siostr Loretanek, ma oczywiście trochę rzeczy i trochę pieniędzy. To wszystko jednak w krótkim czasie rozda umierającym. A co potem? Kiedy przychodzi wieczór, zostaje właściwie tylko jedno: Panie Boże, jeżeli chcesz, to umrę. W Indiach, w Kalkucie, nikt jej nie pomoże, ponieważ tam patrzy się raczej obojętnie na człowieka umierającego. W świetle religii hinduistycznej i prawa karmy stan ten uważa się niemal za normalny. Wyznawca hinduizmu powie, że skoro umierasz śmiercią głodową, to znaczy, że na to zasłużyłeś. Jeżeli umrzesz z głodu, to za to odrodzisz się w lepszej egzystencji później, po śmierci. Matka Teresa z Kalkuty zdaje sobie sprawę z tego, że może nie znajdzie nikogo, kto zechce jej pomóc. Jednocześnie jednak wierzy, że jest przy niej Bóg, i odtąd jedynie na Nim będzie się opierać. Szkołą wiary i szkołą świętości Matki Teresy z Kalkuty będą te dni i wieczory, kiedy po oddaniu wszystkiego zasypia z tym strasznym, śmiertelnym zmęczeniem i przekonaniem, że na jutro nie ma nic ani dla siebie i tych paru kandydatek do nowego zgromadzenia, ani dla tych rzesz umierających, którym trzeba przecież pomóc. Nie ma nic. W takiej sytuacji - braku jakiegokolwiek ludzkiego zabezpieczenia, rodzi się Matka Teresa z Kalkuty, ta, na którą świat patrzy dziś ze czcią i uznaniem. Jest to człowiek, który wierzy, wierzy aż do szaleństwa, który przeszedł trudną szkołę zdobywania wiary w sytuacjach, gdy po ludzku nie było się na czym oprzeć. Kiedy wali się nam cały system zabezpieczeń, pozostaje albo rozpacz, albo wiara - albo straszna rozpacz, albo heroiczna wiara.

Jeżeli nie będzie w tobie szaleństwa wiary i jeżeli nie będziesz ufał do końca szalonej miłości Boga ku tobie, to wciąż będziesz posuwał się na drodze wiary żółwim krokiem albo będziesz się cofał. Budując system ludzkich zabezpieczeń, nie pozwalasz na wzrost wiary. Twoja wiara pogłębi się dopiero wówczas, gdy zgodzisz się, by Pan Bóg był dla ciebie jedynym oparciem i jedynym zabezpieczeniem. **On przecież ma prawo domagać się, żebyś oddał Mu wszystko, wszystko w sensie zawierzenia.**

Z punktu widzenia wiary to bardzo dobrze, że nieraz oparcie usuwa ci się spod nóg, ponieważ z tym związana jest łaska. Nie możesz przecież opierać się na niczym poza Bogiem, na żadnym z Jego darów, ani na żadnym ze znaków Jego obecności.

Stary Testament ukazuje nam rozegraną w epoce Sędziów walkę Filistynów z Izraelitami, w wyniku której po wielkiej klęsce Arka Przymierza dostała się w ręce nieprzyjaciół. W Pierwszej Księdze Samuela czytamy: "Filistyni przygotowali szyki bojowe przeciw Izraelitom i rozgorzała walka. Izraelici zostali pokonani przez Filistynów, tak że poległo na pobojuwisku, na równinie, około czterech tysięcy ludzi. Po powrocie ludzi do obozu starsi Izraela stawiali sobie pytanie: »Dlaczego Pan dotknął nas klęską z ręki Filistynów? Sprowadźmy sobie tutaj Arkę Przymierza Pańskiego z Szilo, ażeby znajdując się wśród nas wyzwoliła nas z ręki naszych wrogów«. Lud posłał więc do Szilo i przywieziono stamtąd

Arkę Przymierza Pana Zastępów, który zasiada na cherubach. Przy Arce Przymierza Bożego byli tam dwaj synowie Helego: Chofni i Pinchas.

Gdy Arka Przymierza Pańskiego dotarła do obozu, wszyscy Izraelici podnieśli głos w radosnym uniesieniu, że aż ziemia drżała. Kiedy Filistyni usłyszeli głosy okrzyków, mówili: [□] »Biada nam!« (I Sm 4, 2-8). - I epilog tego wydarzenia. "Filistyni stoczyli bitwę i zwyciężyli Izraelitów, tak że uciekł każdy do swego namiotu. Klęska to była bardzo wielka. Zginęło bowiem trzydzieści tysięcy piechoty izraelskiej. Arka Boża została zabrana, a dwaj synowie Helego, Chofni i Pinchas, polegli" (I Sm 4, 10-11).

Można by pytać, dlaczego Izraelici ponieśli tak wielką klęskę. Przecież prosząc o przyniesienie Arki Przymierza, która była znakiem obecności Boga wśród nich, i wiążąc z nią nadzieję na zwycięstwo chcieli oprzeć się na Nim. Jak zrozumieć to, że Izraelici, mimo iż starali się opierać na Bogu, ponieśli klęskę i że właśnie wtedy zabrana im została Arka - znak szczególnej obecności Boga.

Tekst ten jest bardzo ważny, ponieważ umożliwia nam głębsze zrozumienie, co to znaczy oprzeć się wyłącznie na Bogu. - Arka Przymierza to nie Bóg, to tylko znak Jego obecności. Izraelici dopuścili się swoistego manipulowania tym szczególnym Bożym znakiem. Epoka Sędziów to okres raczej ponury w dziejach narodu wybranego. Wiemy, że w życiu Izraelitów działo się wtedy wiele zła, również w życiu dwóch synów arcykapłana Helego, którzy "nie zważali na Pana" (I Sm 2, 12). W tym kontekście tekst biblijny ukazuje nam, jak nie zważający na Pana Izraelici manipulują znakiem obecności Boga. Sądzą, że po sprowadzeniu Arki Przymierza zwycięstwo powinno nastąpić niejako automatycznie. Wiara tymczasem to nieopieranie się na żadnym z Bożych darów ani żadnym ze znaków Jego obecności, a jedynie na Nim samym, na Jego mocy i miłości. Tą zaś mocą i miłością nie można już manipulować.

Podobnie stało się ze świątynią, która też była dla narodu wybranego takim szczególnym znakiem obecności Boga i która została zburzona, ponieważ to nie ona miała stanowić dla narodu wybranego stałe oparcie. Bóg powoływał ten naród do płynącego z wiary oparcia się wyłącznie na Nim samym.

Postawa zawierzenia

Chrystus, który oczekuje naszego powierzenia się Jemu, sam całym swoim życiem uczy nas postawy zawierzenia. Przyszedł On do nas jako Dziecko, Niemowlę, które samo nic nie może, absolutnie nic, i jest całkowicie zdane na opiekę dorosłych. Jezus więc już w momencie przyjścia na świat staje się dla nas krańcowo ogołcony. Dlaczego tak się ogołocił? Próbuj czasem odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Czy gdyby Chrystus przyszedł na świat ze swoją potęgą, gdyby usunął okupację rzymską siłą i siłą przeprowadził sprawiedliwość społeczną, czy gdyby siłą usuwał zło, łatwiej byłoby ci się Jemu powierzyć? - Raczej bałbyś się Go, bo człowiek boi się przemocy, nawet użytej w imię dobra, prawdziwego czy rzekomego. Jezusa zaś bezbronnego, przychodzącego do nas w swojej niemocy nie możesz się bać. Jeżeli jest w tobie coś z lęku przed Bogiem, to tajemnica Betlejem przypomina ci, że **Boga nie wolno się bać**. On tak się unżył, tak się ogołocił i stał się tak bezbronnym, żeby tobie było łatwiej przyłgnąć do Niego i Jemu się powierzyć. On przez to okazał swoją miłość posuniętą aż do szaleństwa. Chrystus ogołcony

i ubogi chce iść przed nami na drodze naszego огоłocenia się z ludzkich zabezpieczeń. Nasze prawdziwe i autentyczne огоłocenie jest dla nas drogą do naśladowania Jezusa.

Bóg, chcąc uczynić Abrahama ojcem naszej wiary, musiał go wykorzenić. Abraham stał się pielgrzymem poruszającym się jakby w ciemności, bo przecież nie wiedział, dokąd idzie. Zostawiając własny kraj i swój dom, staje się człowiekiem огоłoconym, takim, który poza Bogiem nie ma niczego. Musi więc ciągle liczyć na Boga i do Niego się odwoływać. Wolność od własnego systemu zabezpieczeń zdobywa się na pustyni, która огоłaca człowieka.

To, na czym próbujesz się opierać, te różne ludzkie systemy zabezpieczeń przyjmują w ujęciu ewangelicznym określenie Mamony. Możesz w nią wierzyć i w niej pokładać nadzieję, ale to nie ona jest prawdziwym Bogiem. **A przecież to, od czego Bóg chce cię uchronić w twoim życiu, to ta fałszywa wiara.** Dlatego tak bardzo zależy Mu na tym, byś odrzucił boga fałszywego. Bogiem staje się wszystko, w czym pokładamy nadzieję. Jeżeli pokładasz swoją nadzieję w bogu fałszywym, to twoja nadzieja jest bezsensowna. Ktoś, kto ma fałszywego boga, nie ma wiary albo jego wiara jest bardzo słaba, znikoma. Jeśli jest w twoim życiu fałszywy bóg, któremu służysz, na którym się opierasz, to musisz z konieczności zaznać goryczy i rozczarowania, ponieważ ten fałszywy pan, któremu powierzasz się i w którym pokładasz nadzieję, wcześniej czy później musi cię zawieść. Wtedy też coś w twoim zawierzeniu zawali się.

Chrystus mówiąc, że nie wolno dwom panom służyć, rozwija swoją myśl w formie symbolicznych obrazów i poprzez nie uczy, jak mamy ufać, jak mamy zdobywać to pełne zawierzenie Jemu jako prawdziwemu Panu. W swym Kazaniu na Górze mówi o liliach polnych. Kwiaty te to czerwone maki, takie przypominające trochę maki spod Monte Cassino. Palestyńskie maki i anemony to właśnie lilie polne. Ich specyfiką jest to, że są zadziwiające w swym pięknie, ale i w swej krótkotrwałości. Taki kwiat żyje tylko jeden dzień. Zdumiewające jest, że Pan Bóg stwarza taki jednodniowy kwiat, tak przy tym wspaniały, że - jak powie Jezus - jest wspanialszy od największej chwały Salomona. Jakże Bóg troszczy się o niego, uwydatniając w nim cały blask piękna. Ten kwiat jest własnością Pana, tak jak ty. Mówiąc o beztroskich ptakach, Jezus apeluje o nasze nawrócenie, o to, byśmy uwalniali się od ludzkich napięć, niepotrzebnych zmartwień, zbytnich trosk (zob. *Mt 6, 26-34*). **Mamy być jak lilie polne i jak ptaki niebieskie, które On, prawdziwy Pan, kocha i o które sam się troszczy.**

Wezwaniem do takiego pogłębienia naszej wiary, by Bóg stał się naszym jedynym oparciem, jest prośba Modlitwy Pańskiej: "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". Odnajdujemy tu wyraźną aluzję do sytuacji, jaka miała miejsce na pustyni w czasie przejścia narodu wybranego do Ziemi Obiecanej. Wiadomo, że pustynia stwarza sytuację trudną. Dlatego były bunt, było nieposłuszeństwo. Pan jednak zapalił się zazdrosną miłością, jak mówi Biblia, i zmiłował się nad swoim szemrzącym, grzesznym ludem - zesłał mu spadającą codziennie mannę. W okresach pustyni wychodzi z człowieka to, co osadzone jest w nim bardzo głęboko - egoizm, nieufność, chęć tworzenia sobie własnych systemów zabezpieczeń. U narodu wybranego ujawnił się na pustyni brak zawierzenia Bogu mimo cudów, jakie się działy. Ujawniła się też jego chciwość, wyrażająca się pragnieniem, by zagarnąć manny jak najwięcej, choć Mojżesz w imieniu Pana oznajmił: Tylko na **dzień dzisiejszy** możecie zbierać mannę. Wielu jednak nie posłuchało Mojżesza i zbierało jej więcej. Wtedy następował dalszy ciąg cudu, tylko jakby o innym wymiarze. Otóż cała ta zebrana reszta, to - więcej, czego nie należało zbierać, co miało stanowić system zabezpieczeń, następnego dnia okazało się zgniłe

albo zjedzone przez robaki (zob. Wj 16, 14-21). Naród wybrany nie mógł zabezpieczyć się tak po ludzku, przez gromadzenie zapasów. Bóg przecież wyprowadził go na pustynię po to, by go ogołocić. "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". Dzisiaj nam daj - na dzisiaj, nie na jutro i nie na cały miesiąc. Przecież jesteśmy twoją własnością. Przecież Ty troszczysz się o swoją własność. Pan musiał walczyć na pustyni z ludzkim egoizmem, który sprawiał, że naród wybrany nie chciał zawierzyć Panu nawet w obliczu cudu. Musiał walczyć o wiarę swojego ludu.

Dojrzałość wiary to gotowość oddania Panu wszystkiego, co On nam daje, to całkowite powierzenie się Jemu. Do niczego nie powinniśmy się przywiązywać, nawet do darów duchowych, nawet do Komunii św. Jest tylko jedna rzeczywistość, do której wolno się nam przywiązać i w przypadku której nie ma przywłaszczenia - wola Boża. Poza wolą Bożą wszystko jest darem i środkiem do celu, a nie celem. Jeżeli dar sobie przywłaszczymy, Bóg albo dokona jego zniszczenia, albo - doświadczając nas cierpieniem - ukaże nam, że sami z siebie nic nie mamy, że jesteśmy bezradni i że to On nas wszystkim obdarza.

Niezwykle wymownym świadectwem wiary św. Leopolda Mandica był gest pustych dłoni. Te skierowane ku Bogu puste ręce to znak nieprzywłaszczania sobie żadnych darów, gest niezwykłej wiary, dokonującej cudów w jego posłudze w konfesjonale. Nasz gest pustych dłoni może być skierowany do Boga nie tylko w sprawach duchowych, jak to było w wypadku św. Leopolda Mandica. Gest pustych rąk, wyrażający naszą postawę oczekiwania wszystkiego od Boga, winien nam towarzyszyć we wszystkich sprawach naszego życia: w pracy zawodowej, w wychowaniu dzieci, w oddziaływaniu na innych, w modlitwie. Gest pustych dłoni winien towarzyszyć również twojemu oczekiwaniu na największy z Bożych darów, jakim jest On sam, czyli Miłość, która cię ogarnia i w której jesteś zanurzony.

Zdanie się na Boga

Twoje oparcie się na Bogu jako zawierzenie nie będzie w pełni czyste, jeżeli nie przyjmie formy **zdania się na Boga**. Może bowiem być tak, że zawierzysz Mu, licząc że On zrealizuje twoją wolę. Panie Boże, zawierzam Ci, bądź wola moja - jest to przecież ciągle szukanie siebie. Oparcie się na Bogu musi stać się zdaniem się na Niego. - **Panie, niech będzie tak, jak Ty chcesz**, ponieważ Ty kochasz mnie i wiesz najlepiej, co jest mi potrzebne, i co potrzebne jest tym, których kocham, za których się modlę. W życiu wewnętrznym i w naszym dążeniu do Boga zawierzenie ma stawać się całkowitym zdaniem się na Pana.

Z okazji Bożego Narodzenia 1887 Celina, siostra św. Teresy od Dzieciątka Jezus, chciała jej sprawić radosną niespodziankę. Zrobiła mały papierowy statek i spuściła na wodę. Wewnątrz statku znalazła się postać małego, śpiącego Jezusa i wypisane słowa: "Zdanie się" (Pisma, t. I, 204,). Było to hasło modlitwy Teresy i Celiny. Są wody, fale życia, na których Bóg ma je prowadzić, a one mają zdać się na Jego miłość.

Teologia życia wewnętrznego mówi, że dopiero zdanie się na Boga rodzi wewnętrzny pokój człowieka. Tak długo będziesz niespokojny, tak długo twoje serce będzie się trzepotać jak ćma przy lampie, pełne niepokoju, trosk i kłopotów, jak długo nie będziesz próbował zdać się na Pana. **Nie ma innej drogi do pokoju jak tylko pełne zdanie się na Jego wolę, to znaczy na Jego miłość.**

Do świętej Gertrudy, która modliła się o zdrowie dla swojej przyjaciółki, Chrystus powie: Przeszkadzasz Mi, Gertrudo, prosząc o zdrowie jej, ponieważ ta choroba jest wielką łaską, a ona poddaje się mojej woli i szybko się uświęca. To francuskie słowo *abandon*, wypisane przez Celinę dla Teresy na małym statku, ma wielką głębię. Oznacza porzucenie własnych planów i wizji, **zostawienie wszystkiego po to, by móc oddać się w pełni Panu**. My jesteśmy tak pełni własnych planów i własnych wizji, podczas gdy wola Boża i Boże plany są często inne. I wtedy te nasze plany Bóg musi krzyżować. **Są to jednak błogosławione krzyżowania naszych planów, bo krzyżuje je miłość**, która zawsze chce naszego dobra.

Wielką przeszkodą w zdaniu się na Boga może być pokutujące w nas często **skrzywione oblicze Boga**. To skrzywienie może polegać na tym, że Bóg jest dla ciebie Sędzią, że boisz się Go. To straszne - bać się Boga, bać się Tego, który jest miłością. Może dlatego boisz się zdać na Niego, że obawiasz się, co On z tobą zrobi. Musisz jednak pamiętać, że taki **świadomy lęk przed Bogiem bardzo rani Jego Serce**. Co innego lęk instynktowny, ten, który rodzi się sam, spontanicznie, w sferze psychofizycznej, który właściwie nie podlega naszej kontroli. Gdy jednak świadomie w sferze duchowej (w swych myślach i w swej woli) godzisz się na lęk wobec Boga, jest to wielka niewierność. Jeżeli w ten sposób boisz się Boga, ludzi, świata, wtedy nie ma w tobie zawierzenia i nie ma wiary w ogarniającą cię Bożą miłość.

Św. Teresa z Lisieux powie krótko, że trzeba być jak dziecko i o nic się nie martwić (zob. *Pisma*, t. II, 396). W tym jednym zdaniu jest cały program: Zdać się na Pana, to znaczy nie martwić się niczym, bo przecież On cię kocha i o wszystko się troszczy. Dopiero wtedy zaczniesz przesączać się do naszej duszy, do naszego serca autentyczny pokój. Od zagrożeń, które rodzą lęk, nie możemy się uwolnić, ale bardzo ważne jest, żeby ten lęk usuwać świadomym aktem zdania się na Pana.

Kiedy św. Paweł prosi Jezusa, by usunął jakąś wielką trudność z jego życia, Chrystus odpowiedział mu, że moc w słabości się doskonali (zob. *2 Kor* 12, 8-9). Św. Teresa napisze, **że ufność i wiara doskonałą się pośród lęków**. Jak więc ważną rolę odgrywa w ekonomii Bożej twój lęk. Jest on po to, by prowokować w tobie akt wiary. Lęk jest próbą wiary i Pan Bóg dlatego go dopuszcza, abys wzrastał w wierze. Ufność i wiara doskonałą się pośród lęków.

Lęk może być czynnikiem chorobotwórczym i u wielu ludzi tak rzeczywiście jest. Lęk leży u podstaw nerwic i psychoz. **A przecież może on być punktem wyjścia ku wielkiemu zawierzeniu**. Wszystko zależy od ciebie. Lęk jest rzuconym ci wyzwaniem. Co z nim zrobisz? Czy zgodzisz się być zniewolony jego ciężarem? Czy raczej będziesz próbował czynić akty zdania się na Tego, który jest nieskończoną mocą i nieskończoną miłością. Wszystko rozgrywa się ciągle w ramach naszej decyzji. Lęków w sensie stanów emocjonalnych nie możemy się pozbyć, a przynajmniej nie zawsze. Lęk jednak może być czynnikiem pogłębiającym naszą wiarę, tak jak każda pokusa.

Do św. Małgorzaty Marii Alacoque, wielkiej apostołki kultu Serca Jezusowego, Pan Jezus z niezwykłą żarliwością powie: "Pozwól mi działać". Chrześcijaństwo jest religią łaski, religią, która ukierunkowuje nas na to, by pozwolić działać Chrystusowi, by coraz bardziej otwierać się na Jego działanie. Chodzi o takie otwarcie, które pozwoliłoby Chrystusowi w pełni w nas żyć. Wtedy On będzie mógł stworzyć z ciebie swoje arcydzieło, tak jak to było w przypadku Maryi, która żyła wiarą, zawierzeniem i całkowitym zdaniem się na Pana.

Podstawową zasadą działania Bożego jest to, że **On nie chce się narzucać**. Jeżeli drzwi twojego serca będą zamknięte, On nie będzie chciał ich wyważyć. "Jezus wyręczy mnie we wszystkim - pisała św. Małgorzata Maria - jeśli tylko pozwolę Mu działać w sobie. Będzie we mnie kochał, pragnął, uzupełniał wszystkie moje niedostatki". **Zdanie się na Boga jest najwyższą formą zawierzenia, najwyższą formą oparcia się na Panu**. "Nie pragnę już ani cierpienia, ani śmierci - mówiła św. Teresa od Dzieciątka Jezus - choć Kocham jedno i drugie; tylko miłość mnie pociąga [□]. Dziś jedyną moją busolą jest zdanie się na Boga. O nic nie potrafię już żarliwie prosić poza tym jednym, by w mojej duszy wypełniła się wola Boża bez przeszkód ze strony stworzeń" (Pisma, t. I, 235 n). Teresa przyznaje, że długo trwało, zanim osiągnęła ten stopień zdania się na wolę Pana: "Ale teraz już się na nim znajduję! Bóg wziął mnie w swoje ramiona i na nim umieścił!" (Dzieje duszy, 266). Twoje zawierzenie Bogu i zgadzanie się we wszystkim z Jego wolą będzie pełne, jeśli potrafisz wyznać: **Kocham wszystko, co mi zsyłasz**.

Zazdrosna miłość Boga

Pan zapalił się zazdrosną miłością do ciebie. Zapalił się zazdrosną miłością, to znaczy, że **chce być dla ciebie jedynym Panem, jedyną miłością** (por. *Wj* 20,5; *Pwt.* 5,9). On wzywa nas do nawrócenia, które ma zawsze dwa elementy - nawrócenie "od" i nawrócenie "do". Mamy się odwrócić od tego wszystkiego, co nas odsuwa od jedynego Pana, którego jesteśmy własnością. Mamy się odwrócić od głęboko tkwiącego w naszej duszy egoizmu, pragnącego zabezpieczeń. Jeśli tworzyłeś sobie system zabezpieczeń, a potem Bóg sprawił, że twoja "manna" zgnęła, to pamiętaj, że On uczynił to z miłości. **Bóg ogolaca cię z tego, co jest twoim zniewoleniem i brakiem wiary w Jego miłość**. To On bowiem jest jedynym Panem, i twoim, i twojej "manny", czyli twojego codziennego chleba, twojego bytu. To od Niego wszystko zależy. On, niezależnie czy uznasz to, czy nie, pozostanie jedynym Panem, ale jest to Pan, który kocha. On nie chce, żebyś zagubił się w fałszywym królestwie fałszywego boga, ponieważ to królestwo niszczy cię. Jesteś Jego własnością ze wszystkim, co posiadasz - z duszą i ciałem; z pracą, która od Niego zależy, z mieszkaniem, które jest Jego własnością, z twoimi dziećmi, które do Niego należą i twoim czasem, który często wydzielasz Mu jak skąpiec, mimo że cały twój czas też do Niego należy.

Ewangelia mówi, że nie można dwom panom służyć. Słowo *douleuein* [służyć] w języku greckim oznacza taką służbę, jaką niewolnik pełnił wobec swojego Pana. Niewolnik nie miał czasu dla siebie. Pan dysponował jego czasem w pełni i zawsze. **Bogu trzeba dać wszystko**, trzeba umieć oddać Mu to, co jest Jego - i to jest program naszego nawrócenia. **Trzeba też przyjąć Jego zazdrosną miłość, przyjąć Go jako jedyną wartość i jedyną miłość**. W wyrażeniu "zazdrosna miłość" jest cała głębia miłości Boga, bo jest to miłość zazdrosna nie dla siebie, ale dla ciebie, zazdrosna o to, żebyś się nie zagubił w służbie fałszywym bogom.

Człowiek, który osiąga zjednoczenie z Bogiem i dochodzi do świętości, to człowiek, który przyjął Chrystusa do końca jako jedyną miłość. Są dwie kategorie ludzi wierzących: ci, którzy zbierają zasługi, i ci, którzy próbują po prostu kochać - a kochać to znaczy nie tylko dawać, ale jeszcze bardziej przyjmować, przyjmować miłość drugiej osoby. Kochać Boga to przyjąć

Jego miłość, Jego zazdrosną miłość o ciebie - miłość zazdrosną i szaloną, chcącą uchronić cię od wszystkiego, co może być zagrożeniem twojej wolności i twojej wiary.

Pan zapalił się zazdrosną miłością ku tobie. Ta miłość to udręka Boga, to głód Boga w stosunku do ciebie, który jesteś Jego dzieckiem, Jego własnością. On będzie o ciebie walczył. Jego zazdrosna miłość będzie czasami trudna, bo ty nieraz wymykasz Mu się z rąk i idziesz ku przepaści, często nie wiedząc o tym. Nieraz więc Bóg będzie musiał tobą potrząsnąć, będzie musiał dać ci "trudne" łaski, ale to dlatego, by cię uratować, abyś ostatecznie Jemu się powierzył. - Zazdrosna miłość Boga.

Rozdz. IV Wiara jako uznanie własnej bezradności i oczekiwanie wszystkiego od Boga

W świetle wiary możemy zobaczyć własną bezradność i oczekiwać wszystkiego od Boga. Walter Kasper pisze, że u synoptyków wiara znaczy "poznanie własnej bezradności oraz ufność w działającą w Jezusie moc Bożą" (*Rzeczywistość wiary*, 68). Wierzący nie oczekuje niczego od siebie samego, ale wszystkiego spodziewa się od Pana. Tylko wtedy, gdy uznając w duchu wiary własną bezradność staniemy się ubogimi w duchu, pozwolimy działać w nas mocy Boga.

Moralność ewangeliczna nie jest wyłącznie moralnością Dekalogu, chociaż ją zakłada; jest to przede wszystkim **moralność błogosławieństw**. Jest to moralność zwłaszcza pierwszego błogosławieństwa: "Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie" (*Mt* 5, 3). Błogosławieni, ponieważ oni, ci ubodzy, rzeczywiście wchodzić do Królestwa.

"Błogosławieni ubodzy w duchu"

Ten, kto szuka przede wszystkim królestwa Bożego, a więc szuka świętości, znajdzie i ją, i wszystko inne, a więc wszystkie duchowe i doczesne dary potrzebne do życia. "Błogosławieni ubodzy w duchu", nie przywiązani do niczego, nie mający nic i oczekujący wszystkiego od Boga. Błogosławieni, ponieważ w ich sercach jest miejsce dla Pana. Do nich należy królestwo niebieskie, ponieważ oni mają Boga. To jest ta radosna Ewangelia o ludziach błogosławionych, których serca są wolne dla Pana.

Na tyle wierzysz, na ile jesteś ubogi w duchu. Słowo "ubogi" w sensie biblijnym niekoniecznie oznacza ubóstwo w znaczeniu materialnym. Ubogim w duchu był na przykład król Dawid, człowiek postawiony na szczycie drabiny społecznej. Człowiek ubogi duchem to człowiek ogołcony z pewności siebie, to ktoś, kto wie, że nie może liczyć na siebie, na własne siły. Taki człowiek ukierunkowany jest na oczekiwanie wszystkiego od Boga, a nie zakorzenianie się w doczesności.

Jeżeli czujesz się mocny w sensie naturalnych możliwości, którymi dysponujesz, twoja wiara nie może rozwinąć się i pogłębić. To dlatego musisz odczuć swoją słabość, musisz zobaczyć, że czegoś nie możesz. Będzie to wezwanie do wiary. Twoja słabość, niemożność i bezradność staną się jakby szczeliną, przez którą będzie przeciskała się do twojego serca łaska wiary. **Poprzez nasze zranienia Bóg daje nam łaskę pogłębienia wiary.** Charles Péguy, wielki konwertyta, pisze: "Spotyka się niewiarygodne światła łaski przenikające do duszy złej, a nawet zepsutej. Widzi się zbawionym tego, kto wydawał się być straconym, ale

nigdy nie widziano przesiąkniętym tego, co zostało okryte lakierem, aby przepuszczało to, co jest nieprzemakalne, aby zostało zmiękczone to, co stwardniało. [□] Stąd pochodzą tak liczne braki, które stwierdzamy w skuteczności łaski, która, podczas gdy odnosi niespodziewane zwycięstwa nad duszami największych grzeszników, często pozostaje bez żadnego skutku w stosunku do tzw. porządnych" (*Note conjointe*, sur M. Descartes et la philosophie cartesienne - 1er aout 1914). Jest tak dlatego, że ci "porządni", ci dorośli w sensie ewangelicznym nie mają żadnych braków, nie są zranieni, są silni, mocni, samowystarczalni, dorośli. "Ich skóra moralna, stale nietknięta - stwierdza dalej Peguy - stała się dla nich skorupą i pancerzem bez skazy. Oni nie przedstawiają tego otwarcia spowodowanego jakąś straszną raną, jakąś niezapomnianą udręką, jakimś niepokonanym żalem, jakimś szwem wечно źle zrobionym, jakimś śmiertelnym niepokojem, jakąś ukrytą goryczą, jakąś ruiną stale maskowaną, jakąś raną nigdy nie zagojoną. Nie ofiarowują otwarcia się na łaskę, co jest w swojej istocie grzechem. Ponieważ nie są zranieni, nie są już podatni na zranienia. Ponieważ nie brakuje im niczego, nie otrzymują więc nic. Nie mogą otrzymać tego, co jest wszystkim. **Sama miłość Boga nie leczy tego, który nie ma ran.** Właśnie dlatego, że człowiek leżał na ziemi, Samarytanin go podniósł. [□] Otóż, kto nie upadł - pisze dalej Peguy - nigdy nie powstanie, a kto nie był obłany potem, nigdy nie będzie otarty". Tak zwani porządni, dorośli są nieprzenikliwi dla łaski.

Może i w twoim życiu jest jakaś straszna niegojąca się rana, może jakaś nie zapomniana udręka, nie pokonany żal czy śmiertelny niepokój, może jakaś ukryta gorycz, którą tyle rzeczy tego świata może być zaprawionych, jakieś zawalenie się czegoś. - Ty wtedy uważasz, że wszystko się już skończyło, a jest odwrotnie. To wszystko ma być dla ciebie kanałem łaski. **Pan Bóg musi dopuścić tyle zranień, tyle trudnych chwil, abyś poczuł się słaby i przez to otwarty na łaskę.** Gdy poczujesz się dotknięty bardzo boleśnie, pamiętaj, że jest to błogosławiony ból, który w twoim pancerzu dorosłości i porządności robi miejsce dla łaski. To wszystko jest dla ciebie szansą pogłębienia wiary. Twoja słabość sprawia, że przez wiarę może zamieszkać w tobie moc Boga. Bóg, zbliżając się do ciebie, musi uczynić cię słabszym, abyś Go potrzebował, byś wierząc i coraz bardziej Mu ufając w Nim szukał oparcia. Musi cię unizić, bo jesteś za duży, a zranienie unizę. Stąd każde zranienie przynosi ci szansę, że będziesz stawał się coraz bardziej ewangelicznym dzieckiem. **Nieraz trzeba aż tylu zranień, aby stać się dzieckiem, by kroczyć "małą drogą".**

Moc Boża potrzebuje słabości człowieka

Bóg zbliżając się do człowieka osłabia go. Czyni więc odwrotnie, niż my byśmy się spodziewali. Tobie wydaje się, że to ty krocysz ku Niemu i że w tej sytuacji winienes stawać się coraz bardziej mocny, coraz lepiej dawać sobie radę. Tymczasem to On przybliży się do ciebie, a przybliżając się czyni cię słabszym, czy to fizycznie, czy psychicznie, czy duchowo. Czyni to po to, by mógł zamieszkać w tobie ze swoją mocą, **ponieważ to twoja słabość robi miejsce na Jego moc.** Wówczas, gdy jesteś słaby, nie możesz sobie ufać, nie możesz wierzyć sobie, i wtedy jest szansa, byś zwrócił się ku Niemu i na Nim zechciał się oprzeć. Tak często bronisz się przed tą największą łaską, **łaską słabości**, a przecież już św. Paweł pisał: "Moc w słabości się doskonali. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa. [□] Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny" (2 Kor 12, 9-10). **Twoja moc i siła wcześniej czy później muszą się załamać.** W rzeczywistości bowiem nie ma twojej siły, ponieważ ona jest darem - darem, który ty sobie przywłaszczasz, dlatego musi ci być zabrany.

Św. Maksymilian Kolbe podczas wielu swoich niezwykłych wypraw apostoelskich czuł się zupełnie bezradny. Często klimat był bardzo nieodpowiedni dla jego chorych płuc, źle znosił uciążliwości podróży zamorskich i wilgoć, z powodu której niekiedy nie mógł oddychać. To wszystko nie powstrzymywało jednak jego pragnienia, by głosić królestwo Niepokalanej w całym świecie, choć niejednokrotnie zdawało się, że godziny nie przeżyje na statku. Może mówił wtedy do Maryi: Ja chyba nie wytrzymam jeszcze tej godziny, jak więc będę Twoje królestwo rozszerzał? - A przecież ta słabość była całą jego siłą.

Jeżeli Bóg zechce się tobą posłużyć, to na zasadzie twojej słabości. Kiedy próbujesz apostołować w poczuciu siły i mocy, stajesz się antyznakiem. **Ludzie nie chcą** twojej mocy, **twojej własnej mocy**, ponieważ jest ona dla nich upokarzająca. Pan Bóg też, aby uczynić cię znakiem i posługiwać się tobą, nie potrzebuje twojej siły, wręcz przeciwnie, potrzebuje twojej słabości. Myśl ta została niezwykle dobitnie wyrażona już w Starym Testamencie na przykładzie Gedeona (*Sdz 7, 1-8. 10*). Przeciwnik Gedeona ma 135 tys. wojska, a Gedeon 32 tys. - cztery razy mniej. Jednak w historii zdarzały się zwycięstwa przy takich dysproporcjach. Dla Pana Boga jest to więc dysproporcja za mała. Poleca zmniejszyć liczbę wojowników Gedeona. Pierwsza próba to zmniejszenie tych 32 tys. wojska do 10 tys. Teraz liczba wojsk Gedeona jest trzynastą razy mniejsza. W historii strategii zwycięstwo przy takiej dysproporcji już się nie zdarza, ale człowiek mógłby jeszcze je sobie przywłaszczyć i przypisać własnemu geniuszowi. Gedeon jest więc wciąż za silny, może jeszcze liczyć na własne możliwości. Bóg poddaje go jeszcze jednej próbie: poleca, by te 10 tys. wojska zredukował do 300 osób. I teraz sytuacja jest, właściwie nie wiadomo, czy dramatyczna, czy komiczna. To przecież naprawdę śmieszne wychodzić z taką liczbą przeciwko wrogowi, który jest 450 razy silniejszy. W tym przypadku już tylko Bóg może zwyciężyć, nie Gedeon. - I Gedeon pójdzie z tą garstką, i odniesie zwycięstwo. Ta przygniatająca dysproporcja sprawi, że nie będzie miał nawet pokusy, by przypisać je sobie. Cała sytuacja jest tak absurdalna, jakby Pan Bóg uśmiechając się mówił: Widzisz Gedeonie, chciałeś zwyciężyć dzięki swoim umiejętnościom i sile wojska. Patrz, pozostało ci trzystu ludzi na 135 tys. wroga. Co ty na to? - Gedeon zaufał Panu i odniósł zwycięstwo, jakiego nie zna historia.

Pan składa swój skarb w kruche, gliniane naczynie, **aby z mocy Boga było to, co robimy, nie z nas** (zob. *2 Kor 4, 7*). Bóg ogołocił Gedeona z jego ludzkiej mocy, uczynił go małym i słabym, zrobił coś, co po ludzku wydaje się absurdem. Podobnie może zdarzyć się i w twoim życiu. Jeżeli jest w tobie takie 32 tys. elementów ludzkiej mocy, to Pan Bóg zrobi z tego najpierw 10 tys., a potem 300. Będziesz wtedy rzeczywiście bardzo słaby, prawie jak poległy, i taki właśnie - słaby - będziesz mógł zwyciężać. Będą to zwycięstwa nie twoją mocą, ale mocą Boga.

Ubóstwo Chrystusa

Wiara jako wyraz ubóstwa duchowego ma swój wzór w życiu i postaci Jezusa. Być ubogim to być zależnym. W życiu Jezusa widzimy trzy momenty, kiedy Jego ubóstwo dochodzi do szczytu, kiedy **On - Bóg - staje się całkowicie zależny i ukazuje się w swej niemocy, jakby w porażce: jest to Betlejem, Kalwaria i Najświętszy Sakrament.** Jeżeli być ubogim znaczy być zależnym, to Jezus stał się całkowicie zależny już w **Betlejem**, gdzie była niemoc, a nawet można powiedzieć porażka, bo Jezus nie został przyjęty przez swoich i musiał narodzić się w warunkach nieludzkich. Każde twoje doświadczenie niemocy i tego, że nie dajesz sobie z czymś rady, jest uczestnictwem w niemocy Jezusa.

Kalwaria to druga, przerażająca w swej wymowie, sytuacja ogołocenia Jezusa. Tu też w niczym nie będzie mógł sobie pomóc, bo Jego ręce, te ręce, które błogosławiły tłumy, teraz przybite do krzyża po prostu krwawią. Nie może posłużyć się stopami, bo te stopy, które przedtem niosły wszędzie miłość i Dobrą Nowinę, teraz są przygwożdżone. Jezus na Kalwarii jest ogołocony ze wszystkiego. **Krzyż to wyraz szaleństwa miłości Boga. Ogołocenie Jezusa dochodzi tu do szczytu.**

Jeszcze innym wyrazem ogołocenia Jezusa jest **Najświętszy Sakrament**. Tu również jest niemoc i porażka, podobnie jak niemocą i porażką, oczywiście pozorną, była Kalwaria. W Najświętszym Sakramencie Jezus milczy, również wtedy, gdy ludzie zwracają się do Niego. W tabernakulum pozostaje ogołocony do tego stopnia, że człowiek może Go wyjąć i przenieść, dokąd zechce, może Go przyjąć, ale może też zbezcześcić. Może więc zrobić z Nim, co zechce, dosłownie, co zechce. **I to jest ta wstrząsająca tajemnica Chrystusowego ogołocenia i ubóstwa, Jego kenozy, Jego całkowitego oddania się człowiekowi.**

Te trzy sytuacje: Betlejem, Kalwaria, Najświętszy Sakrament to sytuacje, w których miłość Jezusa posuwa się rzeczywiście aż do szaleństwa, aż do krańcowego ubóstwa. Ale to właśnie dzięki temu szaleństwu i temu ubóstwu Jezus przynosi ci Odkupienie, przynosi ci wiarę. Milczenie Boga, Jego niemoc, Jego "porażka" jest dla świata, który chciałby Boga pełnego widzialnej mocy, skandalem. Krzyż był i wciąż jeszcze pozostaje zgorszeniem dla tych, którzy nie wierzą, ale dla tych, którzy uwierzyli, jest on najwyższą mocą. Twój krzyż w sensie ogołocenia i ubóstwa czyni w tobie miejsce dla łaski - dla łaski wiary.

Uznać, że wszystko jest darem

Wiara to uznanie własnej bezradności, przekonanie, że niczego się nie posiada, że wszystko jest darem. Jest ona oczekiwaniem wszystkiego, wszelkich darów od Boga. Odwrotnością tak rozumianej wiary jest pycha. Człowiek pyszny te wszystkie dary uznaje za coś, co jest jego własne i przypisuje je sobie. Uważa, że wszystko od niego zależy, tak jakby w jego życiu nie było tego nieustającego daru Boga. Oczywiście, wiara jest czymś trudnym. Żyć wiarą to rodzić się na nowo, rodzić się do ubóstwa duchowego, do postawy dziecka.

Dar winien być przyjmowany z takim oderwaniem, byś w każdej chwili potrafił go oddać. Jest to przedziwny paradoks. Jesteśmy obdarzani po to, byśmy przyjmując Boże dary byli gotowi oddawać je z powrotem. Gest gotowości oddania Bogu otrzymanego daru jest znakiem, że nie nastąpiło przywłaszczenie, jest wyrazem uznania tej prawdy, że do mnie nic nie należy. Dar zwrócony Bogu powraca do nas, i to powraca z wielokrotnością. Wszystko jest darem: twoja dusza i ciało, żona, mąż, dzieci, to co posiadasz i co robisz - wszystko jest własnością Pana. **Czy jesteś gotów oddać każdy z tych darów w każdej chwili?**

Epizod z młodzieńcem, który odszedł smutny, kiedy Pan zaproponował mu rezygnację z dóbr materialnych, ma swój epilog. Po jego odejściu Jezus mówi: "Dzieci, jakże trudno wejść do królestwa Bożego tym, którzy w dostatkach pokładają ufność" (Mk 10, 24). Zwróćmy uwagę, że ten młody człowiek wypełniał wszystkie przykazania. Wynika stąd, że **nie wystarczy wypełnianie przykazań**. Pod jego adresem i pod adresem takich jak on Jezus mówi: "Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego". Jest to stwierdzenie tak mocne, że przerażeni tym Apostołowie pytają: "Któż więc może się zbawić?" (Mk 10, 25-26).

Ten młody człowiek, który wydawał się być otwarty na Boga, był niewolnikiem doczesności, niewolnikiem swojego majątku i swojej pozycji społecznej. Święty Łukasz mówi o nim, że był zwierchnikiem, a więc zajmował jakiś ważny urząd (zob. *Łk 18, 18*). To wszystko może stać między człowiekiem a Bogiem, może być tak wielką przeszkodą, że takiemu człowiekowi będzie bardzo trudno się zbawić. Przywiązanie do doczesności, do tego, co Bóg stworzył, co jest tylko Jego darem, a nie Nim samym, może przez zniewolenie nas nie tylko utrudnić, ale nawet uniemożliwić nam zbawienie.

W swojej podróży do San Giovanni Rotondo spotkałem naukowca, który jechał razem ze mną do ojca Pio, aby prosić o błogosławieństwo dla swojej pracy. Przyjechał z dwoma tomami wydanego dzieła, które nazwał swoim *opus vitae* - dziełem życia. W ramach spowiedzi przedstawił je Ojcu Pio i prosił o błogosławieństwo. Reakcja padre Pio była przerażająca, przede wszystkim zdumienie - to jest twoje *opus vitae*, to jest twoje dzieło życia? Wziął do ręki te dwa tomy i jeszcze raz powtórzył, to jest *opus vitae*, to znaczy, że żyłeś te sześćdziesiąt lat po to, żeby te dwie książki napisać, to był cel twojego życia - prawie krzyczał - to jest *opus vitae*, po to żyłeś? A gdzie twoja wiara? Potem złagodniał, jakby zobaczył nieświadomość tego człowieka i z łagodnością ojca zapytał: pewnie włożyłeś w to wiele wysiłku, nieprawda? Pewnie było wiele nocy nieprzespanych, a ze zdrowiem jak? - No tak, zawał serca. - Właśnie, to wszystko w służbie ambicji, by stworzyć tego rodzaju *opus vitae*. Patrz - mówił dalej - co znaczą bożki, przywiązania. Gdybyś robił to samo, ale dla Boga, to wszystko wyglądałoby inaczej. Przecież ty to wszystko sobie przywłaszczyłeś, to było twoje *opus vitae*, twoje własne dzieło. Zakończenie tej spowiedzi było też w stylu ojca Pio. Znowu podniósł głos: Jeżeli tylko z tym przyszedłeś, to *va via* - proszę wyjść. Padre Pio był *rude*, jak mówią Włosi, czyli szorstki, ale w tej szorstkości kryła się wielka miłość do każdego człowieka i każdego penitenta. To był człowiek, który kochał, a miłość jest mocna. To miłość padre Pio sprawiła, że ta wstrząsająca rozmowa, połączona ze spowiedzią, była rzeczywiście momentem przełomowym w życiu tego naukowca. On naprawdę zaczął inaczej myśleć i inaczej patrzeć na świat.

Ojciec naszej wiary Abraham otrzymał cudowny dar - w późnej starości urodził mu się syn. Było to dla niego największe szczęście, otrzymał największą z ludzkich wartości - syna, następcę. Rodzice zwykle przywłaszczają sobie dzieci, może i Abraham ulegał tej pokusie. Kiedy jednak Bóg powiedział Abrahamowi, że chce, by oddał on swojego syna, Abraham zgodził się. Zgodził się też na oddanie otrzymanego daru w sposób najbardziej dla siebie dramatyczny. - A co stałoby się, gdyby Abraham nie chciał oddać syna, gdyby zbuntował się i pozostał w przeświadczeniu, że polecenie Boga jest zbyt okrutne? Co by się wtedy stało? - Izaak musiałby zginąć. Nieważne byłyby okoliczności jego śmierci, czy stałoby się to w wyniku choroby, czy zginąłby w jakiejś walce, na wyprawie czy pożarty przez dzikie zwierzę. Musiałby on jednak być Abrahamowi zabrany, ponieważ stanąłby między nim a Bogiem. Izaak stałby się wtedy dla Abrahama przeszkodą w jego pełnym oddaniu się Bogu w wierze. Nieoddanie syna oznaczałoby, że Abraham przywłaszczył go sobie. Przywłaszczenie zaś daru jest zawsze niszczeniem go, jest jakby ciosem wymierzonym w siebie samego i w sam dar. Abraham oddając syna nie tylko go odzyskał, ale ponadto uzyskał dar zwielokrotniony - łaskę świętości, w której i syn uczestniczył. Abraham i Izaak to pierwsi święci patriarchowie Starego Przymierza.

Posiew nieufności

Kiedy analizujemy mechanizm powstawania zła w człowieku, zauważamy, że u podstaw zła leży brak prostoty i dziecięcego zaufania Bogu. Tak było od początku dziejów ludzkości, od chwili, kiedy pierwsi rodzice zostali postawieni w sytuacji próby wiary. U początku dziejów człowieka zaistniała próba zawierzenia. Bóg jakby postawił człowiekowi pytanie: Czy ufasz Mi? Czy masz wobec Mnie prostotę i ufność dziecka? Tekst biblijny wyraźnie mówi, że człowiek został zaatakowany przez szatana na tym właśnie odcinku. Szatan nie namawia pierwszych rodziców do zła jako takiego, nie kusi wprost do grzechu. To, czego dokonuje, to posiew nieufności. Robi to w sposób doskonały psychologicznie, tak jak to tylko on potrafi. Nie mówi: bądźcie niewierni, nieposłuszni - nie, on usiłuje wmówić pierwszym rodzicom, że w Bogu nie ma miłości, szczerości, prawdy. U podstaw mechanizmu zła pierwszego grzechu leży posiew nieufności, powodujący duży oddźwięk psychologiczny. Człowiek, który nie ufa, wchodzi w stan zagrożenia. Osoba, której nie ufam, staje się dla mnie zagrożeniem, rodzi się wobec niej lęk. Grzech nieufności rodzi zagrożenie i lęk, ten lęk, o którym tyle się mówi w psychologii i psychiatrii, który jest tak bardzo często źródłem ludzkiego cierpienia.

Jeżeli nie jesteśmy wolni od grzechu, to nie możemy być wolni od tego, co z niego wyrasta - niepokoju, lęku, poczucia zagrożenia. My też jesteśmy kuszeni tym posiewem nieufności. A jeśli jest to posiew nieufności wobec Boga, to człowiek czuje się jak w zamkniętej klatce, i życie w takiej "klatce zagrożenia" staje się czymś strasznym. Grzech niszczy człowieka również dlatego, że niszczy go związany z grzechem lęk. Zagrożenie staje się więc ostatecznie uderzeniem w nas, ponieważ jedną z podstawowych potrzeb psychicznych człowieka jest potrzeba bezpieczeństwa. Stąd już bardzo blisko do stwierdzenia, że lęk, z którym nie walczymy, jest zawiniony.

Chrystusowe dzieło Odkupienia trwa nadal. Przez wiarę jesteśmy w nie włączeni, a ono obejmuje nie tylko sam nasz grzech, ale i cały jego kontekst. Tak więc również lęk i zagrożenie stają się przedmiotem Odkupienia. Jezus umierając na Krzyżu odkupił nas od lęku i zagrożenia, tak jak odkupił nas od grzechu. Całe twoje życie powinno być ukierunkowane na coraz pełniejsze otwieranie się na odkupieńcze działanie Chrystusa. Z Krzyża bowiem nieustannie płynie łaska, byś mógł być zbawiony od grzechu, ale również od lęku.

Jak walczyć z osaczającym nas lękiem? Jeżeli będziesz walczył z nim wprost, zakończy się to fiaskiem. Jest tylko jedna niezawodna droga: **Otworzyć się na odkupieńcze działanie Chrystusa przez taką wiarę, jaką ma ewangeliczne dziecko.** Musisz uwierzyć, że Jezus odkupił cię od wszystkiego, co ci zagraża, że jesteś wolny. Powinieneś powiedzieć sobie: Nie ma zagrożenia, ponieważ On mnie odkupił i od wszystkiego uwolnił, muszę tylko to przyjąć. **Wiara to przyjmowanie, proces przyjmowania odkupieńczego działania Chrystusa.**

Kiedy Piotr przechodził przez jedną z bram świątyni w Jerozolimie, napotkał proszącego o jałmużnę paralytyka: "Nie mam srebra ani złota - powiedział wówczas do niego - ale co mam, to ci daję: W imię Jezusa Chrystusa Nazarejczyka, chodź!" (Dz 3, 6). I paralytyk wstał. Ten proszący paralytyk był bezradny i wiele oczekiwał, musiał też mieć dużo dziecięcej wiary, bo otrzymał więcej, niż się spodziewał. Ty, który jesteś paralytykiem lęku i zagrożenia, niekoniecznie musisz być uzdrowiony natychmiast jak tamten paralytyk. Będzie to zależało od stopnia twojej wiary, od tego, czy rzeczywiście będziesz miał wiarę dziecka. Możesz być uzdrowiony w jednej chwili albo uzdrawiany stopniowo. Ten symbolizujący twoją sytuację

paralitik będzie wówczas coraz wyżej dźwigany ręką Chrystusa, coraz wyżej i tak powoli będzie powstawał. To stopniowe dźwiganie ciebie to też odkupieńcza czynność Chrystusa.

Wierzyć jest trudno, ale nie wierzyć jeszcze trudniej. Próbuj jak najczęściej uświadamiać sobie, że nie jesteś sam. Przecież jest przy tobie Chrystus, który cię odkupił. Próbuj przeciwstawiać się przygniatającym cię lękom dziecięcym poczuciem własnej bezradności. Powiedz Jezusowi: Ja wiem, że Ty chcesz mnie z tego trądu oczyścić, wiem, że Ty już mnie od niego odkupiłeś. - Czy wiesz, że możesz być świadkiem cudu? Przecież Chrystus powiedział: "Gdybyście mieli wiarę jak ziarno gorczycy, powiedzielibyście tej morwie: 'Wyrwij się z korzeniem i przesadź się w morze', a byłaby wam posłuszna" (Łk 17, 6). Wtedy zobaczyłbyś, że wiara - która w oczach świata jest takim małym "nic", jak ziarno gorczycy, jak najdrobniejsze ziarenko - posiada nieograniczoną moc Boga. Zobaczyłbyś, że otwiera cię ona na odkupieńcze dzieło Chrystusa i w sposób cudowny usuwa lęk. Wtedy nagle poczułbyś się człowiekiem wolnym.

Jesteś powołany do wolności i pokoju przez wiarę otwierającą cię na Chrystusowe Odkupienie, musisz więc do tej wiary nieustannie się nawracać, bo wiara to nieustanny proces. Proces ten pogłębia się poprzez akty wiary, rodzące się najczęściej w obliczu zagrożeń. **Wzbudzając w sobie wówczas akty wiary, będziesz w każdej sytuacji oddawał się jak dziecko ramionom miłującego Ojca.**

Istota "małej drogi" św. Teresy od Dzieciątka Jezus to postawa dziecka wolnego od wszelkiego lęku dzięki **dziecięcej ufności**. Jeżeli na początku ludzkości pojawił się grzech na skutek posiewu nieufności, to "mała droga", podkreślająca znaczenie ufności i dziecięcego zawierzenia Bogu, stanowi *antidotum* i jakby dokładną antytezę tamtego wydarzenia. Program "małej drogi" uderza w sam korzeń zła, ponieważ brak zaufania, ten posiew nieufności wobec Boga, leży w dużej mierze u źródeł wszystkich twoich grzechów i wszystkich twoich udrek egzystencjalnych czy psychicznych, a pośrednio również fizycznych. **Jeśli zaufasz Panu, podetniesz korzenie tego, co cię niszczy.** Uwierzyć, że On cię kocha. Próba wiary pierwszych rodziców nie była zbyt trudna, ale Biblia mówi też o straszliwej próbie, jakiej Bóg poddał Abrahama. Otrzymał on przecież przerażające polecenie zabicia własnego syna. Wtedy tak łatwo było przyjąć posiew nieufności: nie zawierzyć, zbuntować się. Abraham jednak, mimo ciemności, jakie go otaczały, zaufał. Jak ważne jest takie bezwzględne zaufanie Bogu, dziecięce zaufanie Temu, którego grzechem nieufności ranimy najbardziej.

Jeśli zdarzyło ci się kiedyś, że stracił do ciebie zaufanie ktoś, kogo bardzo kochałeś, to wiesz, jakie to bolesne. A jeżeli to nie jest zwykła sytuacja ludzkiej przyjaźni, zranionej przez nieufność, a sytuacja nieskończonej miłości Boga - jak wielki ból musi sprawiać nieufność tej Miłości. Słowa: boję się oddać Bogu wszystko, ranią jak policzek, bo to tak, jakbyś mówił Bogu: Ja Ci nie ufam, nie wiem, co możesz ze mną zrobić. Gdyby małe dziecko powiedziało tak do matki, byłby to dla niej niezwykle ból. Jakiegoż więc bólu doświadcza Bóg, którego człowiek policzkuje takim brakiem zaufania! **Nieufność** w pewnym sensie jest gorsza niż grzech, **bo jest ona korzeniem i źródłem grzechu**. Jeśli nie chcesz zaufać, jeśli twojemu Przeciwnikowi udało się zaszcześcić w twoim sercu nieufność, to muszą przyjść konsekwencje - lęk, poczucie zagrożenia i związane z tym cierpienie. Dopiero poprzez skutki tego zła zobaczysz, jak daleko odszedłeś. Cierpienie, lęk i zagrożenia będą dla ciebie nieustannym wezwaniem do nawrócenia. Tak długo będziesz dźwigał brzemień lęku, dopóki się nie nawrócisz, dopóki nie staniesz się jak dziecko, które po prostu oddaje się w ręce miłującego

Ojca. Pacjenta trzeba leczyć tak długo - napisze L. Szondi - aż nauczy się modlić. Nie chodzi tu o zwykły pacierz. Chodzi o głęboką postawę modlitwy, **o ufną modlitwę dziecka, które oddaje się w pełni ramionom Ojca.**

Ubóstwo duchowe jako postawa dziecięctwa

Wiara jako uznanie własnej bezradności i oczekiwanie wszystkiego od Boga **oznacza postawę dziecka**. Dziecko w pełni uznaje, że nie ma nic, że nic nie potrafi. Ono jest pełne oczekiwań i wiary, że wszystko, co jest mu potrzebne, otrzyma. "Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego" - mówi Pan (*Mt 18, 3*). Nawrócenie do postawy dziecka jest warunkiem koniecznym wejścia do Bożego królestwa. Kiedyś musisz stać się dzieckiem: ufnym, pokornym, oczekującym wszystkiego od Pana. Jeśli nie staniesz się nim tutaj, to będzie to musiało nastąpić w czyśćcu. Stan dziecięctwa jest bezwzględnie konieczny nie tylko do uświęcenia, ale i do zbawienia.

Dziecko ewangeliczne oczekuje wszystkiego od Boga, dosłownie wszystkiego. Wymiar dziecięctwa naszej wiary oznacza nieopieranie się na zwykłych, ludzkich kalkulacjach, a oczekiwanie na coś, co dziecko nazwie niespodzianką, oczekiwaniem na cud. Na ile jesteś dzieckiem, na tyle jesteś młody duchem. Człowiek może być starcem już w wieku dwudziestu lat. A może mieć lat osiemdziesiąt i dzięki duchowi dziecięctwa pozostawać młodym. Bóg jest zawsze młody i ustanowiony przez Chrystusa Kościół jest zawsze młody, dlatego potrzebuje on młodych w duchu, potrzebuje w tobie dziecka, które zdolne jest uwierzyć we wszystko. **Człowiek "stary"**, nastawiony na rachunkowość, na liczenie za i przeciw, **ogranicza Bogu możliwość działania, stawia granice Jego miłości i miłosierdziu**. Rachunkowość i ciągle obliczanie, czy coś może, czy nie może się udać, czy to ma szansę, czy nie, jest cechą starości. Dziecko poszukuje księżycy i wierzy, że może go otrzymać - a przecież Pan Bóg chce ci dać więcej niż księżyc. On chce ci dać swoje królestwo, ale jeśli nie będziesz dzieckiem, to zwiążesz Mu ręce.

Dzieci to również typowi ewangeliczni gwałtownicy, o których Jezus mówi, że porywają królestwo niebieskie (por. *Mt 11, 12*). Kiedy dziecko chce dostać się do mieszkania, to musi się dostać: będzie tak długo biło pięstkami czy nóżkami, aż mu otworzą. Pan Jezus powiedział: "Kończcie, a otworzą wam" (*Łk 11, 9*). Gdybyśmy umieli tak bić w zamknięte przed nami drzwi, które po to są zamknięte, byśmy się do nich dobijali jak dzieci, to one musiałyby się otworzyć. **Bóg potrzebuje twojej dziecięcej wiary, by mógł w tobie i przez ciebie czynić cuda, bo dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych.** "Wszystko możliwe jest dla tego, kto wierzy" (*Mk 9, 23*). Wszystko jest możliwe dla tego, kto jest ewangelicznym dzieckiem.

Ewangelia ukazuje nam dwa zwiastowania: zwiastowanie Zachariaszowi i zwiastowanie Maryi. Zachariasz okazał się człowiekiem starym zarówno wiekiem, jak i duchem, człowiekiem, który związuje Bogu ręce, bo nie potrafi uwierzyć w cud. Musiał więc być dotknięty innym, bolesnym dla siebie cudem, jakim było odebranie mu możliwości mówienia - po to by uwierzył. Taka duchowa starość człowieka, który nie potrafi uwierzyć w cud, jest dla Boga czymś strasznym. Człowiek, któremu brak postawy dziecka, zwykle jakby z góry przekreślał skuteczność swoich modlitw, ponieważ jest w nim coś z postawy Zachariasza. Ten "sprawiedliwy wobec Boga" i nienaganny starzec nie miał potomstwa i prosił o dziecko. Modlił się i właściwie jednocześnie nie wierzył w to, że Bóg go wysłucha. Kiedy anioł oznajmił mu: "Twoja prośba została wysłuchana: żona twoja Elżbieta urodzi ci syna" (*Łk*

1, 13), on jak gdyby nie chciał tego syna przyjąć, nie uwierzył w cud. Cały czas modlił się o syna, a kiedy Bóg go wysłuchał, nie uwierzył. Wytoczył argument przeciwko swojej modlitwie: "Bo ja jestem już stary i moja żona jest w podeszłym wieku" (Łk 1, 18). Człowiek "stary", już nie wierzący Panu. My też najczęściej jesteśmy podobni do Zachariasza. - Pewien ksiądz - opowiada A. Pronzato - który zwołał parafian na specjalne nabożeństwo, by prosić o deszcz, skierował do nich bardzo wymowne upomnienie: "Przyszlście prosić o deszcz, a gdzie macie parasole?"

Drugie zwiastowanie to zwiastowanie Maryi, która tak bardzo jest dzieckiem, że gotowa jest przyjąć wszystko. Maryja tak była dyspozycyjna, że Bóg mógł dla Niej "wyczarować" rzeczy niezwykle. Ona wszystko by przyjęła, we wszystko by uwierzyła, bo **Jej postawa wobec Boga przeniknięta była duchem dziecięctwa - a to jest potęga**. Czy myślisz czasem, że światem rządzą dzieci, nie starcy? - Tak, światem rządzą dzieci, ponieważ **człowiek, który ma ducha dziecięctwa, ma "moc nad Bogiem" - Bóg nie może się jemu oprzeć**, nie może oprzeć się oczom dziecka, które naprawdę wierzą.

Piotr, gdy szedł do Chrystusa po wodzie, w pewnym momencie przestał być dzieckiem. Przyszło zwykłe rachowanie: dotąd szedłem, bo powierzchnia wody była równa, ale oto napływa fala - czy mogę iść dalej? Przyszła ludzka kalkulacja, ludzkie rozumowanie i wiara znikła. Piotr w tym momencie przestał być dzieckiem, dlatego zaczął tonąć. Okazał się człowiekiem starym i później jeszcze długo będzie stary, dlatego zdradzi Jezusa. Można powiedzieć, że grzeszysz, ponieważ jesteś "stary", bo starość duchowa zamyka cię na łaskę, zawiązuje Bogu ręce. Bóg jest młody i chce wyczarować ci księżyc. Jeśli św. Teresie z Lisieux dał w dniu jej obłóczyn śnieg, czy to nie był dla niej jej księżyc? Pan Bóg kocha się w takiej postawie, która nie widzi ograniczeń, a taką postawę ma dziecko. Ono nie zna granic możliwości, jest wytrwale aż do szaleństwa, otwarte na to, co nowe - dziecko potrafi wierzyć.

Bóg jest zawsze młody i zawsze zdumiewa człowieka. Doświadczenie Boga to doświadczenie rzeczywistości zdumiewającej, a człowiek o postawie ewangelicznego dziecka potrafi się zdumiewać. Taki człowiek patrząc na świat potrafi zdumiewać się wszystkim, co go otacza. **W momencie, w którym przestaniesz być dzieckiem przed Panem, przyjdzie kryzys w twoim życiu wewnętrznym, zaczniesz cofać się, przestaniesz wierzyć i kochać.**

W cuda wierzą tylko dwie kategorie ludzi - święci i dzieci. Właściwie jednak jest to jedna kategoria, ponieważ święci są w duchu dziećmi. **Sam Bóg w Jezusie Chrystusie stał się dzieckiem**. Stał się nim nie tylko w Betlejem, ale również na krzyżu, gdzie był zupełnie bezbronny i we wszystkim uzależniony od ludzi. Ten Bóg, który stał się dzieckiem, chce, by nasza bezradność i słabość skłaniała nas do zdania się we wszystkim na Niego, by skłaniała nas do bezgranicznej ufności w Jego miłosierdzie.

Przypowieść o synu marnotrawnym należałoby raczej nazwać przypowieścią o ojcu miłosiernym. Starszy syn, jedna z trzech postaci dramatu, nie wzbudza w nas sympatii; jest zazdrosny i impertynencki wobec ojca. Nasza sympatia kieruje się ku temu marnotrawnemu, który wrócił, tym bardziej, że jest to nasz typ. W typie syna marnotrawnego odnajdujemy niemal spontanicznie samych siebie. Czy jednak jest to rzeczywiście typ postaci prawdziwie ewangelicznej? Ewangelia mówi, że jego powrót do ojca był wykalkulowany. Wrócił w nadziei, że u ojca będzie mu lepiej, ponieważ wiedział, że ojciec płacił więcej swoim najemnikom niż pan, u którego on się najał. "Pójdę do mego ojca i powiem mu: [□] nie jestem godzien nazywać się synem, uczyni mnie choćby jednym z najemników" (Łk 15, 18-19n).

Przypowieść o synu marnotrawnym wydaje się być nie dokończona. Jest w niej dalszy **dramat syna marnotrawnego - dramat wynikający z przewagi postawy najemnika na postawą dziecka**. On chce być wobec ojca kimś, z kim można się umówić, tak jak umówili się z gospodarzem robotnicy wynajęci za denara (Mt 20, 1-26). Jeżeli zaś syn marnotrawny nie wraca jako dziecko, ale jako najemnik, to będzie musiał znowu odejść - drugi, trzeci, nie wiadomo który raz.

Syn, w którym jest duch najemnika, nie potrafi zdumiewać się miłością. **Syn marnotrawny nie odkrył zranienia ojca, nie widział jego bólu, widział tylko własne nieszczęście** i szukał dróg wyjścia z niego. W przypowieści o wynajętych robotnikach dobrocią gospodarza zdumiewali się ci z ostatniej godziny, a nie umówieni za określoną sumę najemnicy. **Zdumiewać się potrafi tylko ewangeliczne dziecko**, ponieważ zdumienie zakłada kontrast. Dziecko wie, że jest takim małym "nic" i że jest nieustannie obdarowywane czymś wielkim. Ten ogromny kontrast własnego "ja" i obdarowania rodzi w nim zdumienie.

Człowiek staje się chrześcijaninem, kiedy staje się dzieckiem, **kiedy zaczyna go zdumiewać szaleństwo miłości Boga Ojca**. Odnajdujemy tu nowy aspekt dziecięctwa ewangelicznego - pewną **tożsamość między dzieckiem a skruszonym grzesznikiem**. Na czym polega skrucha? Skrucha to żal, ale żal w obliczu krzyża, kiedy świadomy własnej nędzy i grzeszności patrzysz na krzyż i na rany Jezusa, kiedy próbujesz w duchu całować te rany, które sam przecież Jezusowi zadałeś - to jest skrucha. U syna marnotrawnego takiej skruchy nie było. **Dopiero wtedy, gdy skruszony całujesz rany Jezusa i wierzysz w Jego miłość, powracasz do Boga w postawie dziecka**, i tylko taki powrót ma sens. Nigdy nie wracaj do Boga jako najemnik, bo znowu Go zdradzisz.

Prawdziwą skruchę widzimy u jawno grzesznicy podczas jej spotkania z Jezusem w domu faryzeusza Szymona. Jej prostota, spontaniczność i autentyczna skrucha świadczą o postawie ewangelicznego dziecka. Aby wyrazić Jezusowi swoją skruchę, podeszła do Niego, nie oglądając się na względy ludzkie, wylała nardowy olejek, łzami zrosiła Jego stopy i włosami je otarła (Łk 7, 38). Oto prostota, spontaniczność i skrucha grzesznika, który jest dzieckiem ewangelicznym. Tak naprawdę Boga kochają skruszeni grzesznicy, którym wiele przebaczone, i święci, bo jedni i drudzy mają naturę dziecka - **potrafią zdumiewać się miłością Boga, szaleństwem Jego miłości ku nim**. Nie najemnicy, a dzieci, nie ci, którzy zbierają zasługi i usiłują zawierać z Bogiem kontrakty, ale ci, którzy wierzą w Jego miłosierdzie. - Bo tak naprawdę wierzy tylko dziecko.

Część druga: Dynamizm wiary

Wiara, jeżeli w niej nie wznosimy, może stać się zakopanym talentem, ale Bóg nie zgadza się na to. On nie chce, by nasza wiara skostniała. To dlatego - w nadziei pogłębienia i zdynamiczowania wiary - Bóg dopuszcza sytuacje trudne, zmuszające nas do ciągłego dokonywania wyboru. Dynamizm wiary urzeczywistnia się w wyniku prób, które polaryzują ludzkie postawy, prowadząc albo do kryzysu wiary, albo do jej wyraźnej intensyfikacji. Nasza wiara nieustannie się zmienia. Rok temu inaczej wierzyłeś, w sensie intensywności swojej wiary, za rok też będziesz wierzył inaczej. Stąd bardzo ważne jest pytanie - czy twoja wiara wzrasta, czy zanika. My bowiem nie tyle jesteśmy wierzący, co stajemy się wierzącymi, nie

tyle jesteśmy chrześcijanami, co nimi się stajemy, nie tyle żyjemy Ewangelią, co próbujemy do niej dorastać.

Rozdz. I Nawrócenie jako wymiar wiary

Stałym i podstawowym wymiarem wiary jest **nawrócenie**. To ono sprawia, że nasza wiara nie jest czymś statycznym, że może podlegać nieustannemu procesowi pogłębiania się. Nawrócenie jako wymiar wiary jest nie tyle jednorazowym aktem, ile procesem. Oznacza ono zmianę sposobu myślenia oraz wyrażającą się na zewnątrz przemianę postawy. W procesie nawrócenia następuje odwrócenie się od zła oraz zwrócenie się ku Bogu. Odwrócenie się od zła oznacza nie tylko odwrócenie się od samych grzechów, ale również od ich źródła, jakim jest nieuporządkowana miłość własna.

Gdy Jezus stawiał swoim Apostołom zarzuty, to prawie zawsze dotyczyły one braku wiary. Jezus często zarzucał im, że nie wierzą bądź że za mało wierzą. Można w tym dostrzec swoisty ewangeliczny paradoks - oto tym, którzy poszli za Jezusem, którzy uwierzyli w Niego, Jezus zarzuca właśnie brak wiary i czyni to wielokrotnie. **Celem tego kwestionowania wiary Apostołów było ich nawracanie się**. Musisz zakwestionować swoją wiarę, musisz dojść do przekonania, że ona powinna nieustannie wzrastać, że jej obecny kształt już wkrótce nie będzie wystarczał, zgodnie z zasadą, iż to, co osiągnąłeś dziś, nie wystarczy jutro.

Felix culpa

Nasza wiara ma się rozwijać dzięki stałemu procesowi nawracania się. Chrystus zmartwychwstał, a to znaczy, że nie ma ostatecznego fiaska w naszym życiu, że nie ma życia, które byłoby zaprzepaszczone, nie ma zła, które byłoby złem ostatecznym. Mówi o tym tekst *offertorium* dawnej liturgii mszalnej: "Boże, któryś godność natury ludzkiej cudownie stworzył, a jeszcze cudowniej naprawił". Bóg nie pozwalałby na zło, gdyby nie był zdolny wyciągnąć z niego dobra. Nasz grzech może stać się "szczęśliwą winą", o jakiej mówi liturgia Wielkiej Soboty. **Bóg może z każdej naszej winy uczynić *felix culpa* - winę szczęśliwą**, winę, która będzie nam przypominała i pokazywała w świetle wiary, jak bardzo kocha nas Ten, który za nas umarł i zmartwychwstał. Nie każda wina staje się winą szczęśliwą. Czasami po upadku nie wracasz od razu, może niekiedy stajesz się bardziej twardy, nieprzejednany. I wtedy następuje prawdziwy dramat - Bóg w takiej sytuacji nie może ci przebaczyć.

Wszystkie twoje niewierności powinny stawać się szczęśliwą winą, ale warunkiem jest skrucha serca, tęsknota za przebaczeniem. Stąd też Bóg chcąc pomóc ci, chcąc skruszyć twoją zatwardziałość zawsze pierwszy przybliży się do ciebie, aby wzbudzić w tobie tęsknotę za przebaczeniem.

Bóg niepomny doznanych zranień, wciąż i na różne sposoby otwiera przed człowiekiem swoje Serce. Często objawia nam siebie i woła do nas poprzez świętych, których napełnia swoją - Bożą miłością, przez szafarzy słowa i sakramentów, zwłaszcza sakramentu pojednania. Spowiednik Karola de Foucauld, ksiądz Huvelin, który wprowadził go na drogę nawrócenia, wyznał, że kiedyś z nim się spotkał, Bóg napełnił jego serce niezwykle żarliwym, nieodpartym pragnieniem udzielania rozgrzeszenia. W tym pragnieniu, jakiego Bóg udzielał księdzu Huvelin, wyrażało się to właśnie ciągłe i nienasycone pragnienie Boga, by nam przebaczać. Dlatego powinienes walczyć z twoim smutkiem. Jeżeli odszedłeś od Boga,

niezależnie w jakim stopniu to nastąpiło, zawsze możesz wrócić. **Po każdym upadku pamiętaj, że On czeka, że kiedy ty wracasz i przepraszasz Go, przynosisz Mu radość, bo pozwalasz Mu kochać siebie poprzez przebaczenie.**

Wszystkie twoje niewierności czy grzechy staną się szczęśliwą winą, jeżeli pomogą ci głębiej poznać miłosierdzie Pana. Staną się szczęśliwą winą, jeżeli uczynią cię bardziej pokornym i ufnym, ufającym coraz mniej sobie, a coraz bardziej Panu. Wtedy - po ich przebaczeniu - będziesz duchowo wzrastał.

Twoje przewinienia będą stawały się winą szczęśliwą, jeżeli świadomość zadanego Jezusowi bólu będzie ożywiała twoją miłość. Jeżeli będzie pogłębiała twoje pragnienie oddania się Jemu - aby twoje serce było wyłącznie dla Niego, tak jak Jego zranione Serce bije wyłącznie dla ciebie.

Skutki zła

Niezwykłą miłość Boga do grzeszników i Boską pedagogię wobec nas ukazuje przypowieść o synu marnotrawnym. - Jeżeli twoja wiara stanie się letnia i bez wyrazu, Bóg może dopuścić, że upadniesz. Bóg nie chce zła, ale może chcieć jego skutków, ponieważ skutki zła niosą łaskę, niosą wezwanie do nawrócenia. Na przykładzie syna marnotrawnego widać to bardzo wyraźnie. W Chrystusowej przypowieści jest ojciec, który kocha, i jest dwóch synów, którzy nie kochają. To, że starszy syn nie kocha ojca, widać wyraźnie pod koniec przypowieści, kiedy ujawnia się jego impertynencja wobec ojca i zazdrość wobec brata. Nie kocha ojca również młodszy syn, który opuszcza go przecież nie na jakiś krótki czas, ale na zawsze. Ojciec, choć mógł przeciwstawić się odejściu syna, nie zrobił tego. Pozwolił mu wziąć swoją część i odejść, bo przecież do miłości nie można nikogo zmusić. Wiemy, jakie były skutki odejścia syna z domu ojca. Wiemy, że upadał coraz niżej, że było mu coraz ciężej.

W naszym komentarzu możemy próbować dociec pewnych elementów, nie ukazanych wprost w przypowieści. Możemy np. założyć, że ojciec dowiedział się poprzez swoje sługi, co dzieje się z jego młodszym synem: że przymiera głodem, nie ma gdzie mieszkać i że wręcz poniewiera się. I założmy, że ojciec, chcąc oszczędzić synowi takiego losu i takiego sponiewierania, posyła do niego sługę, jawnie czy potajemnie, z sakiewką pieniędzy, co umożliwi synowi normalne życie, ale też i powrót do życia rozwiązłego. Czy tego rodzaju pomoc, której ojciec mógłby stale udzielać, spowodowałyby kiedyś powrót syna? Wszystko zdaje się wskazywać, że nie. Oznacza to, że ojciec, kochając syna, nie powinien osłaniać go przed złymi skutkami jego własnych czynów pomimo bólu ojcowskiego serca. W wyniku zła, jakie popełnia syn marnotrawny, "ukrzyżowane" są dwie osoby - ojciec z powodu bólu nad poniewierką i upadkiem syna oraz sam syn na skutek własnych upadków. Kochający syna ojciec powinien jednak czekać, nawet jeśli jest to związane z ryzykiem, czekać, aż zło dopełni swej miary i zacząć działać jego skutki. To właśnie skutki zła, oddziałując na miłość własną syna, skłoniły go do powrotu. Wiemy, że przyszedł taki moment, kiedy miara zła dopełniła się, kiedy upadek syna był już nie tylko upadkiem moralnym w całej swojej głębi, ale również doszło do największego pohańbienia. Pragnął on napęcznieć swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świnie, a świnie w przekonaniu mieszkańców Palestyny były zwierzętami nieczystymi - jest to więc symbol samego dna upadku, już nie mogło być gorzej. I wtedy zaczęły działać skutki zła. Synowi było już tak źle, że przyszła mu zimna, wykalkulowana refleksja, iż warto wrócić do ojca, ponieważ ojciec był lepszy dla swoich sług i najemników

niż pan, u którego on służy. To nie miłość do ojca zdecydowała o powrocie syna marnotrawnego, a jedynie zwykła, wyrachowana miłość własna, zimna kalkulacja, że będzie mu lepiej - **nie ojcu, a jemu będzie lepiej**. Dopiero wtedy, kiedy zobaczy ojca wybiegającego mu naprzeciw, kiedy zobaczy w oczach ojca łzy radości, kiedy znajdzie się w jego ramionach, a następnie zostanie ubrany w najpiękniejszą szatę, otrzyma pierścień i zobaczy, że ojciec przygotowuje dla niego ucztę, **będzie szansa, że syn odkryje miłość ojca**. Tak więc skutki zła mogą być związane z łaską. Bóg może ich chcieć, aby one doprowadziły nas do nawrócenia. Czasami tylko upadek i związane z nim cierpienie zdolne są wstrząsnąć człowiekiem i skłonić do nawrócenia. Nawrócenie zakłada skruchę serca i tęsknotę z za przebaczeniem. Bóg, chcąc wzbudzić w nas skruchę i tęsknotę za Jego miłością przebaczącą pierwszy wybiega nam. na przeciw. W swym pragnieniu przebaczenia unia się tak głęboko, że - jak mówią święci - staje się niekiedy jakby wołającym o pomoc żebrakiem.

Wstrząsająca jest scena samobójstwa majora Scobie, bohatera książki Grahama Green'a "Sedno sprawy". Po zażyciu śmiertelnej dawki tabletek, w ostatniej chwili życia majorowi wydaje się, że Ktoś rozpaczliwie go szuka i przywołuje. Słyszy wołanie o ratunek, krzyk, odgłosy bólu. Z nieskończonej odległości udaje mu się przywlec resztki świadomości i dać odpowiedź, która go ocali: Dobry Boże, kocham□

Role zdają się paradoksalnie zamienione. To nie Scobie wzywa pomocy. To Bóg, utożsamiając się z nieszczęśliwym, woła o ratunek - o ratunek dla□ siebie. W ostatnim momencie jego życia Bóg woła: Pomóż mi, abym mógł ci przebaczyć, pozwól mi uratować cię!

Nie można poznać Chrystusa bez człowieka

Żeby nasz grzech mógł stać się winą szczęśliwą, musimy najpierw do niego się przyznać. Święty Jan w swojej Ewangelii przekazuje nam Chrystusową obietnicę, że Pocieszyciel, Duch Święty, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu (por. J 16, 8). Jedną więc z funkcji Ducha Świętego, który zstępuje przeciw na świat, **to przekonanie nas o naszym grzechu**. Jest to łaska wstępna, fundamentalna w życiu wewnętrznym, której udziela nam Duch Święty, byśmy mogli być przekonani o naszym grzechu, o tym, że jesteśmy grzesznikami.

Nie wystarczy jednak przyjęcie tej pierwszej łaski Ducha Świętego. Gdybyśmy poznali w sobie tylko rzeczywistość grzechu, to ona mogłaby nas zniszczyć. Nasze życie byłoby jedynie uginaniem się pod ciężarem własnego zła; byłoby naznaczone niepokojem, stresem i smutkiem. Musi być w nas otwarcie na dalsze dary Ducha, **na odkrycie przez wiarę miłości Boga ku nam**.

Papież Jan Paweł II w swojej homilii na Placu Zwycięstwa w Warszawie wypowiedział pamiętne słowa: "Człowieka bowiem nie można do końca zrozumieć bez Chrystusa. A raczej: człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa" (Warszawa, 2 VI 1979). Znaczy to, że jeżeli nie bierzesz pod uwagę, że w twoje życie wkroczył Chrystus, twój obraz samego siebie jest okrojony, a tym samym fałszywy. Jeżeli Duch Święty ukaże ci, że jesteś grzesznikiem, a ty nie odkryjesz Chrystusa, który cię kocha, możesz się załamać. Pewne relacje są dla człowieka tak ważne, że wchodzi jakby w istotę jego samego. Do nich należy relacja miłości. Nie możemy poznać siebie bez Chrystusa, ponieważ **bez Chrystusa nie poznamy, że jesteśmy umiłowani**, że zostaliśmy odkupieni i wybrani. To wybraństwo, ta miłość stanowi istotną część twojego "ja" i przed tym nie możesz się bronić.

Istnieje też druga część wspomnianej wyżej prawdy: **Nie można poznać Chrystusa bez poznania człowieka.** Nie możemy pojąć, kim jest Bóg, nie możemy też uwierzyć w Jego wielkość i Jego miłość do nas, jeżeli najpierw nie odkryjemy samych siebie. Gdyby Chrystus kochał ciebie dlatego, że jesteś wart miłości, nie byłoby w tym nic szczególnego. Również człowiek, nawet niewierzący, potrafi kochać kogoś, kto jest tego wart. Miłość Chrystusa, jako Boska *agape*, to miłość, która zstępuje z wysoka i kocha to, co jest niegodne, aby mogło stać się godne. **Im wyraźniej zobaczysz swoją grzeszność, im uczciwiej przyznasz się do niej, tym lepiej odkryjesz Chrystusa i pełniej uwierzysz w Niego.** Taki jest paradoks wiary - nie można poznać Chrystusa bez poznania człowieka. Dlatego można powiedzieć, że Chrystusa naprawdę poznają tylko święci, ponieważ oni dogłębnie poznali siebie i zobaczyli ogrom własnej grzeszności. To pozwoliło im odkryć szaleństwo Boga, czemu nieraz dawali wyraz w swojej modlitwie wyznając: Boże, przecież Ty oszalałeś, jeżeli mnie, takiego grzesznika, tak kochasz! Widać tu charakterystyczny dla każdego autentycznego przeżycia religijnego **moment zdumienia.** Człowiek, który poznał, że jest grzesznikiem, i uwierzył w miłość, zaczął dostrzegać, że Bóg naprawdę oszalał w swojej miłości do niego.

Jak patrzeć na własne zło

Walka o wiarę w sensie procesu nawracania obejmuje zwalczanie pośpiechu, niepokoju i stresu, a zwłaszcza smutku. **Smutek jest szczególnym przejawem miłości własnej, podcinającym same korzenie wiary, korzenie zawierzenia.** Chodzi i o smutek pojawiający się w sytuacjach trudności doczesnych, kiedy coś jest nam zabierane, coś tracimy, ale jeszcze bardziej o smutek w obliczu trudności duchowych, kiedy upadamy, kiedy dochodzi do niewierności. Smutek działa paralizująco na naszą wiarę. Po upadku nie powinniśmy upadać na duchu, ponieważ tym sprawiamy Bogu jeszcze większą przykrość niż samym grzechem. Co więcej, święci mówią, że **po upadku mamy spodziewać się łask większych niż przed upadkiem.**

Walka o akceptację porażek i niepowodzeń w naszym życiu winna obejmować nawet sprawy najdrobniejsze. Święty Maksymilian, kiedy grał z braćmi w szachy, bardzo lubił przegrywać. To było jego *agere contra*, odwracanie się od miłości własnej, by móc zwrócić się w pełni ku Panu.

Staraj się w świetle wiary tak patrzeć na własne niedoskonałości, żeby się nimi nie smucić: Chrystus przyjmuje ciebie takim, jakim jesteś. Możesz iść do Niego wraz z całą swoją niedoskonałością i słabością. On naprawi to, co źle zrobiłeś, uzupełni wszystkie twoje niedoskonałości.

Staje tu przed nami niezwykle ważny problem. Mamy z jednej strony nie chcieć zła, które w nas jest, a z drugiej strony zaakceptować siebie. Nie możesz jednak kochać swojej niedoskonałości jako takiej, możesz chcieć tylko jej skutków. Służy ci ona tylko po to, abyś mógł stać się jeszcze bardziej pokorny, ufny i bardziej wierny. Fakt, że popełniasz grzechy, nie powinien cię dziwić. Raczej w duchu pokory powinieneś dziwić się, że nie upadasz. Jeżeli dziwisz się lub zniechęcasz z powodu upadków, znaczy to, że ufałeś własnym siłom, zamiast pozwolić się nieść w ramionach Jezusa. Przecież "jeden akt miłości, nawet nie odczutej - podkreśla św. Teresa od Dzieciątka Jezus - naprawia wszystko" (L. Cel. 20 X 1888). Nie trzeba "zniechęcać się swymi błędami - pisze Święta - gdyż dzieci upadają często, ale są zbyt małe, aby sobie zrobić wiele złego" (*Żółty zeszyt*, 6 VIII 1897). Święta Teresa z Lisieux bardzo lubiła powierzać Panu Jezusowi swoje błędy i niewierności. Mówiła, że w ten sposób

chce przyciągnąć Jego miłosierdzie, bo przecież przyszedł do grzeszników, a nie do sprawiedliwych. Jakże to wszystko ważne jest dla nas, którzy smucimy się, że upadamy.

"Co to szkodzi, Jezu drogi, jeżeli upadam co chwila - pisze św. Teresa - widzę wtedy słabość moją, a to dla mnie wielki zysk. Ty, Jezu, widzisz wówczas, jak słaba jestem i nic nie potrafię uczynić, a wtedy tym skłonniejszy jesteś, by nieść mnie w swoich ramionach" (L. Cel. 26 IV 1889).

W miarę przybliżania się do celu, jakim jest Bóg, cel ten zdaje się coraz bardziej oddalać. To jest normalne i prawidłowe. Teresa, widząc swoje oddalanie się od Boga, wcale się tym nie smuci: "Jakże jestem szczęśliwa widząc, że jestem tak niedoskonała i potrzebuję tyle Bożego miłosierdzia w chwili śmierci" (*Żółty zeszyt*, 29 VII 1897).

Jeżeli czujesz się grzeszny i słaby, masz szczególne prawo do Jezusowych ramion, ponieważ On jest Dobrym Pasterzem, który szuka owiec zaginionych i tych słabych, bezradnych, nie nadążających za stadem. Pozwól się Jezusowi brać na ramiona, pozwól Mu kochać, uwierz w Jego miłość.

Abyś miał prawo do bycia na Jego ramionach, musisz przyjąć postawę pokory; musisz uznać, uwierzyć, że jesteś grzeszny i że jesteś słaby. Jednocześnie jednak musisz uwierzyć w Jego miłość, w to, że On bierze cię w swoje ramiona właśnie dlatego, że jesteś grzeszny, słaby i bezradny. Wiara będzie rodziła w tobie wdzięczność za to, że On nigdy nie przestaje cię kochać - ciebie grzesznego, słabego, bezradnego tak w życiu doczesnym, jak i duchowym.

"Sakrament nawrócenia"

Zawsze gdy przystępujesz ze szczerą skruchą do sakramentu pokuty - który można nazwać sakramentem nawrócenia - twoja wiara ma wielką szansę wzrostu. Sakrament pokuty często nie spełnia właściwej roli w naszym życiu z powodu rutyny, spowszednienia, braku przygotowania i dyspozycji. Za mało pamiętasz, że szczególnym kanałem łaski dla ciebie i szczególnym czasem twojego spotkania z Chrystusem jest nie tylko Eucharystia, ale również sakrament pokuty. Może też za mało pamiętasz o modlitwie za swojego spowiednika czy kierownika duchowego, by i on stawał się dla ciebie coraz doskonalszym Bożym narzędziem i pomocnikiem w procesie twojego nawrócenia.

Rachunek sumienia powinien być spojrzeniem w głąb samego siebie i zobaczeniem, na co twoje życie jest ukierunkowane, co jest dla ciebie najwyższą wartością **i kim jest dla ciebie Jezus Chrystus**. - I z tego trzeba się przede wszystkim spowiadać. Kim jest dla ciebie Jezus Chrystus? Jaki jest twój wybór zasadniczy? Czy naprawdę wybrałeś Go do końca? Od tego trzeba by zaczynać wyznawanie grzechów, bo to jest najważniejsze. Jeżeli nie wybrałeś Chrystusa, to inne grzechy są skutkiem i wynikiem tej twojej podstawowej winy.

Grzechy mogą być różnego rodzaju. Są grzechy popełniane i grzechy zaniedbania. I właśnie te ostatnie są zwykle najgorsze. To wśród nich pojawia się ten, że ty **opuszczasz Chrystusa, zostawiasz Go, dajesz Mu tylko jakiś mały kącik w swoim sercu**. I to jest największe twoje zło, właśnie ten kompromis i brak radykalizmu, to że Chrystus ciągle nie jest dla ciebie najwyższą wartością, że nie jest wszystkim, że twoja wiara jest ciągle letnia.

Spośród pięciu warunków sakramentu pokuty najważniejszy jest **akt żalu**. Jak spędzasz czas przed spowiedzią? To właśnie żal powinien być twoim bezpośrednim przygotowaniem na spotkanie z Chrystusem, bo on może najlepiej otworzyć cię na ten kanał łaski, jakim jest sakrament nawrócenia. Może nie cenisz sobie dostatecznie tego czasu przed przystąpieniem do sakramentu pokuty - a jest to czas bezcenny. Czas ten powinieneś poświęcić przede wszystkim na wzbudzenie skruchy. **Skrucha** to twoja postawa w obliczu krzyża, to odczucie, że grzechem zraniłeś Chrystusa, to także chęć przeproszenia Boga i naprawienia zła. Twoja skrucha powinna stawać się coraz głębsza, bo od tego zależy owocność sakramentu pokuty. **Nie możesz się nawrócić, dopóki nie będziesz tak naprawdę i do końca skruszony.**

Istnieją jakby dwa typy religijności: jeden z nich można by nazwać "egocentrycznym", a drugi - "teocentrycznym". W pierwszym wypadku człowiek koncentruje swoją uwagę na sobie. Nie bierze pod uwagę Boga, a jedynie własną sytuację. Do spowiedzi idzie z tą myślą, żeby się oczyścić, bo jest mu ciężko ze swym grzechem, i żeby być w porządku przed Bogiem. Dla takiego człowieka spowiedź może stać się swoistą "aspiryną" na ból sumienia, pigułką, która ma go uspokoić i przywrócić mu dobre samopoczucie. Jest tu więc ciągle skoncentrowanie na sobie. Taki człowiek, gdy uzyskuje rozgrzeszenie, odchodzi od konfesjonału może niezupełnie smutny, ale i nie radosny, bo wciąż jeszcze skoncentrowany na złu, które dopiero co zrzucił.

Kiedy patrzymy na Judasza, możemy odkryć w jego zachowaniu po zdradzie Jezusa wiele elementów spowiedzi. Jest rachunek sumienia, bo Judasz zastanawia się nad tym, co zrobił i uświadamia sobie własne zło. Występuje również żal - Judasz naprawdę żałuje. Chce nawet zmienić się, a więc jest postanowienie poprawy. Jest też wyznanie grzechu, kiedy Judasz idzie do kapłanów i wyznaje: "Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną" (Mt 27, 4). Jest nawet zadośćuczynienie, bo rzuca on kapłanom te 30 srebrników, które od nich otrzymał. Nie chce zapłaty krwi. Właściwie w zachowaniu i postawie Judasza dostrzec można prawie wszystko, co ma miejsce w przypadku spowiedzi, zabrakło tylko jednej, najważniejszej rzeczy - **wiary w miłosierdzie Jezusa** (zob. L. Evely, *Le chemin de joie*, 116). To dlatego "spowiedź" Judasza jest taka smutna, tragiczna, zakończona rozpaczą i samobójstwem.

Nasza spowiedź winna być spowiedzią na miarę Piotra, który uwierzył w miłosierdzie Chrystusa i skoncentrował się nie tyle na swoim grzechu, ile na przebaczeniu. Człowiek o religijności "teocentrycznej" nie tyle patrzy na własne grzechy, co raczej grzech bierze za punkt wyjścia, by przez wiarę odkryć miłosierdzie Boga. Przystępując do konfesjonału, myśli on przede wszystkim o tym, że zranił Chrystusa i chce odnowić zranioną przez siebie przyjaźń. Chce przez skruchę i żal pozwolić Jezusowi na przebaczenie i przez to przynieść Mu radość. Ukrzyżowaliście Chrystusa - powie święty Proboszcz z Ars - ale kiedy idziecie się spowiadać, idziecie uwolnić Pana naszego z krzyża.

Jeżeli zraniłeś Chrystusa, to Jego rany krwawią. Powinieneś więc przychodzić do sakramentu pokuty, aby te rany mogły się goić. **Powinieneś przychodzić ze względu na Niego**; nie po to, **żeby się uspokoić, ale żeby wywołać Jego radość** z kształtowania w tobie przez łaski sakramentu nowego, odrodzonego człowieka.

Niektórzy zarzucają sobie, że po spowiedzi nie poprawiają się. Może i ty sądzisz, że spowiedź jest po to, abyś był lepszy i jeżeli nie stajesz się lepszy, to uważasz, że twoje spowiedzi nie mają sensu; może uważasz, że jeżeli masz być lepszy i nie poprawiasz się, to lepiej, żebyś nie przychodził do spowiedzi, bo nie ma postępu. Tymczasem, kiedy tak bardzo

chcesz być lepszy, kiedy tak bardzo zależy ci na postępie, to okazuje się, że chcesz nie tyle Boga, nie tyle Jego miłosierdzia, ile raczej własnej doskonałości, i to są braki twojej wiary. Idziesz do spowiedzi po to, aby później być już tak dobrym, by nie potrzebować Boga, który jest miłosierdziem. Idziesz do Boga po przebaczenie, aby potem już nigdy Jego przebaczenia nie potrzebować, byś mógł obchodzić się bez Niego, choć On ciągle chce ci przebaczać, przebaczać z radością.

Jak mało wierzymy w to Boże pragnienie nieustannego przebaczenia. Ciągłe wśród odchodzących od konfesjonału tak mało twarzy radosnych. - A przecież po spowiedzi świat powinien być dla ciebie inny, jaśniejszy, przeświecony wiarą w miłosierdzie Pana.

W Ewangelii wszystkie "spowiedzi" kończą się ucztą: Pan przychodzi w gościnę do Zacheusza i celnik Mateusz, przyszedł ewangelista, zaprasza na ucztę Chrystusa, prosząc na nią jednocześnie innych celników i grzeszników, by wszyscy radowali się, że on otrzymał przebaczenie. Uczętę przygotował również ojciec syna marnotrawnego (zob. L. Evely, *Le chemin de joie*, 112). **Ewangelia stale łączy przebaczenie z elementem radości.**

O nawróceniu decyduje skrucha. W sakramencie pokuty spotykamy Chrystusa, który chce nam przebaczyć i leczyć rany naszego grzechu, ale jeżeli nie pokazujesz Jezusowi swoich ran, to On nie może ich uleczyć.

Jeżeli twoja skrucha nie będzie miała granic, to nie będzie też miała granic miłosierdzie Pana. Pomyśl, jakie są twoje spowiedzi. Skrucha jest aktem pokory. W pokorze powinieneś nieustannie wzrastać, stąd i skrucha powinna w tobie wciąż wzrastać. Nigdy nie dość skruchy i nigdy nie dość żalu. Im bardziej poczujesz się grzeszny i gorszy od innych, tym więcej zrobisz miejsca dla łaski i dla twojej wiary.

Sakrament pokuty powinien być sakramentem oczekiwanym. Przecież jest to szczególnie czas naszego spotkania z Chrystusem. - Miłość chce być oczekiwana, a jeżeli nie jest oczekiwana, doznaje zranienia.

Patronowie sakramentu nawrócenia

Jednym z patronów sakramentu nawrócenia jest Zacheusz. Kiedy wspominamy tę przedziwną postać, przychodzi nam na myśl na zasadzie kontrastu postać bogatego młodzieńca. Bogatemu młodzieńcowi, jako człowiekowi bardzo "porządnemu", było chyba trudno o skruchę. Przecież przestrzegał wszystkich przykazań Dekalogu, dlatego więc miałby być skruszony. A Jezus powiedział, że takiemu człowiekowi będzie bardzo trudno wejść do królestwa niebieskiego. On nie dostrzegł w sobie tego największego zła, tego, jak bardzo był przywiązany do bogactw i urzędu oraz tego, że nie wybrał Boga do końca. Jemu wydawało się, że jeżeli przestrzega Dekalogu, to "jest w porządku" wobec Boga. Nie wiemy, co stało się z nim później, ale ten tak bardzo wyraźny ból Jezusa po jego odejściu wskazuje, jak zły był jego duchowy stan.

Obok tego "porządnego" młodego człowieka Ewangelia ukazuje nam swoiste *extremum* - kanalię i łotra - Zacheusza. Można użyć tak ostrych określeń, bo Zacheusz, przywódca celników, czyli kolaborantów i złodziei, był naprawdę człowiekiem godnym pożałowania zarówno w opinii własnej, jak i otoczenia. Kiedy ten wielki grzesznik napotkał miłosierne spojrzenie Jezusa, coś w nim drgnęło - i ta jego niezwykła reakcja: "Panie, oto połowę

mojego majątku daję ubogim, a jeżeli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnice" (Łk 19, 8). Kto z nas potrafiłby oddać połowę majątku ubogim, a krzywdy wynagrodzić czterokrotnie? Jest w tym swoiste szaleństwo hojności skruszonego grzesznika, który odkrył, że jest kochany. **Zacheusz** naprawdę **oszał ze zdumienia i radości**. Jezus do "porządnego" młodego człowieka zwrócił się z zachętą, by ten oddał swoje bogactwo, ale Zacheuszowi nie mówił nic, on sam to zrobił, bez zachęty. Mamy więc człowieka "porządnego", który nie odpowiedział na "spojrzenie z miłością" i odszedł smutny, i mamy herszta złodziei, który okazał się tak wrażliwy na miłość Boga.

Znajdujące się w wielu kościołach boczne kandelabry nazywa się od imienia Zacheusza - zacheuszkami. Ich symbolika jest bardzo głęboka. Ma ona przypominać nam to niezwykle wydarzenie, kiedy to Jezus, zamiast wstąpić na posiłek do kogoś porządnego, takiego choćby jak bogaty młodzieniec, powiedział do herszta złodziei: "Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu" (Łk 19, 5). Przyjście do kogoś w gościnę oznaczało wówczas nawiązanie z tym kimś pewnej duchowej komunii. To nie było tylko zwykłe przyjęcie na posiłek czy przyjęcie. Nie chodziło o to, żeby coś zjeść, ale by wejść z kimś w szczególny, intymny kontakt. Jezus wybrał Zacheusza, aby wejść w osobową komunię właśnie z nim. Przychodząc do domu pewnie największego złodzieja Jerycha, samą swoją obecnością dokonał konsekracji tego domu. Dom Zacheusza stał się przez to jakby świątynią i sanktuarium. Może czasem mamy ochotę powiedzieć Jezusowi: Panie Jezu, jaki Ty masz kiepski gust, jeśli wybierasz sobie na sanktuarium dom i serce złodzieja. **Ale taki jest Bóg - szalony w swojej miłości ku człowiekowi**. Jezus przyszedł do Zacheusza, aby przynieść zbawienie jego domowi. Domowi, to znaczy samemu Zacheuszowi, jego rodzinie, ale i tym wszystkim, którzy do niego przychodzili i zasiadali z nim do stołu, a więc podobnym jemu celnikom i grzesznikom. Przeszedł, by z nimi tworzyć komunię, by przyjąć ich do tej konsekrowanej przez siebie świątyni. **Serce Zacheusza stało się sanktuarium Boga, bo było to serce naprawdę skruszone**. Tylko bowiem z serca skruszonego Jezus może uczynić swoją prawdziwą świątynią.

Patronem sakramentu pokuty jest również dobry łotr. Jego "spowiedź" odbyła się na krzyżu. Tam przyznał się do winy mówiąc: "My przecież odbieramy słuszną karę za nasze uczynki" (Łk 23, 41). Co działo się wtedy w jego duszy, pozostanie dla nas tajemnicą. Jedynie po skutkach możemy domyślać się niezwykłego cudu łaski. Ten człowiek musiał być bardzo skruszony, z pewnością czuł się kimś najgorszym, był przecież bandytą i człowiekiem bez czei w opinii otoczenia. Ukrzyżowanie bowiem oznaczało również pozbawienie skazanego wszelkich praw. Łotr umierał w męczarniach na oczach wszystkich i godził się na to. Tym swoim stwierdzeniem: "My słusnie cierpimy", jakby mówił - "tak, mnie się to należy, zasłużyłem na to". Musiał wtedy zstąpić gdzieś w głąb swej grzeszności i zdobyć się na głębię skruchy. To z pewnością ta postawa skruchy i głębokiej pokory uczyniła jego serce dyspozycyjnym na przyjęcie Bożego daru wiary. Jak przecież wielka musiała być jego wiara, jeśli w umierającym obok pobitym, oplutym i wciąż jeszcze wyszydzanym Jezusie rozpoznał Króla - "Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa" (Łk 23, 42). Nam tak trudno się nawrócić, bo za mało skruchy w naszym sercu, a jeżeli mało w nas skruchy, to i wiara nasza taka płytka.

Nawrócenie ku radykalizmowi

Proces twojego nawracania się powinien cię doprowadzić do ewangelicznego radykalizmu, radykalizmu wiary, do którego wzywa Bóg słowami Apokalipsy św. Jana:

"Obyś był albo zimny, albo gorący! A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust" (*Ap 3, 15-16*).

O tym, jak ważny jest radykalizm naszej wiary, mówi św. Jan od Krzyża, powołując się w tym celu na obraz dwóch uwiązanych ptaków (zob. *Droga na Górę Karmel*, I, 11, 4). Jeden z nich jest uwiązany grubą, a drugi cienką nicią. Sytuacja ich jest jednak ostatecznie podobna, ponieważ obydwa ptaki pozostają uwiązane. Zmieni się ona dopiero wtedy, gdy nie będzie żadnych więzów.

Przeciwieństwem radykalizmu jest kompromis, kompromis w pragnieniach, w postawie, w modlitwie. Bóg jest maksymalista, On chce dać ci wszystko, ale ty ciągle niewiele chcesz i prosisz o zbyt mało. Ty ciągle nie szukasz tego, co najważniejsze, co byłoby realizacją celu twojego życia - by Chrystus mógł w tobie w pełni żyć i królować. Czy wiesz, jak bardzo krepujesz Bogu ręce, kiedy prosisz o niewiele i zadowalasz się kompromisem? W naszym życiu wszystko ma być podporządkowane temu jednemu celowi - aby **Chrystus w nas wzrastał i aby osiągnął w nas swoją pełnię**. Wszystko ma temu służyć, dlatego Bóg domaga się radykalizmu również w naszych prośbach. Pan Bóg może ich nie wysłuchać, ponieważ o "zbyt mało" prosimy. Jeżeli wysłuchanie prośby o mieszkanie, o zdrowie, o pracę sprawiłoby, że Bóg stałby się potem niepotrzebny, jeżeli nie pomogłoby człowiekowi w pójściu do końca za Panem, to Bóg takiej prośby może nie chcieć wysłuchać. Pan Bóg jest szalony, On chce ci dać wszystko, chce ci dać królestwo, a ty, chcąc tak mało, uniemożliwiasz Mu to.

Szukajcie naprzód, czyli przede wszystkim, królestwa Bożego i jego sprawiedliwości, a wszystko inne będzie wam dodane (por. *Mt 6, 33*). Ktoś zaś powiedział, że jeżeli nie będziesz szukał nade wszystko królestwa Bożego, to nawet ta reszta, to wszystko inne będzie ci zabrane. Każdy twój problem, który przeżywasz, każda trudność jest ostatecznie wołaniem ze strony Boga o to, byś pragnął więcej, nieskończenie więcej, byś szukał nade wszystko królestwa Bożego, ponieważ wtedy wszystko inne będzie ci przydane; jest wołaniem ze strony Boga o twoje nawrócenie, o twoją wiarę.

O radykalizmie św. Teresy od Dzieciątka Jezus powiedziała jej rodzona siostra Maria: "Jesteś opętana Bogiem" (*L. do Marii*, 16 IX 1896). Opętana, to znaczy pragnąca oddać wszystko Panu. Próbuj za jej przykładem chcieć więcej, coraz więcej, tak by radykalizmem ewangelicznym została ogarnięta twoja wola, abyś też stał się "opętany" Bogiem, abyś za św. Teresą mógł powiedzieć: "wybieram wszystko, czego Ty chcesz!" (*Pisma I*, 89). Ona w dniu swojej śmierci, wieczorem 30 września 1897 roku, powiedziała: "Nigdy nie przypuszczałam, że można tyle cierpieć. Nigdy! nigdy! Nie mogę tego wytłumaczyć inaczej, jak tylko moim gorącym pragnieniem zbawiania dusz!" (*Żółty zeszyt*, 30 IX 1897). Święta Teresa cierpiała również za ciebie, abyś jak ona był "opętany" Bogiem, byś jak ona żył ewangelicznym radykalizmem.

Święty Ambroży podkreśla, że Pan Bóg patrzy nie tyle na to, co ofiarowujemy Mu w darze, ile na to, co rezerwujemy dla siebie. Bóg jest Bogiem zazdrosnym, On ukochał cię do końca i chce, żebyś w pełni otworzył się na Jego dar, by mógł cię obdarzyć wszystkim.

Spotkanie Jezusa z bogatym młodzieńcem, przekazane nam w ewangeliach trzykrotnie - przez św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza, było rzeczywiście spotkaniem niezwykłym: Gdy Jezus wybierał się w drogę, przybiegł pewien człowiek i upadłszy przed Nim na kolana,

zapytał Go: Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne? Jeśli chcesz osiągnąć życie wieczne - powiedział mu Jezus - zachowuj przykazania. - Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, czcij ojca i matkę oraz miłuj swego bliźniego jak siebie samego. Odrzekł młodzieniec: Nauczycielu, wszystkiego tego przestrzegałem od mojej młodości. Wtedy Jezus spojrział z miłością na niego i rzekł mu: Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną. Lecz on spochmurniał na te słowa i odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości (por. *Mt* 19, 16-22; *Mk* 10, 17-22).

W dalszym opisie tej sceny św. Łukasz przekazuje nam coś niezwykłego i zaskakującego: "Jezus zobaczywszy go takim rzekł: " (*Łk* 18, 24). Uczniowie zdumieni się na te słowa. My też moglibyśmy się zdumiewać. - Przecież on zachowywał wszystkie przykazania. Jezus jednak, "zobaczywszy go takim", powiedział: Jak trudno takiemu wejść do królestwa Bożego. Tekst jest wstrząsający. Jezus powtórnie rzekł Apostołom: "Dzieci - tak jakby z wyrozumieniem, że to trudne dla nich - jakże trudno wejść do królestwa Bożego tym, którzy w dostatkach pokładają ufność. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego. A oni tym bardziej się dziwili i mówili między sobą: Któż więc może się zbawić?" (*Mk* 10, 24-26). Wynika z tego, że nie wystarczy przestrzegać przykazań Bożych, że **Chrystusowe wezwanie do szaleństwa, a więc do radykalizmu ewangelicznego, zobowiązuje nas**. Musimy zatem ciągle nawracać się ku takiemu radykalizmowi. Święta Teresa z Avila, komentując ten tekst, powie, że bogatemu młodzieńcowi zabrakło ziarna szaleństwa. Był on, jak podaje św. Łukasz, przełożonym, miał więc jakieś ważne stanowisko. Trzeba mu było zatem wyrzec się wielu rzeczy, a właściwie wszystkiego. W jego sytuacji trzeba było być szalonym, trzeba było zgodzić się na to, że ludzie powiedzą, iż postradał zmysły - opuścić wszystko to nie takie proste. Jezus jednak mówi: Tylko ten wejdzie do królestwa niebieskiego, kto zostawi wszystko dla Boga. Nie wystarczy kochać bliźniego jak siebie samego. Przecież bogaty młodzieniec przestrzegał wszystkich przykazań.

Wszyscy jesteśmy wezwani do szaleństwa. Bez tego ziarna szaleństwa nie możemy pójść za Panem do końca. Przecież i tak, wcześniej czy później, będziesz musiał wszystko zostawić, oderwać się od wszystkiego. Najtrudniej ci będzie zostawić to na końcu, kiedy będziesz umierał. Wtedy trzeba będzie to zrobić, ale w bólu strasznym, a Pan chciałby ci tego bólu zaoszczędzić. Chciałby, żebyś już teraz zostawił to całe swoje bogactwo, niekoniecznie w sensie dosłownym. Można by się zdumiewać, że Pan żąda od nas tak wiele, ale przecież to żądanie jest Bożym pragnieniem naszej wolności i naszego dobra. Ewangeliczne szaleństwo polega na tym, że **my oddajemy Bogu wszystko, co nasze, a On daje nam w zamian wszystko swoje. My oddajemy nasze marne wszystko, a On nam daje swoje cudowne wszystko, swoje Boże wszystko**. Uczmy się tego od Maryi, która jest naszym wzorem. Ona naprawdę oddała Panu wszystko i poszła za Nim do końca. Matka naszego zawierzenia, Matka naszego radykalizmu.

Rozdz. II "Cnota" humoru w służbie wiary

Bóg jest nieskończonym miłosierdziem. Dawidowi przebaczył jego cudzołóstwo i morderstwo, przebaczył celnikowi, który był zdrajcą i chciwcem, przebaczył bandycie na krzyżu. Jest jednak coś takiego, co uniemożliwia Panu Bogu rozlanie swojego miłosierdzia i czego Pan Bóg nie może w tobie znieść - to twoja niczym nie zachwiana absolutna powaga, to, że czujesz się kimś ważnym. Wtedy Pan Bóg jakby rozkłada ręce. Twoje poczucie ważności jest dla Niego czymś śmiesznym, absurdalnym. "Śmieje się Ten, który mieszka

w niebie" (*Ps* 2, 4). Gdy popatrzyś na siebie **w świetle wiary**, zobaczysz, że **wszystkie twoje roszczenia do absolutnej powagi i uznania są naprawdę śmieszne**.

Poczuciu własnej ważności przeciwstawia się w dużej mierze "cnota" humoru. Okazuje się ona bardzo potrzebna do tego, by wzrastała w nas wiara jako widzenie świata we właściwym świetle i we właściwych proporcjach. Humor to widzenie świata na osi absurdu i niedorzeczności. Mamy patrona humoru - św. Tomasza More. Na ten temat mamy też pokazną literaturę takich autorów, jak: G.K. Chesterton, C.S. Lewis, B. Marshal, F. Sheed i inni. Piszą oni o religijnej wartości komizmu, o humorze jako zabiegu religijnym na usługach wiary, o "teologii" humoru.

Jansenizm jako zagrożenie dla wiary

Wielkim zagrożeniem dla wiary stała się w XVII wieku herezja jansenizmu. Przez grzech pierworodny - nauczał teolog z Lowanium Cornelius Jansen - natura ludzka uległa całkowitemu zepsuciu i wydana została na łup pożądliwości. Bóg udziela swej łaski tylko wybranym, a innych przeznaczają na wieczne potępienie. Ten pesymistyczny pogląd na naturę ludzką łączono z twierdzeniem, że Chrystus zmarł nie za wszystkich ludzi bez wyjątku, a jedynie za wybranych.

Jansenizm stawiał rygory nie do pokonania, między innymi w stosunku do Komunii św. Do jej przyjęcia potrzebna była dyspozycja, której przeciętny chrześcijanin zwykle nie posiadał. Wymagana była całkowita wolność nawet od grzechów powszednich i absolutnie czysta miłość Boga. Komunia św. stawała się zapłatą za cnotę, a nie pokarmem umacniającym wiarę i miłość. W opanowanych przez jansenizm kościołach powiało smutkiem, grozą, przerażeniem. Człowiek zaczął bać się Boga. Do Eucharystii tylko niekiedy odważał się przystępować.

Ośrodkiem jansenizmu stało się cysterskie opactwo w Port-Royal. O tym, jaki panował tam duch, może świadczyć ułożony przez jedną z tamtejszych sióstr "Różaniec do Najświętszego Sakramentu", w którym podkreślano wszystko to, co oddziela Boga od człowieka. Bóg był przedstawiany nie jako miłosierny i kochający Ojciec, ale jako absolutny, niedostępny, surowy i bezwzględny Pan. W myśl poglądów jansenistycznych chrześcijanin to pokutnik za grzechy, nie może więc pozwalać sobie na radość. W jego życiu winien dominować smutek wynikający z pamięci na własne grzechy. Przełożona pensjonatu dla dziewcząt w Port-Royal, rodzona siostra Blaise Pascala, w regulaminie przeznaczonym dla swych wychowanek zakazywała śmiechu; źle widziany był nawet uśmiech.

Jansenizm został kilkakrotnie potępiony przez Stolicę Apostolską, ale jego skutki odczuwała jeszcze św. Teresa z Lisieux, która musiała specjalnie prosić przełożoną o możliwość częstszego przyjmowania Komunii św. Skutkiem jansenizmu jest też tak często występujący również w życiu współczesnych chrześcijan lęk przed Bogiem, widzenie w Nim jedynie sprawiedliwego Sędziego. A przecież wiara chrześcijańska najpełniej wyraża się w radości z odkrycia osobowej miłości Boga, na której można się oprzeć i której można się powierzyć. Tak przeżywana wiara usuwa postawę dramatycznego fatalizmu również wobec własnego zła, które nasz żal może przemienić w "szczęśliwą winę". Płynąca z wiary radość chrześcijańska jest jakby promieniowaniem miłości Bożej. To wiara każe ci uśmiechać się do Boga, radować Jego miłością, a na siebie, traktowanego zbyt poważnie, patrzeć z pewnym dystansem, w perspektywie humoru. "Cnota" humoru pozwoli ci zwalczyć truciznę smutku,

którą szatan usiłuje wsaczyć do twojej duszy, a usuwając troskę o siebie, umożliwi ci życie płynącą z wiary radością.

Humor jako "egzorcyzm"

"Cnota" humoru, ustawienie czy też zobaczenie świata w kategoriach absurdu stanowi zabieg religijny, który może mieć **wartość egzorcyzmu**. Gdy walczysz z falą pokus, falą natrętnych myśli, które potrafią cię umęczyć, nie wstępuj w szranki w walce z szatanem, bo on jest silniejszy od ciebie, ale staraj się z niego zakpić, zlekceważyć go. Użyj tego "egzorcyzmu", jakim jest religijne poczucie humoru. Kpiąc sobie z szatana odrzucasz jego atak w sposób najbardziej skuteczny. **Szatan wyśmiany jest najmocniej uderzony**, ponieważ on, tak śmiertelnie poważny, bardzo boi się kpiny, dlatego zmuszony jest od ciebie odstąpić.

Chrześcijańskie poczucie humoru pomoże ci też w zapasach z drugim przeciwnikiem, jakim jest twoje własne "ja". To też bożek śmiertelnie poważny, nietykalny i absolutny. Nie można go tknąć ani z niego zakpić, nie można urazić ni skrytykować. Humor w walce z nim staje się religijnym zabiegiem i aktem wiary, kiedy patrząc na siebie próbujesz zobaczyć to własne "ja" we właściwym świetle: Przecież tak naprawdę to jestem takim małym "nic". Dlaczego więc robię z siebie centrum świata, dlaczego moje sprawy uważam za najważniejsze, dlaczego aż tak bardzo przeżywam swoje porażki i trudności - i jestem taki śmiertelnie poważny. Przecież wystarczyłoby spojrzeć na to wszystko z odrobiną pobłażania, żeby zobaczyć, że to, czym tak się martwię, czego się lękam, o co się troszczę, jest wręcz śmieszne wobec tej jedynej ważnej rzeczywistości, jaką jest Bóg.

Chrześcijański humor jest zabiegiem strącania bożka twojego "ja" z tronu. Gdy dostrzeżesz komizm sytuacji, w których twoje "ja" zasiada na tronie, to przynajmniej na pewien czas sytuacje te zostaną ośmieszone i ukażą się jako niegroźne dla ciebie. Zdemaskowana zostanie twoja próżność i pycha, ośmieszone i zdemaskowane to, co pretendowało do wielkości czy do rodzącego w tobie lęk zagrożenia. Stąd religijny zabieg humoru ma doniosłą rolę również w zachowaniu psychicznej równowagi człowieka.

Proch i pył

Humor to "zabieg religijny", dzięki któremu potrafisz sobie powiedzieć: Patrz, jaki jesteś niedorzeczny, troszczysz się o byle głupstwo, masz tyle zmartwień, niszczysz swoje zdrowie, a przecież to wszystko jest jak proch, jak śmiecie i ostatecznie może okazać się bez wartości. Spróbuj popatrzeć na swoje życie w świetle wiary, **spróbuj zażartować z siebie**. To może być trudne, bo "cnota" humoru wymaga niekiedy heroizmu, ale ona ułatwi ci ustawienie we właściwych proporcjach tych dwu rzeczywistości: Boga i ciebie, a tym samym oczyści z egoizmu i wzmocni twoją wiarę. Pokaże ci z wielką ostrością, że w twoim życiu tak naprawdę ważny jest tylko Bóg. Dlatego nie rób z siebie centrum świata. **Zobacz siebie** takim małym ziarenkiem piasku - jak mówiła o sobie św. Teresa - **takim małym "nic"**, o które naprawdę nie warto się tak zbytnio troszczyć, martwić i niepokoić. "Módl się Sostro - prosiła Święta - aby *ziarnko piasku* stało się **atomem**, wrażliwym jedynie na spojrzenie Jezusa!" (L. Ag. 8 I 1889).

Chrześcijańskie poczucie humoru uczyni cię wolnym od samego siebie. Pozwoli na przewartościowanie w świetle wiary wszystkich wartości i poznanie, że wszystko, co dzieje

się dookoła siebie, jest naprawdę śmiesznie mało ważne - wszystko z wyjątkiem Boga. Pozwoli ci na zdemaskowanie wartości pozornych. Twoja praca, plany i trudności, polityka i to, co dzieje się w twoim środowisku, wszystko to jest ostatecznie w zestawieniu z tą wartością, jaką jest Bóg, **prochem i pyłem**. W tym duchu liturgią Środy Popielcowej rozpoczynamy każdy Wielki Post, kiedy kapłan posypuje ci głowę popiołem i mówi, że prochem jesteś i w proch się obrócisz - prochem, a więc czymś śmiesznie mało ważnym. Prochem jesteś ty, ale i to wszystko, do czego jesteś przywiązany, na czym ci bardzo zależy, a także to, czego się boisz. Dzięki "cnocie" humoru otworzysz się bardziej na Boga, będzie w tobie więcej miejsca dla Niego, bo potrafisz wszystko inne zobaczyć we właściwych proporcjach - jako proch i pył, potrafisz ustawić to na osi absurdu.

W tych kategoriach możemy zobaczyć na przykład nawrócenie św. Franciszka z Asyżu. - Kiedy rzucił on wszystko pod stopy ojca, aby pójść za głosem Boga, wtedy nagle stał się wolny, a cały świat jakby odwrócił się do góry nogami. "Kto ujrzał cały świat wiszący na włosku Miłosierdzia Boskiego, ten właśnie dojrzał prawdę [□]. Kto miał widzenie swego rodzinnego miasta odwróconego górą na dół, ten widział je we właściwy sposób [□]. Człowiek, który widział hierarchię odwróconą do góry nogami, będzie zawsze miał lekki uśmiech wobec jej prerogatyw" (G. K. Chesterton, *Święty Franciszek z Asyżu*, 76-77). Światem Franciszka z Asyżu, jego krajem i ojczyzną był Asyż, feudalne miasteczko, otoczone fosą, murami i narożnymi wieżyczkami. "wczesne społeczeństwo Asyżu było taką poważną piramidą kilku podporządkowanych sobie grup społecznych. Poważni ojcowie miasta, poważna szlachta, mieszczaństwo, chłopci. I nagle ten świat odwrócił się do góry nogami i w oczach Franciszka stał się czymś śmiesznie mało znaczącym. Wystarczył jeden gest, aby ten ważny Asyż, świat poważnych ojców miasta, panów, szlachty, załamał się i runął. To wszystko widziane przez Franciszka na osi absurdu stało się jak proch i pył. W obliczu Boga siły ludzkie ukazały się jako śmiesznie małe i nieważne. Franciszek zrozumiał, że jest tylko jedna jedyna rzeczywistość ważna, poważna, dla której warto żyć - Bóg i Jego wola. To z woli Bożej nigdy nie można się śmiać, to ją trzeba ukochać. Trzeba ufnie, jak dziecko, trzymać się tego, co jest jedynie ważne.

U podstaw większości grzechów leży taka niczym nie zachwiana ważność i absolutna powaga. **Grzeszysz, ponieważ jesteś taki ważny**. Odrzucenie tej ważności w ramach chrześcijańskiego humoru, pisze Walter Kasper, uzdalnia nas do "pogodnego i prawdziwie ludzkiego istnienia" (*Rzeczywistość wiary*, 108). Humor wykazuje śmieszność naszych pretensji do znaczenia. Jego zaś brak i towarzyszące temu często rozdrażnienie to jeden z bardzo poważnych zarzutów wysuwanych pod adresem współczesnych chrześcijan.

Ludźmi śmiertelnie ważnymi byli faryzeusze. Byli oni tak pewni swojej powagi i znaczenia, a tym samym tak przywiązani do własnej wizji świata i Boga, że na zarzuty reagowali agresją. Faryzeizm jest odwrotnością prostoty, którą cechuje płynąca z życia w prawdzie i widzenia w prawdzie samego siebie wolność. Jest jednocześnie zaprzeczeniem postawy ewangelicznego dziecka, uznającego własną słabość i dzięki temu wolnego od poczucia ważności. Trzeba pamiętać, że grzech przeciwko Duchowi Świętemu polega między innymi na tym, że człowiek nie chce uznać prawdy o sobie, nie chce uznać własnej słabości.

Nadprzyrodzony humor, pozwalający nam zobaczyć rzeczywistość ludzką i Bożą we właściwych proporcjach, umożliwia uzyskanie większego dystansu, oderwania i większej wolności. **Dystans** do zdarzeń i do siebie samego, osiągnąć **dzięki zmysłowi humoru, pozwala bardziej żyć Ewangelią**, pozwala na takie przestawienie wartości, że własne życie

i własne sprawy przestają być czymś najważniejszym. Pozwala ci unikać zabiegania, zbytnich trosk, pochłonięcia przez pracę, aby dosłyszec Chrystusowe wezwanie, że tylko jednego potrzeba (por. Łk 10, 42). Dzięki "cnocie" humoru niepowodzenia i przegrane nie urastają do rangi klęsk życiowych, a wsparta humorem wiara może wprowadzić cię nawet na szczyty oderwania i ewangelicznej wolności, wyrażone w Pawłowej zasadzie używania świata tak, jakby się go nie używało: "Trzeba więc, aby ci, którzy mają żony, tak żyli, jakby byli nieżonaci, a ci, którzy płaczą, tak jakby nie płakali, ci zaś, co się radują, tak jakby się nie radowali; ci, którzy nabywają, jak gdyby nie posiadali; ci, którzy używają tego świata, tak jakby z niego nie korzystali" (1 Kor 7, 29-31). Św. Jan od Krzyża zachęca cię: "Staraj się, by wszystkie rzeczy były niczym dla ciebie i ty niczym dla nich" (*Rady i wskazówki*, II, 14).

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus mówiła o sobie, że jest ziarnkiem piasku, takim małym "nic". Tak wyrażała się jej postawa dziecka, postawa, w której nie było nic z tej śmiertelnej powagi, leżącej u podstaw wielu naszych grzechów. Przecież większość grzechów w stosunku do bliźnich stąd właśnie wynika, że z byle powodu czujemy się obrażeni i urażeni, że na punkcie własnej osoby jesteśmy tak wrażliwi, tak często nadwrażliwi i drażliwi. Wszystkim wrażliwcom, nadwrażliwcom i drażliwcom konieczny jest zmysł humoru, który uwalnia, przynosi wolność od samego siebie. Dla człowieka przewrażliwionego na swoim punkcie nawet najdrobniejszy szczegół urasta do ogromnych rozmiarów. Gdybyśmy umieli reagować na te przeróżne konflikty, spory i nieporozumienia z humorem, gdybyśmy pozwolili, żeby się z nas trochę pośmiano, jak bardzo wzrosłaby wtedy nasza pokora, wiara i miłość. **W świetle wiary ważna jest przecież tylko jedna rzeczywistość, z której nie wolno się śmiać - Bóg.**

Próbuj patrzeć na siebie i na to, co dzieje się wokół ciebie, mniej poważnie, a bardziej w świetle wiary. Zobaczysz wtedy, jak często to, co tak przeżywasz, godne jest uśmiechu i pobłażania. **Próbuj uśmiechać się do siebie i z siebie.** Próbuj naśladować Boga, który musi mieć przecież niezwykle poczucie humoru - wystarczy pomyśleć, że to ciebie wybrał jako swojego współpracownika w tym wielkim dziele, jakiego dokonuje. Czy nie jest to wyrazem Jego niezwyklego poczucia humoru?

Patron humoru

U świętych "cnota" humoru osiągała taki stopień heroizmu, że jaśniała nawet w obliczu wielkiego cierpienia czy śmierci. Tomasz More, człowiek święty, ale przecież tylko człowiek, przeżywający tak jak i my zwykle, rodzące się w sferze psychofizycznej lęki, od których nikt nie jest wolny, od których nie był wolny nawet sam nasz Zbawiciel, na pewno bał się ćwiartowania i tych tortur, które mu zapowiadano. Później zmieniono tortury na ścięcie. Przed wejściem na szafot podszedł do niego syn, który płakał i prosił o błogosławieństwo. Atmosfera była bardzo poważna, trudna do zniesienia. Potrzebny był religijny zabieg humoru. Tomasz More powiedział wtedy do oficera kierującego egzekucją, który też był śmiertelnie poważny: "Proszę cię, panie Poruczniku, pomóż mi wejść na górę, z powrotem poradzę sobie sam". Taki pełen humoru uśmiech w obliczu własnej śmierci.

Król Henryk VIII zabronił mu mówić - wiadomo, co może zrobić z ludźmi taki człowiek, którego poczucie humoru nie opuszcza nawet w obliczu śmierci, jaka to potęga; przecież człowieka o autentycznym poczuciu religijnego humoru nawet szatan się boi, a co dopiero Henryk VIII. Nie było więc żadnej mowy, skazany uklęknął, a zmówiwszy modlitwę zwrócił się do kata i z pogodnym obliczem rzekł mu: "Nabierz ducha, człowieku i nie lękaj się spełnić swej powinności. Moja szyja jest bardzo krótka, bacz zatem, byś krzywo uderzając nie stracił

dobrej sławy" (W. Roper, *Żywot Tomasza More*, 65). - To były ostatnie słowa Tomasza More. Potrafił zażartować z samego siebie, ustawić siebie i swoje sprawy, nawet własną śmierć na osi absurdu. Bo przecież w obliczu Boga, jedynej rzeczywistości, dla której warto żyć, również nasza śmierć nie jest ważna. Trzeba było mieć naprawdę duszę dziecka i trzymać się mocno ręki Ojca, żeby żartować nawet w obliczu własnej śmierci. Zrobił to ktoś, kto wcześniej często modlił się o chrześcijański zmysł humoru:

*Zechciej mi dać duszę,
której obca jest nuda,
która nie zna szemrania, wzdychań i uzaleń,
i nie pozwól, ażebym kłopotał się zbyt wiele
wokół tego panoszącego się czegoś,
które nazywa się "ja".
Panie, obdarz mnie zmysłem humoru.
Daj mi łaskę rozumienia się na żartach,
ażebym zaznał w życiu trochę szczęścia,
a i innych mógł nim obdarzać.
Amen.*

Rozdz. III Próby wiary

Aby wiara stała się mocna, musi być wypróbowana, musi przejść przez tygiel doświadczeń, przez wiele prób i burz. Wiara powierzchowna, oparta jedynie na wychowaniu, uczuciu i pewnych przyzwyczajeniach, w obliczu trudności załamuje się. Bóg chce, by człowiek wierzący został w wyniku prób wiary ogołocony z tego, co stanowiło jedynie podpórki wiary; co nie było autentycznym przyłgnięciem do Chrystusa, oparciem się na Nim i powierzeniem się Jemu.

Wiara autentyczna to wiara pozbawiona wszelkich podpórek naturalnych, takich jak zrozumienie, odczucie, doświadczenie zmysłowe czy wyobrażeniowe; to oparcie się jedynie na Bogu i Jego słowie. Bóg nie godzi się na to, byś zawierzał sile swych praktyk, swojemu uczuciu czy doświadczeniu. Dopuszcza więc próby wiary, których zróżnicowanie zależy od tego, na czym - poza Bogiem - swoją wiarę opierasz. Jeśli opierasz ją na naturalnym rozumieniu, muszą zniknąć wszelkie światła rozumu i w pewnym momencie to, w co wierzyłeś, zacznie wydawać ci się bez sensu. Jeśli opierałeś swoją wiarę na pewnych ludziach, świeckich czy duchownych, na ich postępowaniu, to w pewnym momencie i to musi się zachwiać czy zawalić. Jeśli opierałeś ją na uczuciu, na zadowoleniu i doświadczeniu radości płynącej z modlitwy czy praktyk religijnych, to nie możesz się dziwić, że przyjdzie czas na oschłość i niechęć do tych praktyk. Musisz przejść przez te bolesne oczyszczenia, abyś mógł dojść do wiary czystej, prawdziwej, a z czasem do prawdziwej kontemplacji.

Oczekiwanie na Boga

Bóg stawiając człowieka w sytuacjach trudnych, prowokuje go do aktu wiary. Sytuacje takie poprzez uświadomienie nam naszej niemocy mogą pogłębiać naszą tęsknotę za Bogiem. Bóg nie chce przychodzić do nas nie proszony. **Miłość chce być oczekiwana**, jeżeli nie jest oczekiwana, jest miłością wzgardzoną. W tym sensie **wiara jest oczekiwaniem**. Stopień oczekiwania na Pana jest świadectwem wiary w Jego moc i Jego miłość. Nigdy nie dość naszego oczekiwania na Boga. Oczekiwanie na Tego, który chce do ciebie przyjść i chce być

przez ciebie przyjęty, powinno stale wzrastać. Dokonuje się to dzięki podejmowanym przez ciebie próbom oczekiwania, ale przede wszystkim dzięki Jego łasce, która sprawia, że twoja tęsknota za Nim może wzrastać i pogłębiać się. Pan Bóg ma swoje sposoby, by ożywić twoje oczekiwanie na Jego przyjście i na Jego dalsze łaski.

Są dwie specyficzne kategorie tych Bożych sposobów. Może On wzbudzić w naszych sercach pragnienie Jego przyjścia, np. poprzez jakiś twórczy niepokój czy bardzo silną potrzebę. Wtedy wiara będzie wyrażała się potrzebą Boga, a jej wzrost **wzrastającym oczekiwaniem i głodem Boga**. Kiedy indziej zaś może dopuścić czy sprawić, że będziesz przechodził trudne **próby wiary** i że nie będziesz wtedy dawał sobie rady ze sobą, ze swoimi problemami. To mogą być problemy na tle moralnym, na przykład grzechy, w które wpadasz, problemy rodzinne - rozpadające się małżeństwo, problem syna, który się upija czy nie ma ślubu kościelnego albo jest niewierzący. Mogą to być też problemy ze zdrowiem, którego nagle zaczyna brakować tobie albo komuś z twoich bliskich. Doświadczenie niemożności dania sobie rady z czymś i rodzące się wtedy twoje zagubienie sprawia, że stajesz się bardziej skłonny pragnąć i oczekiwać Jego przyjścia. Jest to szansa wzrostu i pogłębienia się twojej wiary. Te wszystkie trudności i problemy, które Pan Bóg dopuszcza w twoim życiu albo je nawet powoduje, mają wzbudzić w tobie głód Boga, są próbami wiary. Patrząc w świetle wiary, poznasz tak zwaną duchowość wydarzeń, która mówi, że każde wydarzenie jest przejściem Boga i że pewne Jego przejścia są ukierunkowane na wzbudzenie w tobie pragnienia Jego obecności, Jego pomocy, Jego zbawczej interwencji. Im bardziej czujesz się chory, tym bardziej odczuwasz potrzebę lekarza. Im bardziej czujesz się bezradny i przygnieciony różnorodnymi trudnościami, tym bardziej wzrasta w tobie pragnienie przyjścia Tego, który może ci pomóc, który obejmuje łaską Odkupienia wszystkie twoje problemy i może cię zbawić. Trzeba tylko, byś uwierzył, że On chce dać ci wszystko, czego potrzebujesz, byś uwierzył w Jego moc i nieskończoną miłość.

Kiedy Bóg chce, byś osiągnął głębi wiary, może poddać cię bardzo trudnym próbom, może ci wiele zabrać, a nawet bardzo ogołocić. Pan Bóg może chcieć twojego wykorzenienia, byś - nie mając ludzkich zabezpieczeń - oczekiwał zbawczej pomocy jedynie od Niego.

Wiara Abrahama

Patronem naszego oczekiwania na Boga jest ojciec naszej wiary - **Abraham**. Co Pan Bóg zrobił, żeby Abraham Go oczekiwał? - Otóż Pan Bóg wykorzenił go. Pierwsze Boże wezwanie w ramach biblijnego objawienia brzmi: "Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twojego ojca do kraju, który ci ukazę" (*Rdz 12, 1*). I Abraham, zakorzeniony w swym ojczyństwie, niedaleko Ur chaldejskiego, posłuchał Boga. A kiedy wyruszy ze swoich ojczyństw, kiedy zostanie ogołocony i nie będzie już miał oparcia, będzie zmuszony wsłuchiwać się w Słowo Boże. Tym samym będzie wzrastała jego wiara, bo Abraham zacznie coraz bardziej opierać się na woli Boga, zacznie pytać o to, **czego On od niego oczekuje**. W taki sposób rodzi się w historii ludzkości nowe zjawisko - zjawisko wiary chrześcijańskiej; zjawisko zaistniałe w wyniku osobowego wezwania Boga i egzystencjalnego ogołocenia człowieka. Na bazie wykorzenienia i przeżywanej przez Abrahama niepewności rodzi się jego wiara i zawierzenie Bogu, rodzi się i dojrzewa człowiek wiary. Nasze rodzenie się do wiary też nie będzie łatwe. Ono również będzie dokonywało się w wyniku prób i trudności, w wyniku ogołocenia, w sytuacjach zagrożeń i braku oparcia.

Bóg jest Bogiem obietnicy i błogosławieństwa. Abraham otrzymał obietnicę kraju, potomstwa i szczególnego Bożego błogosławieństwa. Nie była to jednak obietnica wyraźna, była ona okryta pewną formą ciemności. Bóg mówi: "Wyjdź [□] do kraju, który ci ukażę", ale Abraham tego kraju nigdy nie widział, bo kraju wolnego czy oczekującego na jego przybycie nie ma. Abraham nie wie, w jaki sposób spełni się Boża obietnica, ale **zawierza to swemu Panu**. I to jest wielkość wiary Abrahama. Niejasna i mglista jest też sprawa potomstwa, bo jest on przecież człowiekiem starym. Z ludzkiego punktu widzenia wszystko to wygląda raczej nierealnie. Abraham musiał uwierzyć w coś, co po ludzku wydawało się niemożliwe.

Im bardziej Boża obietnica pozbawiona jest cech realności, tym więcej Bóg od nas wymaga i oczekuje, ale tym większa też będzie zasługa naszej ufnej odpowiedzi. Obietnica dana Abrahamowi była tak mało prawdopodobna, iż musiał on uwierzyć, że Bóg jest Bogiem rzeczy niemożliwych i nieprawdopodobnych. Będzie to dla niego długi proces nieustannego wzrastania w wierze. Kiedy Abraham dotrze do obiecanego mu kraju, to przecież nie otrzyma go na własność. Będzie ciągle przybyszem. Największe jednak pogłębienie jego wiary przyjdzie dopiero w warunkach dramatycznych, kiedy Bóg zażąda od niego ofiary z syna, a więc ofiary z kogoś, kto był mu najdroższy, kto od strony czysto ludzkiej musiał być dla niego największym skarbem i najwyższą wartością. Sytuacja była nieprawdopodobnie trudna. Abraham musiał więc oczekiwać, że Bóg tę sytuację przerażającego nakazu jakoś rozwiąże, musiał podjąć decyzję, by bezgranicznie zaufać. Wymagania Boga w stosunku do Abrahama, uderzające w jego uczucia ojcowskie, w jego największą miłość do jedyne i umiłowanego syna, uderzały jednocześnie w same podstawy dotychczasowej jego wiary. Abraham przecież uwierzył, że z tego właśnie syna zrodzi się wielkie potomstwo. Tym bardziej więc wszystko, czego Bóg od niego żądał, mogło wydać się absurdalne. Ten, z którego ma się narodzić liczne obiecane potomstwo, ma być teraz zabity. Bóg żądał od Abrahama tak wiele, ponieważ chciał go obdarzyć czymś niezwykle, **chciał wynieść jego zawierzenie na szczyt**. Próba wiary Abrahama nie była testem, Bóg z góry wiedział, jak Abraham postąpi. Była ona sprowokowaniem go do decyzji, aby w szczególny sposób zawierzył w ciemnościach Bogu i w ten sposób **posunął się naprzód ku Niemu w swojej pielgrzymce wiary**. Sytuacje najtrudniejsze są szczególnie uprzywilejowane, ponieważ wymagają głębokich decyzji. **A wiara rozwija się poprzez decyzje**, w których człowiek oddaje się Bogu przez "posłuszeństwo wiary" (por. KO 5).

Tak będzie i w twoim życiu, ponieważ Bóg, kochając ciebie, będzie chciał postawić cię nieraz w sytuacji trudnej. Dozwoli czy spowoduje, że będzie ci z czymś bardzo źle, bardzo trudno, że nie będziesz sobie z czymś radził - żebyś zaczął oczekiwać Jego przyścia, żebyś Go pragnął. Uniemożliwi ci to trwanie w marazmie religijnym. Próba wiary, z którą się wtedy zetkniesz, zmusi cię do polaryzacji - albo nie odpowiesz na oczekiwania Boga i zaczniesz się cofać w wierze, albo jak Abraham podejmiesz decyzję o pójściu za Nim w ciemnościach zawierzenia i wtedy wzrośnie w tobie wiara, wzrośnie w tobie głód Chrystusa i Jego Odkupienia, głód łaski. Na miarę tego głodu Duch Święty będzie mógł zstępować do twojego serca.

Próby wiary w życiu Maryi

Kościół rozpoczyna świecki rok kalendarzowy dniem poświęconym Matce Bożej. W Nowy Rok ukazuje nam postać Tej, która "szła naprzód w pielgrzymce wiary" (KK 58). W życiu Maryi z dnia na dzień urzeczywistniało się błogosławieństwo wypowiedziane do Niej przez

św. Elżbietę: "Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła" (Łk 1, 45). Kościół więc widzi w Maryi najpełniejszy wzór naszej wiary.

Maryja uprzedza nas, idzie przed nami "w pielgrzymce wiary", jakby antycypując nasze kroki i jest na naszej drodze wiary blisko nas. W myśli soborowej Matka Boża została ukazana jako ta, która zajmuje w Kościele miejsce najwyższe, ale jednocześnie najbliższe nam. Można by powiedzieć, że wyrządzamy krzywdę Matce Bożej, jeżeli mówimy tylko o Jej zaszczytach i wyniesieniu, tworząc w ten sposób dystans między Nią a nami. Za dużo mówi się o Jej godnościach, a za mało o tym, że **Ona jest w ramach chrystocentryzmu naszą drogą**. Maryja jest naszą drogą w tym sensie, że nas wyprzedza i wskazuje drogę wiary, że to wszystko, co nas spotyka, Ona już kiedyś przeżyła. Patrząc na Jej życie, powinniśmy znajdować odpowiedzi na nasze problemy.

Kiedy mówimy tylko o godnościach i wyniesieniu Matki Bożej, postępujemy z Nią tak, jak niejednokrotnie postępowali hagiografowie ze świętymi. Ktoś powiedział, że święci najczęściej wycierpieli nie od swoich prześladowców, a od hagiografów, którzy, usuwając z ich biografii wszelki margines ludzki, zrobili z nich postacie cukierkowe, bez życia. Nie wystarczy oddawać Maryi cześć, wielbić Ją, kłaść Jej korony na głowę. To są tak zwane środki bogate, których Ona nigdy w swoim życiu nie używała. Kochać Maryję to znaczy naśladować Ją, iść za Nią, bo Ona jest tą, która nas wyprzedza, która jest dla nas wzorem wiary.

Jeżeli Pan Bóg przekreśla nasze plany i prowadzi nas inną drogą, niż myśmy to sobie wyobrażali, to było tak również w życiu Matki Bożej. Ona też inaczej wyobrażała sobie swoją świętość, swoją drogę i swoją misję. Ta, która zrezygnowała z macierzyństwa, została powołana do macierzyństwa niebываłego. Powołanie to przekreślało wszystkie Jej plany. Maryja, wypowiadając w momencie zwiastowania swoje - "tak", nie wiedziała w pełni, na co się zgadza. To jednak nie umniejszało wartości Jej zgody, którą Ona później swoim nieustannym - "tak" przez całe życie potwierdzała. Bóg tak kochał Maryję, że wybrał właśnie taki, bardzo twardy sposób traktowania Jej. Wiemy, że On tak traktuje swoich przyjaciół. To jest najlepszy sposób, który pozwala na kształtowanie człowieka na obraz Syna Bożego.

Popatrzmy, jak Bóg kształtował wiarę Maryi, jakie "huragany" przeszły przez Jej życie i jak trudne były Jej próby. Oto wkrótce po tym pierwszym "fiat", kiedy zwiastowano Jej, że pocznie i porodzi Syna Bożego, okazało się, że nic nie wie o tym św. Józef. Była to pierwsza tragedia tych dwojga osób. Maryja i Józef nie wiedzą, jak postąpić i bardzo cierpią z tego powodu. Dla Józefa musiało to być wstrząsające, gdy zorientował się, że Maryja jest brzemienna, i dla Niej też było to męką. A przecież Panu Bogu nie trudno było wyjaśnić Józefowi, o co chodzi. W tym czasie Maryja zapewne musiała ciągle stawiać sobie pytanie: co mam robić - to był dla Niej okres trudny i pełen ciemności.

Wiara nie usuwa ciemności, wręcz przeciwnie, ona je zakłada. W tym kryje się jej sens. Matka Boża, żyjąc wiarą, żyła równocześnie w wielkich ciemnościach, była więc poddawana próbom wiary, nieraz niezwykle trudnym. Taką próbą było narodzenie Pana Jezusa w Betlejem. Moment i miejsce urodzenia dziecka to czuły punkt dla każdej matki. Matka chce urodzić dziecko w przyzwoitym miejscu i w ludzkich warunkach, i jest to jej podstawowe prawo. Czy Maryja nie pragnęła tego? A jednak nie było Jej to dane. Jeżeli Jezus musiał narodzić się w Betlejem, to czy nie prościej byłoby, żeby Józef po prostu dowiedział się o tym. Otrzymywał on przecież wskazania we śnie, mógł więc i w tym przypadku otrzymać wskazanie: Idź do Betlejem, bo tam narodzi się Dziecię. Tymczasem Pan Bóg decyduje

inaczej. Dziecię narodzi się w Betlejem, ale w wyniku specjalnej sytuacji, jaką był spis ludności. To w wyniku tej sytuacji Jezus narodzi się w takich okolicznościach, że nie będzie zabezpieczeń. Z powodu tłumu przybyszów trudno będzie znaleźć jakiegokolwiek miejsce - tak łatwo wtedy poddać się pokusie niepewności i lęku. I w tym trudnym kontekście próby wiary miało narodzić się Dziecię. Anioł przyszedł do Maryi tylko w momencie zwiastowania, a później nie było już żadnego innego przekazu, żadnego orędzia czy posłannictwa. Przy narodzeniu Jezusa aniołowie ukazali się jedynie pasterzom przy stadach, a nie Maryi. Wkrótce potem, wraz z przyjściem Mędrców, następane "trzęsienie ziemi" - prześladowanie Heroda. Trudna próba wiary, gdy mogło rodzić się pytanie: dlaczego Bóg milczy, dlaczego nie interweniuje w obronie swego Syna, dlaczego zdaje się być bezsilnym wobec tyranii Heroda? I konieczność ucieczki do nieznanego kraju, gdzie nie było żadnego ludzkiego oparcia.

Kolejna, bardzo trudna próba wiary nadeszła, gdy dorastający Jezus został w świątyni, nie uprzedzając o tym swoich Rodziców. Ewangelia mówi, że Oni nie rozumieli tych słów, jakie do nich skierował, gdy Go odnaleźli, że Maryja tylko zachowywała je w swoim sercu. Tak więc w dalszym ciągu były w Jej życiu ciemności. Dlaczego Jezus nie chciał Jej niczego wyjaśnić? Ona, **Matka Boga, musiała uczyć się właściwego odczytywania wydarzeń**, musiała uczyć się duchowości wydarzeń. Pan Bóg niczego Jej nie ułatwiał, wszystko było w Jej życiu ciągle takie trudne.

"Tak" przy zwiastowaniu wydaje się czymś radosnym i łatwym w porównaniu z tym ostatnim "tak", wypowiedzianym pod krzyżem. Człowiek o wysokim poziomie życia duchowego jest zwykle gotów ofiarować się i poświęcić samego siebie. Znacznie trudniej jest zgodzić się na cierpienia osób bliskich, tych, których bardzo kochamy. Maryja, stojąc pod krzyżem, wypowiada jakby zdwojone "tak" - **niech się tak stanie nam - Jemu i mnie**. Jeżeli mój Syn umiłowany ma cierpieć i być torturowany, to niech tak będzie. Zgodzenie się na to było największą ofiarą. To "fiat" Maryi pod krzyżem spowodowało, że stała się Matką Kościoła, Matką nas wszystkich. **Macierzyństwo duchowe Maryi ma swoje źródło w tym najtrudniejszym "tak"**. Jeżeli jesteś zdruzgotany czy bardzo czymś przygnieciony, to pomyśl, że jesteś wówczas blisko Tej, której życie było tak trudne. Bóg kochał Maryję w sposób szczególny i wyjątkowy, a przecież w Jej życiu było tyle cierpienia. Bóg tak właśnie traktuje swoich przyjaciół.

Jest to szczególna forma miłości i zaufania, kiedy Pan Bóg chce, byśmy nie żądali od Niego okazywania nam swoich uczuć, żeby On mógł być wolny. Wyobraźmy sobie idealne małżeństwo w sytuacji, kiedy mąż jest bardzo zajęty jakąś pracą. Żona, kochając go, nie chce mu wtedy w niczym przeszkadzać, sama odnajduje potrzebne mu materiały, starając się pomóc mu tak, jak potrafi. Myśli tylko o nim. To jest ta miłość idealna, kiedy człowiek myśląc o drugiej osobie przekreśla siebie, kiedy nie szuka nawet zainteresowania sobą. Jest to niezwykle trudna miłość. Takiej miłości żądał Chrystus od swojej Matki.

Mówi o tym ewangeliczna scena niedoszłego spotkania Jezusa z Maryją i Jego najbliższą rodziną. Powiedziano Mu: "Oto Twoja Matka i Twoi bracia stoją na dworze i chcą mówić z Tobą" (Mt 12, 47). Jezus potraktował wtedy swoją Matkę tak, jak mógł potraktować tylko osobę bardzo umiłowaną, wobec której miał najwyższe zaufanie. Zdawał się Jej odmawiać: "Któż jest moją matką i którzy są moimi braćmi?" (Mt 12, 48). Z pozoru mogłoby się wydawać, że Chrystus był bardzo surowy wobec swojej Matki, ale to były właśnie Jej próby wiary, próby Jej całkowitego oddania Bogu. Dla Maryi takie twarde traktowanie było

wyrazem najwyższego zaufania Jej Syna wobec Niej. Ona wiedziała, że Chrystus liczy na Nią i nie musi się Nią zajmować. Maryja nigdy nie przeszkodziła Jezusowi w Jego misji apostołskiej, dając tym samym wyraz swojej najwyższej, bezinteresownej miłości do Syna. Jeżeli czasem okaże się taki twardy wobec ciebie, będzie to znaczyło, że bardzo cię kocha, że ufa, iż nie zawiedziesz Go i nie odejdziesz. Chrystus wciąż ogołacał swoją Matkę, a Ona wciąż mówiła Mu - "tak" i coraz bardziej upodobiła się do boskiego wzoru swego Syna.

Czy o takim życiu można mówić, że jest ono bardzo trudne? - I tak, i nie. Ta ambiwalencja wynika stąd, że dla człowieka, który kocha Boga i jest z Nim zjednoczony, **ogolocenia mogą stawać się radością i szczęściem, bo są one okazją wyznania Bogu miłości i okazania Mu wierności.**

Jeśli będzie ci źle i trudno, a On będzie milczał, pamiętaj, że to milczenie jest tylko inną formą Jego słowa, a Jego nieobecność tylko inną formą ogarniającej cię nieustannie Obecności. Milczenie czy nieobecność Jezusa są zawsze tylko pozorne. Powiedział przecież do św. Teresy z Avila: "Kiedy ci się wydawało, że jesteś sama, byłem najbliżej ciebie". Właśnie wtedy, gdy czujesz się bardzo samotny, kiedy jest ci bardzo trudno, gdy przeżywasz jakieś ogołocenie, On jest najbliżej ciebie. Nie daje ci jednak znaku, bo pragnie, byś jeszcze bardziej Mu zawierzył. **Takie milczenie i taka pozorną nieobecność jest dla Niego ryzykiem.** Niektórzy wtedy odchodzą. Kiedyś odeszły całe rzesze słuchaczy, bo wydawało się im, że Jezus za dużo od nich zażądał. To odchodzenie od Jezusa w wyniku prób wiary wciąż się powtarza. Jedni wychodzą z prób umocnieni w swym zawierzeniu Bogu, inni od Niego odchodzą.

Postawa Maryi w obliczu tak trudnych prób wiary jest dla nas wyrzutem sumienia. Przecież w Jej życiu wszystkie próby wiary kończyły się pogłębieniem zawierzenia. Ona, choć przechodziła przez tak liczne doświadczenia, nigdy Boga nie zawiodła. W Niej nie było rozbieżności między wzorem a realizacją. Ideał Boży zrealizował się w Jej życiu w całej pełni, tak że stała się arcydziełem Boga, najdoskonalszym wcieleniem Jego planów. My zaś tworzymy stale rozdźwięk między wiarą i życiem, między naszymi słowami i faktami, między ideałem a jego realizacją. W wyniku prób wiary cofamy się albo wręcz odchodzimy. W tym właśnie sensie Maryja staje się dla nas wyrzutem sumienia.

Maryję, która jest dla nas wzorem zawierzenia, można by nazwać Matką Bożą Akceptacji, Matką Zawierzenia, ponieważ Ona wciąż mówiła Bogu: "niech się tak stanie, jak Ty chcesz". Najważniejsze wydarzenie w dziejach świata dokonało się w ciemności nocy w Getsemani. Tym wydarzeniem było Chrystusowe - "tak" wypowiedziane do Ojca. Najważniejsze wydarzenia twojego życia dokonują się wtedy, gdy tak jak Maryja wybierasz drogę przyzwolenia. U Niej przyzwolenie rozciągało się na całe życie, podobnie ma być i u ciebie. Twoje życie składa się z nieustannych zwiastowań, rozumianych jako wezwania łaski i jako próby wiary. Czas jest bezcenny, bo jest obecnością Boga. Chwila obecna jest kierowanym do nas wezwaniem i próbą wiary, jest ze strony Boga oczekiwaniem - "czy powiesz Mi 'tak'"? Nasze życie wiarą sprowadza się do tego - "tak". **Istota chrześcijaństwa to ustawiczne mówienie Bogu: "bądź wola Twoja".** Matka Boża wciąż powtarzała Bogu te słowa - czy można kochać więcej?

Maryja była stale pełna łaski, a jednocześnie wciąż w niej wzrastała. Przez wierność i zawierzenie ta niezwykła dusza ludzka stała się jakby pojemnością, która chociaż wciąż pełna łaski mogła stale otrzymywać jej więcej. Czy to nie paradoks? Bóg jakby nieustannie

poszerzał Jej serce i każda nowa próba wiary, każde Jej "tak" przyczyniało się do Jej wzrastania w łasce. Życie Matki Bożej, bardzo zwyczajne i szare, było uświęcane tym nieustannym fiat.

Dystans między Maryją a nami powstaje zawsze z naszej winy, to my czynimy Ją niedosięglą i daleką. I to właśnie ten dystans oskarża nas o mierność, przeciętność, kompromis, o lęk przed pójściem za łaską do końca. Wygodniej jest powiedzieć: Ona była Niepokalanie Poczęta, była Matką Boga, była inna. Ja nie mogę Jej naśladować. A przecież jest to tylko wymówka i stawianie barier nagłocemu wołaniu łaski, by iść Jej śladami.

Moglibyśmy pytać, dlaczego Jezusowi tak zależy, byśmy szli Jej śladami, byśmy szli ku Niemu drogą Maryjną. Jedną z odpowiedzi na to pytanie jest radykalizm Matki Bożej, radykalizm oddania się Bogu, który umożliwia oddanie się Boga nam. Jezus umiłował Maryję w sposób niezwykły i wyjątkowy. Przecież żadnego ze stworzeń nie ukochał tak jak Ją, a stało się to dlatego, że Ona potrafiła oddać Mu wszystko. Ona, która wybrała dziewictwo, realizowała je nie tylko w sensie zachowania czystości w bezżeństwie, ale również w sensie całkowitego oddania się Bogu z miłości - bo na tym polega urzeczywistnione przez Maryję dziewictwo ewangeliczne. Polega ono na stanowczej woli życia w czystości, by móc całkowicie oddać się Bogu i żyć dla Niego. Ta, która od pierwszej chwili swego istnienia przyłgnęła całą siłą swej woli i miłości do Słowa Przedwiecznego, urzeczywistniła w swoim życiu najwyższy ideał dziewictwa. Maryja, oddając się Bogu bez zastrzeżeń, w sposób doskonały, stała się najpierw Oblubienicą, a później Matką Słowa.

Bóg oddaje się duszy w miarę, jak ona oddaje się Jemu. Jak bardzo więc Słowo musiało oddawać się Maryi, skoro Ona tak całkowicie stała się darem dla Niego. **Maryja to typ duszy, którą Jezus ukochał za Jej pełne oddanie.** Jezus chce, byśmy szli drogą Maryjną, ponieważ chce, byśmy realizowali się w tym typie duszy, którą On tak kocha za pełne oddanie. Jego gorącym pragnieniem jest, by znajdować dusze podobne do Niej, które poszłyby za Nim do końca, by mógł przelewać na nie nieskończone źródło swojej miłości i swoich łask. Pragnienie znajdowania takich dusz jest Jego "głodem", który pozostaje w Nim ciągle niezaspokojony. On powołuje cię na drogę Maryjną, by ci ukazać wielkość swych pragnień wobec ciebie.

Jeśli będziesz naśladował Maryję, jeśli będziesz stawał się coraz bardziej do Niej podobny, wówczas Jezus będzie mógł na miarę twojego oddania ukochać cię taką miłością, jaką Ją ukochał. Maryja, która ukazuje ci się jako typ duszy oddanej Bogu do końca, jest dla ciebie wezwaniem do realizowania ideału radykalizmu wiary.

Życiowe burze

Czasem szczególnie uprzywilejowanym dla rozwoju wiary są nasze życiowe burze. Opisana w Ewangelii burza na morzu jest pewnym symbolem również naszej sytuacji, gdy podczas trudnych prób wiary, w momentach mniejszej czy większej burzy wydaje się nam, że Jezus nas opuścił, że jest nieobecny. Nasze burze mogą być różne: burze pokus, burze skrupułów, niepokojów o przyszłość, o zdrowie, o pracę, burze związane z rozdzwięciem w małżeństwie. W obliczu burzy ujawniają się dwie kategorie postaw - lęk, jak w przypadku przerażonych Apostołów, i spokój, usymbolizowany w postaci uspiętego w łodzi Jezusa. Jezus śpi w sytuacji po ludzku tragicznej, w łodzi szarpanej falami i narażonej w każdej chwili na zatonięcie. Musiał być bardzo zmęczony, ale czy tylko zmęczony? Jezus spał

w łodzi Apostołów, a im wydawało się, że już wszystko stracone. Stąd ta ich panika, stres, trwoga w chwili, kiedy budzą Jezusa. W czasie tej burzy ujawniły się te dwie postawy. Z jednej strony wykrzywione strachem twarze Apostołów, z drugiej - spokój na twarzy Jezusa, który śpi. Postawa Chrystusa wydawała się tak dziwna, że pada ze strony Apostołów zarzut: "Nauczycielu, nic Cię to nie obchodzi, że giniemy?" (Mk 4, 38).

Każda burza ma swój sens, jest przejściem Boga, które ma przynieść jakąś wielką łaskę, przede wszystkim łaskę zawierzenia. W sytuacji burzy powinieneś skierować swój wzrok wiary na spokojną twarz Chrystusa. Można tu mówić o "teologii" snu Boga. **W czasie naszych burz Bóg wydaje się spać.** Objawienie biblijne to nie tylko słowa Boga, ale również Jego gesty. Jakże pełnym treści jest ten właśnie gest snu Jezusa w momencie dramatycznego zagrożenia. Oczywiście, nie znaczy to, że w sytuacji zagrożenia należy nic nie robić. Kwietyzm jest sprzeczny z nauką Kościoła. Pan Jezus nie robi wyrzutu Apostołom z tego powodu, że starali się ratować łódź. On zarzuca im brak postawy wiary, który spowodował, że ulegli pokusie lęku, a nawet paniki. Tym swoim gestem, tą postawą snu chciał im powiedzieć: "Przecież Ja jestem z wami, powinniście być spokojni, bo łódce, w której Ja jestem, nic nie może się stać".

Postawa wiary jest jednocześnie modlitwą wiary. Wyraża się ona spokojem w obliczu zagrożenia, spokojem w sferze duchowej, bo na sferę psychofizyczną nie mamy bezpośredniego wpływu. Tam niejednokrotnie będą targały nami niepokoje, i to nie jest ważne. Ważne jest, żeby lęk rodzący się w sferze emocjonalnej i psychicznej nie opanowywał naszej sfery duchowej, by nie powodował zmiany naszej postawy, naszych czynów, myśli, pragnień. Nasza wiara w to, że On jest przy nas obecny, sprawia, że wbrew stanom emocjonalnym będziemy spokojni. Jego obecność przecież to obecność nieskończonej mocy i nieskończonej miłości.

Gdy przyjdą burze w twoim życiu, wewnętrzne czy zewnętrzne, popatrz na spokojną twarz Jezusa. Wtedy zrozumiesz, że nie jesteś sam i że On w każdej sytuacji jakby chciał ci powiedzieć: "ta burza minie, przecież musi minąć".

W momentach burzy i prób naszej wiary nie możemy też nigdy zapomnieć o nieustannej obecności przy nas Tej, która jest Matką naszego zawierzenia. Prośmy Ją, by udzielała nam swojego zawierzenia, żebyśmy przestali zawierzać sobie, rzeczom czy ludziom i dostrzegli stałą obecność przy nas Jej Syna, który jest naszym jedynym zabezpieczeniem. Prośmy Maryję, byśmy za Jej przykładem zawierzali wyłącznie Panu: "Matko Wielkiego Zawierzenia, oddaję się Tobie bez zastrzeżeń, do końca".

Niepokój płynący z braku wiary

Skutkiem prób wiary nie zawsze jest jej umocnienie i zdynamizowanie. Jeśli bowiem bronisz się przed związanym z próbami wiary ogołoceniem, wówczas cofasz się w swoim zawierzeniu Bogu. Twoja wiara w obliczu trudności zacznie się załamywać, a twoje życie zdominuje niepokój, pośpiech i stres - symptomy jej niedojrzałości lub braku, zaprzeczające życiu wiarą.

Kiedy w obliczu prób wiary, a więc jakiegoś zagrożenia czy trudności, ulegasz pośpiechowi, niepokojom i stresom, ranisz miłość Jezusa. Bierzesz wtedy te trudne sprawy we własne ręce i chcesz je rozwiązywać sam, po prostu **liczysz na siebie**, i wówczas nie ma

już miejsca na wiarę. Wiara to przecież liczenie na Jego moc i na Jego miłość nieskończoną. W momencie, kiedy pozwalasz, by ogarnął cię niepokój, pośpiech czy stres, tak jakbyś usuwał Jezusa na bok, tak jakbyś mówił Mu: "teraz nie mogę na Ciebie liczyć, ja muszę sam wziąć tę sprawę w swoje ręce".

Oczywiście, należy odróżniać istniejące w człowieku dwie sfery - sferę psychofizyczną i sferę duchową. W obliczu trudności i zagrożeń pośpiech, niepokój i stres ogarniają najpierw sferę psychofizyczną, sferę twoich odczuć. Dopóki to pewne napięcie, skłaniające cię do pośpiechu czy niepokoju, pozostaje w sferze psychofizycznej, nie raniś Jezusa. Dopiero w momencie, kiedy pozwolisz, aby ta psychicznie trudna dla ciebie sytuacja i związany z tym niepokój czy pośpiech ogarnęły twoje władze duchowe, a więc twoje myśli i twoją wolę, wtedy już można mówić o niewierności, o braku wiary. Nie chodzi więc o to, aby usunąć lęk, pośpiech czy niepokój ze sfery psychofizycznej, bo to jest często niemożliwe. Chodzi o to, by w twojej postawie, a więc w sferze duchowej, która tę postawę dyktuje i formuje, nie było paniki, żeby panował w niej płynący z wiary pokój.

Zachowanie postawy pokoju nie jest rzeczą łatwą. Wiemy, że również święci często musieli zmagać się z tego rodzaju trudnościami. Święty Maksymilian na przykład miał wrzody żołądka, co sugeruje, że musiał przeżywać napięcia nerwowe. Był w jego życiu okres, kiedy wręcz nakazywał sobie spokój w obliczu zagrożeń; musiał więc walczyć o swoją wiarę.

Cnota męstwa nie polega na tym, by nie odczuwać lęku czy niepokoju w sferze psychofizycznej, ale na tym, żeby temu lękowi nie ulegać, by wierzyć, że nigdy nie jesteśmy sami, że stale jest przy nas Ktoś, kto kocha nas i od kogo wszystko zależy. Trudne łaski prób wiary, łączące się często z cierpieniem, powinniśmy przyjmować ze świadomością bliskości Chrystusa i wiarą, że On zwycięży; że po Wielkim Piątku przyjdzie Niedziela Zmartwychwstania. Winna być w nas niezachwiana wiara w to, że Ten, który jest pokojem, mocą, radością i zmartwychwstaniem, jest z nami w chwilach prób i cierpienia w sposób szczególny.

Dynamizm wiary i nasza walka z pokusami niepokoju, pośpiechu, stresu wyrażają się **życiem chwilą obecną** i uświęcaniem tej chwili jako chwili łaski. "Oddaj się cały w ręce Miłosiernej Opatrzności, to jest Niepokalanej, i bądź spokojny" - pisze do jednego z braci św. Maksymilian (K. Strzelecka, *Maksymilian Maria Kolbe*). Żyj tak, jakby to był dzień ostatni. Jutro niepewne, wczoraj nie do ciebie należy, dziś tylko jest twoje. Pan Bóg nie chce, żebyś oglądał się wstecz, ponieważ wtedy najczęściej ulegasz tym pokusom. "Ktokolwiek przykładą rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego" (*Łk 9, 62*). Bóg nie chce, byś martwił się o przyszłość. W Kazaniu na Górze Jezus wyraźnie mówi: "Dosyć ma dzień swojej biedy" (*Mt 6, 34*). Jeżeli odwracasz się ku przeszłości czy ku przyszłości, nie żyjesz chwilą obecną, tracisz łaski chwili, jakich On ci wtedy pragnie udzielać.

Można to sobie wyobrazić w postaci pewnego fikcyjnego obrazu, jakby pewnej przypowieści: Oto stoisz przy przystanku małej kolejki i przed tobą przejeżdża nieustannie pociąg z małymi wagonikami, a ty masz załadowywać na przejeżdżające wagoniki leżące koło ciebie pakunki. Może być jednak tak, że zaczynasz oglądać się za wagonikami, które odeszły, i wtedy z przerażeniem spostrzegasz, że tyle wagoników zostało niezaladowanych, a potem patrzysz znowu na te, które nadjeżdżają, i znów przerażasz się, że tyle jeszcze wagoników zostało ci do załadowania. Tymczasem zaś kolejny wagonik przejechał niezaladowany.

Nękające cię niepokoje dotyczące przeszłości czy przyszłości to też próba wiary. Bóg oczekuje, że wszystko to złożysz w Jego ręce, byś tym bardziej mógł oddać się Jemu i Jemu całkowicie zawierzyć.

Pokój płynący z wiary

Jeżeli próby wiary umocnią twoje zawierzenie Jezusowi, przyłgnięcie do Niego i oparcie się na Nim, pojawi się w twoim życiu Jego pokój. Słowa "**pokój wam**", po hebrajsku "szalom", to bardzo intymne pozdrowienie. Jest to pozdrowienie, które życzy pokojowi płynącego z intymnej komunii z Bogiem. Tak było ono rozumiane w Starym Testamencie. Chrystus pozdrawia swoich uczniów tym właśnie wezwaniem - "szalom". Podczas Ostatniej Wieczery powiedział do nich: "Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak jak daję świat, Ja wam daję" (J 14, 27).

Świat też chce nam dać pokój, ten ludzki pokój. Są bowiem dwa rodzaje pokoju, tak jak są dwa rodzaje radości. Jest ludzki pokój i ludzka radość, które charakteryzują się krótkotrwałością i tymczasowością. I jest pokój Chrystusowy i Chrystusowa radość, które rodzą się w nas jako coś trwałego, opartego na wierze. - Czym jest ten ludzki pokój i ludzka radość? Jest to coś, co uzyskujemy od ludzi. Nasz ludzki pokój jest jakby wyżebrany od drugiego człowieka. Bo faktycznie, szukając takiego pokoju i radości, szukamy ochłapów i żebraniny. Ta szczypta uznania ludzkiego, ten drobiazg pochwały, komplementu czy czyjegoś jasnego spojrzenia to przecież ochłap, i my z tego chcemy budować nasz pokój. I bywa tak, że komuś się udaje, że ma uznanie, ma sukces, ma te zwykłe ludzkie ochłapy, które dają mu zadowolenie. Jest to wtedy ten ludzki pokój, ten wyżebrany, który daje świat. Jakżeż taki pokój jest nietrwały. Wystarczy jakiś incydent, wystarczy, że spotyka nas czyjaś niegrzeczność, złośliwość, jakieś podejrzliwe spojrzenie, i pokój pryska, radość znika. Nie ma już w nas pokoju, bo zostały zabrane nam te wyżebrane ochłapy.

Kiedy zabraknie nam tego ludzkiego pokoju, pojawia się jego odwrotność - lęk, który jest chorobogenny, rodzi nerwicę. Lęk rodzi się z szukania ludzkiego pokoju; jest skutkiem utraty tych wyżebranych części naszego pokoju, które zostały nam zabrane, a kiedy indziej skutkiem obawy, żeby nie utracić czyjegoś uznania, tego ludzkiego spojrzenia, tej odrobiny zgody na to, co robimy, tego ludzkiego uśmiechu. I tak stajemy się zdani na ludzkie kaprysy i humory, na to, co przynosi nam dzień i co daje nam świat.

Ten drugi pokój, **pokój Chrystusowy, płynie z Jego obecności**. Jest Jego darem. "Pokój mój daję wam" - mówi Chrystus. To On jest naszym pokojem, danym nam przez wiarę (por. Ef 2, 14). **Przyjąć przez wiarę pokój od Chrystusa, to przyjąć Jego osobę, to otworzyć na oścież drzwi naszego serca dla Niego.**

Niepokój i smutek jest zawsze zły, zawsze płynie z miłości własnej, ale pokój i radość nie zawsze płyną od Chrystusa. Nie każdy pokój jest dobry, tak jak nie każda radość jest dobra. Jeżeli cieszę się, że coś mnie się udało, to jest to ludzka, bardzo nietrwała radość, taki właśnie ochłap. Jeżeli gonimy za taką radością, za takim pokojem, to będzie to ciągle domek z kart,

zdmuchiwany z byle powodu, bo nasz Pan nie godzi się, by ten ludzki pokój, pokój tego świata był czymś trwałym w naszym życiu.

Prawdziwy pokój to owoc życia wewnętrznego, owoc wiary pogłębionej w wyniku prób, który uzyskujemy nie w punkcie wyjścia, ale w punkcie dojścia. Jest on nie tyle wyrazem zdobycia czegoś, co raczej rezultatem wyboru. Jeżeli w twoim życiu są bożki, kępujące cię więzy i zniewolenia, nie będzie pokoju. **Kiedy między tobą a Bogiem staje ktoś czy coś, nie możesz wówczas w pełni przyłgnąć do Boga w sensie wiary, nie będzie też w tobie pokoju i szkoda wynikającego stąd twojego cierpienia.**

Pokój Chrystusa to wynik procesu wybierania Jego osoby. Ważny jest tu ten wybór zasadniczy, ta opcja fundamentalna. - Czy naprawdę Chrystus jest dla ciebie wartością najwyższą? On odkupił cię na krzyżu i zmartwychwstał, dając ci możliwość zdobycia prawdziwego pokoju i prawdziwej radości. Taki pokój i związana z nim trwała radość są niejako w zasięgu twojej ręki - dzięki krzyżowi i dzięki zmartwychwstaniu. Ty jednak musisz dokonać wyboru, musisz, korzystając z owoców krzyża i zmartwychwstania, wybrać Chrystusa z Jego pokojem. To ma być proces twojej akceptacji Chrystusa. Nie możesz jednak wybrać pokoju i radości, jeżeli nie wybrałeś Chrystusa, ponieważ to On sam pomaga ci w tym wyborze, zabierając ci to, co cię kępuje i zniewala. On obala twoje bożki. Gdy to zaakceptujesz, będzie to twój wybór, twoje opowiedzenie się za pokojem, radością i wolnością, będzie to wybór twojej wiary.

Jeżeli jest w twoim życiu nerwica, może nawet narastająca, to może oznaczać, że ciągle za mało w tobie życia wewnętrznego, za mało wyboru Chrystusa. Może to oznaczać, że ciągle jeszcze nie wybierasz swojego Boskiego Przyjaciela, że ciągle za mało w tobie wiary, rodzącej pokój. Musisz nauczyć się akceptacji, która jest stałym wybieraniem Chrystusa. Akceptując Jego wolę, wybierasz i akceptujesz Jego miłość.

U podstaw takiego wyboru musi być jednak coś, co ostatecznie jest najważniejsze, **wiara w miłość**. Czego Jezus ode mnie oczekuje, czego chce? - On chce, żebyś, kochając Jego wolę, chciał dla siebie dobra. Chrystus niczego nie potrzebuje dla siebie. Jeżeli czegoś od ciebie chce, to zawsze twojego dobra. On chce ciebie kochać i chce, żebyś przyjął to Jego pragnienie, czyli Jego miłość. Ty jesteś jak małe dziecko, które nie wie, co jest dla niego dobre. Małe dziecko trzeba zmuszać, żeby uczyło się, żeby jadło, żeby się ubierało, ponieważ dziecko nie potrafi kochać siebie. To mama i tata kochają je, troszczą się o nie. Dziecko nie potrafi samo siebie kochać i troszczyć się o siebie. Tak też jest z nami. My nie wiemy, co jest dla nas dobre, nie potrafimy siebie kochać. Kochamy siebie w sposób czysty i bezinteresowny, kochając Jego wolę, Jego miłość i troskę o nas.

Chrystus to Ktoś, kto czegoś od ciebie oczekuje, to przede wszystkim wola, która się nam objawia. **Wierzyć i kochać Chrystusa to kochać to, czego On chce, kochać Jego wolę.** Mamy wybierać Go właśnie w taki sposób - kochając to, co On kocha. Dopiero umiłowanie woli Chrystusa, potwierdzone naszymi wyborami w sytuacjach prób wiary, przynosi pokój i prawdziwą radość, której nic nam nie może odebrać.

Rozdz. IV Pustynia

W symbolice biblijnej pustynia to etap drogi ku Bogu. Wszyscy wezwani do wiary muszą ten etap przejść. Przechodził go Abraham, gdy opuścił Charan chaldejski, aby szukać Ziemi

Obiecanej. Na pustyni rozpoczyna się historia Mojżesza, kiedy Bóg ukazuje mu się w płonącym krzaku i w ciszy pustyni powołuje go do szczególnej misji wyzwolenia narodu wybranego. Na pustynię udaje się też Eliasz, gdy ucieczką ratuje swoje życie. Bóg każe mu wędrować przez 40 dni i 40 nocy, aż w końcu objawi mu się w łagodnym powiewie wiatru, by w głębi pustyni zlecić swojemu prorokowi specjalne zadanie. Bóg objawia się Eliaszowi nie w hałasie, nie w wichurze i trzęsieniu ziemi, ale w ciszy przyrody i w ciszy serca, nie w momencie podniecenia, ale w milczeniu, gdy uwolniony od trosk i lęku pozostaje sam na sam z Bogiem. Bóg mówi przez proroka Ozeasza o Izraelu jako o swojej oblubienicy, którą z miłości wyprowadza na pustynię: "chcę ją przynęcić, na pustynię ją wyprowadzić i mówić jej do serca" (Oz 2, 16). Bóg wyprowadza człowieka na pustynię z miłości, bo pustynia to Boży dar. Pustynia realizuje to, o co prosił św. Augustyn mówiąc: "Panie, daj abym poznał Ciebie i abym poznał siebie".

Symbolika pustyni

Pustynia jako teren geograficzny i jako symbol sytuacji człowieka nie od razu musi być czymś pełnym w swym wyrazie, kształcie i cechach charakterystycznych. Pustynia geograficzna pojawia się stopniowo. Jest coraz więcej piasku, coraz mniej drzew, coraz więcej wydm. Na początku można czasami znaleźć jakąś oazę. Podobnie jest z tą ludzką pustynią, może być ona pełna, z pełnym ogołoceniem, z burzą kuszenia i szczególną obecnością miłosiernego Boga, a mogą też pojawić się w twoim życiu pewne jej elementy. Pustynią w sensie próby wiary, a tym samym wezwania, aby żyć wiarą, może być każda trudna sytuacja. Mogą to być na przykład trudności wynikające z naszych relacji z drugim człowiekiem, choroba, przygniatające cię psychicznie poczucie osamotnienia czy inne bardzo trudne sytuacje. Pustynią *par excellence* mogą być trudne, pełne oschłości stany duchowe, kiedy wydaje ci się, że Bóg jakby odszedł, kiedy nie czujesz Jego obecności i coraz trudniej jest ci w nią uwierzyć.

Pustynia może być człowiekowi czy jakiejś społeczności "narzucona" przez Boga, kiedy On sam kogoś w nią wprowadza, ale może być również pustynia z wyboru. Może być tak, że sam zapragniesz sytuacji pustyni, w której będziesz szukał ciszy, ogołocenia, obecności Pana. Napotkasz wtedy na niej Przeciwnika, ale przede wszystkim napotkasz Boga. **Będiesz mógł wejść w głąb samego siebie i odkryć prawdę o sobie, ale jednocześnie odkryjesz to, co najważniejsze, prawdę o Bogu.** Jezus, który przed swoim publicznym wystąpieniem poszedł najpierw na pustynię, jakby ci mówi: "Patrz, nie jesteś sam, Ja byłem tu przed tobą. Ja też przez czterdzieści dni byłem głodny i też było mi ciężko. Nigdy nie jesteś sam. Spróbuj uwierzyć w Moją miłość".

Pustynia może być pustynią o charakterze społecznym i obejmować np. cały naród i może też być pustynią indywidualną. Jedno jest pewne: **Jeżeli wkroczysz w nią, to zmienisz się.** Pewne jest też, że **kiedyś musisz w nią wejść.** Kiedyś poprzez wydarzenia wewnętrzne czy zewnętrzne Bóg postawi cię w sytuacji trudnej, może nawet krańcowej, w której będziesz musiał wybierać. Trzeba, byś wtedy pamiętał, że jest to łaska - łaska pustyni. Jeżeli zaś teraz jesteś na tego rodzaju pustyni, to powinieneś być Bogu wdzięczny. Dziękuj mu za to, że jest ci ciężko, że jesteś chory albo samotny, albo niezrozumiany, a może masz koszmar w domu czy w pracy albo sam ze sobą nie dajesz sobie rady. Takie sytuacje to elementy pustyni. Spróbuj zobaczyć, że w tym wszystkim obecny jest Bóg, który cię kocha.

"Obyś był zimny albo gorący"

Pustynia to miejsce próby, miejsce, w którym dokonuje się polaryzacja postaw. - Oto czterech serdecznie ze sobą zaprzyjaźnionych studentów wybiera się na pustynię libijską. Mają zamiar przejechać ją dżipem. Historia ta dzieje się jak w jakimś filmie. Znaleźli się pierwszy raz na pustyni, wkrótce zaczynają błądzić, a później następuje dramat - dżip nie wytrzymał, popsuł się, nie wiedzą, co mają robić dalej, pozostało im tylko czekanie na ewentualną pomoc. A pustynia, jak wiadomo, przeraża, jest straszna, zwłaszcza gdy nie ma się żadnych perspektyw. Za dnia upał niemiłosierny, a w nocy ogromne zimno. Do tego jedzenia jest coraz mniej i jeszcze mniej wody, napięcie więc stale wzrasta. Resztę wody trzeba podzielić na cztery osoby. Jest jej tak mało, że wszyscy z napięciem patrzą na ręce rozlewającego. - I stało się. Ręka rozlewającego, pewnie pod wpływem tych napiętych spojrzeń, zadrżała, trochę wody rozlało się na piasek. Napięcie i zdenerwowanie współtowarzyszy wyprawy przerodziło się w niekontrolowaną już agresję - jak mogłeś rozlać, zginiemy przez ciebie. A potem wszystko potoczyło się jak lawina. Górę wzięły emocje. Polała się reszta wody, a ciała bijących się przyjaciół zaczęły tarzać się w piasku. Kiedy wreszcie przyszło opamiętanie, jeden z nich nie mógł już wstać, zaduszono go. Było to straszne.

To co stało się później, to że pojawił się helikopter, który zabrał ich, trzech żywych i zwłoki czwartego, było już dla nich właściwie nieważne. Ważne było to, że pomiędzy nimi stało się coś strasznego, że oni nie byli już tymi samymi ludźmi. Na tej libijskiej pustyni dokonała się zbrodnia wśród przyjaciół, którym wcześniej wydawało się, że gotowi są jeden za drugiego życie oddać.

Sytuacja pustyni ujawnia w człowieku to, co jest w nim głęboko ukryte. Ujawnia pokłady ludzkich namiętności i zła, ukazujące się najpełniej dopiero w sytuacjach trudnych. Stąd pustynia ukazuje człowieka, ukazuje prawdę o nim. Na pustyni człowiek widzi, do czego zdolna jest jego niemoc, grzeszność, zatwardziałość. **Człowiek staje tu twarzą w twarz wobec przerażającej prawdy o tym, kim jest bez widzialnej mocy Boga.** Nagość pustyni obnaża nędzę człowieka, ukazuje jego nagość, ponieważ odpadają złudzenia i nie ma się gdzie ukryć. Człowiek może żyć naskórkowo, jakby na powierzchni samego siebie. Dopiero sytuacje trudne, doświadczenia pustyni zmuszają go do podejmowania decyzji, ujawniając przy tym głębokie pokłady dobra lub zła.

Pustynia jednak nie tylko ujawnia prawdę o tobie, ona cię wewnętrznie przemienia, polaryzuje twoje postawy. **Dar pustyni pozwoli ci na przewyciężenie letniości**, ponieważ pustynia przymusza do dokonywania wyborów. Wybierając zobaczysz, do czego jesteś zdolny i wtedy lepiej poznasz dwie najważniejsze rzeczywistości: rzeczywistość niepojętej miłości i nieskończonego miłosierdzia Boga oraz rzeczywistość własnej grzeszności i bezradności. **Dopóki jesteś letnim chrześcijaninem**, któremu wszystko się układa i który nie ma żadnych problemów, **dopóty twoja sytuacja widziana w świetle wiary jest dramatyczna**. Wtedy bowiem sam dajesz sobie radę i Bóg przestaje ci być potrzebny - jest to sytuacja praktycznego ateizmu.

Ostateczny sens wyprowadzania człowieka, narodu czy społeczności na pustynię ukazują bardzo wyraźnie słowa Apokalipsy: "Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak, skoro jesteś letni, ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust" (Ap 3, 15-16).

Letniość człowieka to dla Boga stan nie do przyjęcia, to właśnie to coś obrzydliwego, czego On nie może w tobie znieść i dlatego wcześniej czy później musi cię wyprowadzić na pustynię. Sytuacja pustyni polaryzuje nasze postawy, sprawia, że człowiek nie może być letni, że musi stać się albo gorący, albo zimny. Mojżesz, ten wielki święty Starego Przymierza, uświęcił się na pustyni, i nie tylko on. Inni natomiast stali się zbrodniarzami, przestępcami, bałwochwalcami. Ojcowie Kościoła stwierdzają, że Bóg wyprowadza na pustynię po to, by człowiek albo uwierzył, albo żeby bluźnił - **albo wiara, albo bluźnierstwo**, ale nie letniość. Tak było na pustyni biblijnej. Wielu bluźniło Bogu, a inni uświęcili się. Dar pustyni nie pozwala na trwanie w postawie ateizmu praktycznego.

Sytuacja pustyni pozwoli ci zrozumieć, jak bezsensowny jest wszelki sąd jednego człowieka o drugim. Będzie pomagała ci w zwalczaniu wszelkiego twojego sądu o innych. - Cóż bowiem wiesz o tym kimś, kogo napotykasz na swojej drodze i w kim może widzisz wiele zła. Przecież istotna jest jego sytuacja egzystencjalna. Przecież on może być w okresie doświadczeń, może być na etapie pustyni. Wszelki więc sąd o drugim człowieku należy zawiesić.

Pustynia to miejsce uprzywilejowane dla szatana, ponieważ człowiek jest wówczas słaby i łatwiej ulega pokusom. Szatan wykorzystuje tę sytuację. Pustynia może zwiększać tym samym możliwość buntu. Na pustyni, przez którą przechodził naród wybrany, było szczególne kuszenie i bunty, były sytuacje dramatyczne, wyrażające takie odejście od Boga, jak kult złotego cielca.

Człowiek na pustyni zmienia się, staje się inny, ponieważ następuje tu zdecydowana polaryzacja postaw. Staje się więc albo lepszy, albo gorszy. Może stać się zbrodniarzem, ale może też stać się świętym.

Pustynia miejscem ogołocenia

Biblijna symbolika pustyni wiąże się *par excellence* z powołaniem narodu wybranego do wyjścia z Egiptu i wkroczenia do Ziemi Obiecanej. Droga z Egiptu do Kanaan liczy około czterystu kilometrów. Nawet wielotysięczna karawana mogła ją przebyć w dwa lub trzy tygodnie. Tymczasem wędrówka narodu wybranego trwała czterdzieści lat. Bóg, powołując swój lud na pustynię, niejako zmuszał go do wyzbycia się pewności siebie i poddania surowemu życiu; do poddania się koniecznemu na drodze wiary procesowi ogołocenia i do całkowitego zawierzenia Bogu.

Pustynia to przede wszystkim **symbol ogołocenia**. Człowiek staje wobec nieograniczoności nieba, nieograniczoności piasku i wobec samego siebie. Wszystko jest tu sprowadzone do elementów istotnych i niezbędnych - przestrzeń, niebo, ziemia, piasek, Bóg i sam człowiek. Wejście na pustynię oznacza ogołocenie z rzeczy podstawowych; występuje głód i pragnienie tak fizyczne, jak i duchowe. Ogołocenie, które rodzi głód i pragnienie, sprawia, że między głodem i pragnieniem fizycznym a duchowym występują ścisłe powiązania. To te trudności powodują, że do głosu dochodzi to, co ukryte jest w człowieku gdzieś bardzo głęboko.

Pustynia jest miejscem i czasem odrywania się od przywiązań, od własnych systemów zabezpieczeń. Człowiek wędrujący przez pustynię nie ma nic - jego sytuacja życiowa jest stale niepewna, nie ma żadnych zabezpieczeń, wszystkiego mu brakuje. Ci, którzy przechodzą

przez pustynię, doświadczają konieczności poprzestawania na tym, co otrzymają od Boga i oczekiwania wszystkiego od Niego, doświadczają konieczności oparcia się wyłącznie na Bogu, ponieważ **Bóg chce stawać się dla wędrującego przez pustynię wszystkim.**

Wędrujący naród, który na pustyni otrzymał od Boga cudowną mannę, nie może jej zbierać na zapas. Musi każdego dnia na nowo wierzyć, że manna spadnie. Musi wierzyć, że Bóg opiekuje się nim nieustannie. **Pustynia jest więc miejscem narodzin wiary. Wiara zaś pogłębia się na miarę ogołocenia.** Bóg przenika człowieka tym bardziej, im bardziej on siebie ogołaca, im bardziej pragnie odpowiedzieć na Boże wezwanie i otworzyć się na miłość, której doświadcza.

Im bardziej człowiek pozwoli się ogołocić ze swojego "ja" i z własnych zabezpieczeń, tym bardziej Bóg może w niego zstąpić i stać się dla niego jedynym oparciem. **Kiedy pogłębiają się wzajemne, tajemnicze relacje między Bogiem i człowiekiem, Bóg domaga się coraz większego ogołocenia,** które jest nagłym wołaniem o coraz większy dar z siebie. On oczekuje, że ten, kto kocha Go, będzie chciał przekraczać swoje czysto ludzkie możliwości, że zgodzi się na całkowite ogołocenie z tego, czym jest i co posiada, by stawać się Jego znakiem, by Bóg stawał się w nim żywą obecnością w świecie.

Pustynia to miejsce rodzenia się wiary coraz bardziej dynamicznej, takiej która przekształca życie człowieka. Na pustyni Bóg oczekuje, że człowiek letni, człowiek małej wiary stanie się żarliwym w wierze i poddaniu się Panu. Dzięki temu, że na pustyni nastąpiło ogołocenie ludu, doszło tam właśnie do zawarcia Przymierza, do zaślubin między Izraelem a Bogiem, kiedy to Bóg stał się darem dla ludu, a lud przyrzekł swój dar wierności Bogu.

Pustynia - doświadczenie miłości Boga

Ogołocenie, jakiego człowiek doznaje na pustyni, i poznanie prawdy o sobie pozwala mu jednocześnie poznać prawdę o Bogu, który jest miłością, doświadczyć szczególnej Jego obecności i Jego mocy, a nade wszystko pozwala mu doświadczyć Jego miłosierdzia. **Bóg bowiem na grzech i słabość człowieka odpowiada miłością i ojcowską troską.** Ludowi, który buntuje się i grzeszy, odpowiada cudem manny i cudem tak bardzo mu wtedy potrzebnej wody. Bóg mimo ludzkiego zła, które na pustyni wyraźniej się ujawnia, jest na niej obecny w sposób szczególny. Naród wybrany był przez Niego prowadzony. Bóg był widoczny a zarazem ukryty w obłoku i w ogniu. Obłok, który wskazywał na obecność Boga, jednocześnie Go ukrywał. Był dla Izraelitów zarazem światłem i ciemnością, symbolizował bliskość i niedostępność Boga.

Bóg wyprowadził na pustynię niezorganizowany tłum, ale ci, którzy ją przeszli, stanowili już naród związany z Bogiem poprzez Przymierze - to byli inni ludzie. Celem pustyni jest formacja człowieka, umocnienie jego wiary, eliminowanie bylejakości, kształtowanie prawdziwych uczniów Chrystusa. Naród wybrany wszedł do Ziemi Obiecanej jako społeczność niewielka, ale bogata w doświadczenia pustyni. W grozach i błyskawicach doświadczył Boga, a jednocześnie doświadczył własnej słabości i własnego upadku. Doświadczył niezwykle wyraźnie własnej nędzy i dlatego tak bardzo doświadczył miłosierdzia Boga.

Na pustyni poznajesz Boga, który nigdy cię nie opuszcza. To prawda, że Bóg na pustyni ukrywa się, ale w rzeczywistości właśnie wtedy jest bardzo blisko ciebie. Nigdy nie jest tak

blisko, jak wtedy. Czeką tylko na twoją wiarę, czeka, byś z wiarą wyciągnął ku Niemu swoje ramiona.

Naród wybrany odkrył we własnej słabości prawdziwą tajemnicę Boga. **Jeśli doświadczasz swojej słabości, to jesteś wzywany przez Boga, byś rzucił się w ramiona Jego miłosierdzia.** Pustynia jest po to, byś zwrócił się ku Temu, który jest samym miłosierdziem.

Doświadczenie pustyni pomoże ci odkryć potrzebę Boga i poznać swoją całkowitą zależność od Niego. W tym bowiem czasie, kiedy przeżywasz bardzo trudne godziny zniechęcenia, pokus i ciemności, lepiej uświadomisz sobie własną bezradność i niemoc. Kiedy odkryjesz prawdę o sobie i będziesz prosił Boga o przebaczenie, napotkasz, podobnie jak syn marnotrawny, tę wielką czułość Ojca i tę niezwykłą radość z twojego powrotu. Będziesz mógł spojrzeć w Jego oczy pełne miłości. Bóg przebacząc ci, będzie jednocześnie budował w tobie pokorę.

Pustynia nie jest ojczyzną, jest tylko szlakiem, **jest drogą ku poznaniu miłosiernej miłości Boga.** Wszyscy, którzy szukają Boga, muszą przez nią przejść, ponieważ doświadczenie pustyni ma ścisły związek z pogłębieniem naszej wiary w Jego miłosierdzie.

Pustynia jest czasem formacji człowieka zgodnie z zasadą, że tylko to, co trudne, co stawia opór, kształtuje człowieka. Twoja rodząca się wówczas miłość ku Bogu powinna stać się ostatecznie komunią z Bogiem. "Kochać Boga - powie św. Jan od Krzyża - to ogołocić się dla Niego ze wszystkiego, co nie jest Bogiem" (*Droga na Górę Karmel* II, 5, 7). **Pustynia** jest nie tylko miejscem rodzenia się naszej wiary, ale w ostatecznej konsekwencji **staje się ojczyzną kontemplacji.**

Na pustyni swojego życia **spotkasz zawsze Maryję.** Ona będzie przy tobie, będzie patrzeć na ciebie z macierzyńską troską. Ta, która jest pośredniczką łask, pośredniczką miłosierdzia, będzie za tobą orędownicą. Będzie oczekiwać z przejęciem na to, czy wypowiesz za Jej przykładem swoje "fiat", czy powiesz swoje "tak", czy zobaczysz w przeżywanych sytuacjach Boga. Naród wybrany nie miał Maryi. Ty ją masz, dlatego nigdy nie będziesz szedł sam. Ona, która przeżyła tyle trudnych chwil, będzie szła przed tobą. Będzie dla ciebie światłem, będzie ci pokazywała drogę do swojego Syna. Twoje pustynne ciemności będą prześwietlone Jej obecnością.

Rozdz. V Środki bogate i ubogie w Kościele

Jacques Maritain dzieli środki doczesne, jakimi dysponuje Kościół w odniesieniu do celów duchowych, na bogate - *rich temporal means*, oraz ubogie - *humble temporal means* (zob. J. Maritain, *On the Philosophy of History*, 1957, 70 n). Środkami bogatymi można nazwać te, które dają się zaobserwować i ująć statystycznie. Jako swoiste środki tego świata domagają się one już z samej swej natury namacalnego i widocznego powodzenia. Będą to na przykład: organizacje, zebrania, pochody, architektura i wystrój kościołów, środki audiowizualne, środki społecznego przekazu. Charakterystyczną cechą środków bogatych jest ich działanie na miłość własną poprzez widoczność skutków i rezultatów. Wiąże się z tym niebezpieczeństwo przywłaszczania tych rezultatów i rodzący się wówczas tryumfalizm.

Drugi rodzaj środków to, według Maritaina, środki ubogie. Naznaczone są one znamieniem krzyża i wyrażają jedną z najgłębszych prawd ewangelicznych: "Jeżeli ziarno pszenicy

wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity" (J 12, 24). W środkach tych dostrzec można swoisty paradoks dynamizmu wiary: im są one bardziej ubogie, tzn. bardziej ogołoczone, znikome same z siebie i mniej widoczne, tym większa jest ich skuteczność. W przeciwieństwie do środków bogatych te środki nie są podporządkowane namacalnemu powodzeniu i nie zawierają w sobie żadnej wewnętrznej potrzeby doczesnego sukcesu.

Jezus ubogi

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, by liczyć, i w naszym życiu, i w życiu Kościoła, na środki bogate. Tak bardzo chcielibyśmy zobaczyć zwycięstwo i tryumf Chrystusa, Jego moc i władzę. Tymczasem On ukrywa się: jest ubogi w Betlejem, jeszcze uboższy na Kalwarii i może najbardziej ubogi w Eucharystii. Posuwając tak daleko swoje ubóstwo i uniżenie, podkreśla On wagę środków ubogich.

Jezus w swoim działaniu zbawczym wybiera przede wszystkim środki ubogie, pokorne. Żaden znak potęgi nie towarzyszy Jego narodzeniu. Jezus przychodzi do nas jako małe Dziecko, zdane całkowicie na łaskę otaczających Je ludzi. Jest od nich zależny, nikomu nie stawia oporu, nie może przeprowadzić swojej woli ani się bronić. Daje się poznać przede wszystkim przez swoje ubóstwo, uniżenie, słabość. **Taki ukazał się w chwili narodzenia i taki będzie w swojej męce.** Wskazał, że i ty masz być ogołocony, obumarły dla siebie, wybierający to co najbardziej skuteczne - środki ubogie.

Nie znaczy to, że Jezus nie stosował środków bogatych. Tryumfalny wjazd do Jerozolimy to przecież środek bogaty, to tryumf Chrystusa. Jezus chciał pokazać, że jeżeli zechce, tłumy oddadzą Mu najwyższy pokłon i będą płaszcze przed Nim słać, że On potrafi zrobić wszystko. Ale właśnie w niedzielę palmową, dokładnie po tym tryumfalnym wjeździe do Jerozolimy, żeby Apostołom nie zawróciło się w głowach, tak jak to nieraz bywa, żeby się nie pomylili, Jezus wypowiedział słowa, które dla wielu musiały być wstrząsem: "Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity" (J 12, 24).

W życiu Jezusa były cuda, był Tabor, ale przede wszystkim używał On środków ubogich. W czasie pojmania widzimy jeszcze raz zastosowany przez Niego środek bogaty: oprawcy będą musieli na słowa Jezusa paść przed Nim na twarz (zob. J 18, 6), rzuci ich na ziemię, pokaże im swoją moc i potęgę. Ale potem pozwoli się naigrawać, wyszydzać, pozwoli, że będą pluli na Niego i będą wołać pod krzyżem: "Ej, Ty, który burzysz przybytek i w trzech dniach go odbudowujesz, zejź z krzyża i wybaw samego siebie [□]. Innych wybawiał, siebie nie może wybawić" (Mk 15, 29-31). Jezus z całym Bożym spokojem przyjmie to wszystko, podejmie te ubogie środki, zbawiające świat.

Skuteczność środków ubogich

Środkiem ubogim jest przyjęte z miłości ku Bogu cierpienie, bolące kolana na modlitwie, czyjeś nikomu nie znane wyrzeczenia, przekreślenie siebie, życie nieraz w wielkiej cichości, milczeniu, kontemplacji. O tym prawie nic się nie wie, są to środki niewidzialne, nie może ich ująć żadna statystyka socjologiczna, ale to one, środki ubogie, w świetle wiary ukazują się jako decydujące o losach świata.

Środki bogate to te, które są bogate w oczach świata, ale w świetle wiary widziane są inaczej. "To bowiem, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi - powie św. Paweł - a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi" (1 Kor 1, 25). To co jest ubogie w oczach ludzi, bogate jest w oczach Boga. **Najbogatsze są więc środki ubogie, one są najskuteczniejsze, są przejawem prawdziwej mądrości, mądrości ewangelicznej.** Stosowanie środków bogatych tylko wtedy będzie skuteczne, gdy będzie osadzone w środkach ubogich - w głębokim życiu wewnętrznym, życiu modlitwy, obumarciu sobie, całkowitym oddaniu się Bogu. Skuteczność środków ubogich wypływa z obecności Chrystusa w duszy, zgodnie z zasadą, że Bóg oddaje się duszy w miarę, jak ona oddaje się Jemu. Dzieło życia czynnego - powie św. Tomasz z Akwinu - powstaje z pełni kontemplacji (*Summa theologiae* 2, 2, qu. 188). Skuteczność środków bogatych (apostolstwa prawno-organizacyjnego) wypływa z bogactwa środków ubogich, nie odwrotnie. Środki bogate mogą ulegać zewnętrznym ograniczeniom, np. na skutek braku czasu, sił fizycznych, zmysłu organizacyjnego czy wskutek prześladowań Kościoła. Środki ubogie natomiast nie mogą być Kościołowi zabrane przez czynniki zewnętrzne. Ich braku nie da się usprawiedliwić, ponieważ do ich realizacji potrzebna jest jedynie dobra wola i miłość.

Środki bogate też są Kościołowi potrzebne i nie należy ich odrzucać. Pan Bóg nie chce jednostronności, chce, żeby była prasa katolicka, żeby były różnorodne formy widocznego apostolstwa. Święty Maksymilian Kolbe jest w pewnym sensie patronem środków bogatych. Marzył o nich i doczekał się, że milion "Rycerzy Niepokalanej" poszło w świat. To on rozdawał na ulicach miast japońskich tak zwane "kulki", czyli cudowne medaliki. Marzył o radiostacji, o samolotach, o okrętach w służbie Niepokalanej. Takich środków bogatych nie należy lekceważyć, bo one też mają być wprzęgnięte w służbę Panu. Musimy jednak pamiętać, że **ich skuteczność płynie z obecności środków ubogich.**

Święty Maksymilian był człowiekiem sukcesu - tak wiele mu się udawało. Założył Niepokalanów pod Sochaczewem, który stał się zdumieniem dla całego Kościoła, zakładał Niepokalanowy na innych kontynentach. Ten niewątpliwy sukces był jednak okupiony środkami ubogimi, o czym świadczy sam Maksymilian. "Gdy już wszystkie środki zawiodły - zwierzał się - gdy uznano, że stracony i przełożeni uznali, że do niczego, wówczas Niepokalana wzięła w ręce to narzędzie, które nadawało się tylko na szmelc" (M. Winowska, *Szaleniec Niepokalanej*, 71). To Maryja, której on oddał się całkowicie, wzięła to jego małe "nic", aby posługiwać się nim w szerzeniu chwały Bożej i zdobywaniu dusz. Skuteczność apostolstwa i pracy w służbie Niepokalanej zaczęła się u niego wówczas, gdy ciężko zachorował, tak że współbracia i przełożeni stwierdzili, iż z powodu zaawansowanej gruźlicy nie nadaje się do pracy; gdy zwątpili w niego wszyscy, gdy został zupełnie ogołocony - na podobieństwo ziarna, które obumiera, by wydać owoc. To jest ten Boży paradoks. Człowiek, który, patrząc po ludzku, nie nadaje się już do niczego, staje się najskuteczniejszym narzędziem w rękach Pana, **bo to On w nim żyje i On w nim działa, to Bóg osiąga w nim sukces.**

Wiara jest uznaniem własnej bezradności i oczekiwaniem wszystkiego od Boga, a przecież **doświadczenie bezradności i oczekiwanie wszystkiego od Boga to par excellence środki ubogie.** Czy dostrzegasz ich wartość w swoim życiu? Przecież Bóg na pewno nie szczędzi ci takich okazji. Któż z nas nie przeżywa chwil udręczenia, jakichś szczególnych trudności, chwil duchowej pustyni? Kto z nas nie męczy się czy to z sobą samym, czy z zewnętrznymi uwarunkowaniami życia? Tego wszystkiego nie można zobaczyć, zaklasyfikować, ocenić. To jest tak ukryte, że nie znajdzie się na ten temat żadnych danych statystycznych. Któż bowiem

może wiedzieć o tym, że ty kiedyś, w pewnym momencie swojego życia powiedziałeś Bogu: tak, chcę - chcę wszystkiego, czego Ty ode mnie oczekujesz; że kiedyś, gdy było ci bardzo ciężko, może przez łzy powiedziałeś Mu, że kochasz Go i chcesz Go kochać. Kto wie, ile razy przewyciężyłeś się, odmówiłeś sobie czegoś, przelamałeś swoją wolę? **To są te najważniejsze dla ciebie, dla Kościoła i dla świata środki ubogie, przywołujące Bożą moc.** Ile to razy Bóg dawał ci okazję, byś je wykorzystywał. Może okazje te marnowałeś i nie chciałeś przyjmować bezcennych Bożych darów? Może nawet miałeś o nie pretensję i buntowałeś się, podczas gdy On prawie na siłę wciskał ci je i prosił, byś nie odrzucał tego, co jest tak ważne w dziele zbawiania świata. Ten, którego nazwano Boskim Żebrakiem, zna najlepiej wartość środków ubogich. Dlatego nie zapominaj, że to jest bardzo ważne, byś zniósł upokorzenie z radością, byś wobec własnego smutku próbował się uśmiechać, byś próbował, wbrew temu czego doświadczasz, patrzeć na świat pogodnie, z wiarą, że miłość na pewno zwycięży. Bóg nie lekceważy niczego, ani twoich kolan, które może bardzo boleć, kiedy klęczysz, ani bolących nóg, gdy stoisz w kościele. On wie o wszystkich środkach ubogich danych ci do dyspozycji, o których przyjęciu czy odrzuceniu decydujesz ty w zakamarkach swojego serca. Jednocześnie to tam, w twoim sercu, rozstrzygają się losy twoich najbliższych i twoje. **Działanie środków ubogich, samych w sobie nieskutecznych w stosunku do celu, jest działaniem na zasadzie wiary, wskazuje na działanie samego Boga.**

Mówisz, że modlisz się za kogoś, kto nie wierzy, że bardzo dużo modlisz się o czyjeś nawrócenie czy o czyjeś zdrowie. - A przecież wszystko zależy od tego, jaka jest ta twoja modlitwa. Nieraz wystarczyłoby twoje jedno - "tak", powiedziane Bogu z radością. Ten zwykły, ubogi, niepozorny środek naprawdę może dokonywać cudów. Kiedy jest ci trudno, kiedy Pan proponuje ci udział w tym, co dla zbawienia dusz najcenniejsze, pomyśl o Janie Pawle II, o jego cierniowej koronie napastliwej krytyki i jego wielkim umęczeniu, zwłaszcza podczas tak częstych podróży po świecie. Pomyśl o św. Maksymilianie, tym świętym, któremu tak wiele się udawało, ale za cenę środków ubogich. Przecież bardzo często było mu duszno, nieraz wręcz dusił się, zwłaszcza podczas podróży, kiedy, jak pisał w swoich listach, po prostu nie mógł oddychać i kiedy zupełnie nie miał siły. Ten, którego nazwano "szaleńcem Niepokalanej", był szaleńcem w stosowaniu środków ubogich.

Jeżeli nie rozumiałeś wartości środków ubogich, to właściwie nie rozumiałeś, czym w ogóle jest w swojej głębi chrześcijaństwo. Jeżeli bowiem nie rozumiesz wartości i sensu środków ubogich, to nie rozumiesz krzyża, a krzyż jest przecież w centrum Kościoła. To z krzyża Jezus wszystko pociągnął ku sobie, z tego krzyża, pod którym stała Jego Matka, nie cofająca w obliczu strasznych cierpień Zbawiciela swojego - "tak". To z krzyża spływa nieustannie Boża łaska odkupienia i uświęcenia świata. Zbawiciel pociąga cię nie swoim tryumfalnym wjazdem do Jerozolimy, ale krzyżem i z krzyża woła cię, abyś poszedł za Nim, byś ukochał Go tak, jak On ukochał ciebie - "aż do końca".

Patronką środków ubogich jest Maryja, Ta, która, według ludzkich sądów, nie dokonała w swoim życiu żadnego wielkiego dzieła. W Jej życiu nie ma w ogóle środków bogatych; jest ubóstwo, milczenie, życie ukryte, pokora, posłuszeństwo, modlitwa, kontemplacja, oddanie się Bogu. Jej życie, pełne prostoty i wykorzystywania środków ubogich, było życiem **ukrytym w Bogu.** Ona do takiego życia i ciebie zaprasza. Ona chce, byś żył wiarą, by i w twoim sercu dominowało pragnienie stosowania środków ubogich - na wzór Nazaretu. Chce, byś zrozumiał prawdę zawartą w stwierdzeniu św. Jana od Krzyża: "Odrobina czystej miłości - środek ubogi - jest bardziej wartościowa przed Bogiem i wobec duszy i więcej

przynosi pożytku Kościołowi niż wszystkie inne dzieła razem wzięte" (*Pieśń duchowa*, strofa XXIX, 2).

Zwycięstwo przez wiarę

Klasycznym tekstem biblijnym ukazującym w świetle wiary wartość i sens środków ubogich jest scena walki z Amalekitami. W czasie przejścia przez pustynię, w drodze do Ziemi Obiecanej, dochodzi do walki pomiędzy Izraelitami a kontrolującymi szlaki pustyni Amalekitami (zob. *Wj* 17, 8-13). Mojżesz to Boży człowiek, który wie, w jaki sposób może zapewnić swoim wojskom zwycięstwo. Gdyby był strategiem myślącym jedynie po ludzku, stanąłby sam na czele walczących, tak jak to zwykle bywa w strategii. Przecież swoją postawą na pewno by ich pociągał, tak byli wpatrzeni w niego. On zaś zrobił coś, co z punktu widzenia strategii wojskowej było absurdalne - wycofał się, zostawił wojsko pod wodzą swego zastępcy Jozuego, a sam odszedł na wzgórze, by tam się modlić. Wiedział on, człowiek Boży, człowiek modlitwy, kto decyduje o losach świata i o losach jego narodu. Stąd te wyciągnięte na szczycie wzgórza w geście wiary ramiona Mojżesza. Między nim a doliną, gdzie toczy się walka, jest ścisła łączność. Kiedy ręce mu mdleją, to jego wojsko cofa się. On wie, co to znaczy - **Bóg chce, aby on wciąż wysiłał się, by stale wyciągał ręce do Pana**. Gdy ręce zupełnie drętwiały, towarzyszący Mojżeszowi Aaron i Chur podtrzymywali je. Przez cały więc dzień ten gest wyciągniętych do Pana rąk towarzyszył walce Izraelitów, a kiedy przyszedł wieczór, zwycięstwo było po ich stronie. To jednak nie Jozue zwyciężył, nie jego wojsko walczące na dole odniosło zwycięstwo - to tam, na wzgórzu, zwyciężył Mojżesz, zwyciężyła jego wiara.

Gdyby ta scena miała powtórzyć się w naszych czasach, wówczas uwaga dziennikarzy, kamery telewizyjne, światła reflektorów skierowane byłyby tam, gdzie Jozue walczy. Wydawałoby się nam, że to tam się wszystko decyduje. Kto z nas próbowałby patrzeć na samotnego, modlącego się gdzieś człowieka? **A to ten samotny człowiek zwycięża, ponieważ Bóg zwycięża przez jego wiarę.**

Wyciągnięte do góry ręce Mojżesza są symbolem, one mówią, że to Bóg rozstrzyga o wszystkim. - Ty tam jesteś, który rządysz, od Ciebie wszystko zależy. Ludzkiej szansy może być śmiesznie mało, ale dla Ciebie, Boże, nie ma rzeczy niemożliwych. Gest wyciągniętych dłoni, tych mdlejących rąk, to gest wiary, to ubogi środek wyrażający szaleństwo wiary w nieskończoną moc i nieskończoną miłość Pana.

Macierzyństwo duchowe

Macierzyństwo duchowe realizuje się poprzez środki ubogie, ponieważ realizuje się ono przez uczestnictwo w śmierci Chrystusa: "Jeżeli ziarno nie obumrze, zostaje tylko samo", i w Jego zmartwychwstaniu: "Jeżeli obumrze, przynosi plon obfity". Udział w śmierci Chrystusa dokonuje się przede wszystkim przez przyjęcie cierpienia (zadaje ono śmierć egoizmowi), a uczestnictwo w Zmartwychwstaniu to rodzenie się w nas nowego człowieka, uformowanego na wzór Chrystusa, który jest Miłością. Apostolstwo jest daniem Chrystusa obecnego w duszy tego, który apostołuje, jest rodzeniem Chrystusa w duszach. Według św. Pawła apostolstwo jest macierzyństwem duchowym: "Przez Ewangelię zrodziłem was w Chrystusie Jezusie" (*I Kor* 4, 15). Nasze apostolstwo jako macierzyństwo duchowe jest dzięki wierze uczestnictwem w duchowym macierzyństwie Kościoła. **Przez wiarę, która najpełniej wyraża się w stosowaniu środków ubogich, rodzimy dusze dla Chrystusa.**

Macierzyństwo duchowe dokonuje się poprzez żywe słowo, będące owocem kontemplacyjnego kontaktu z Bogiem, poprzez modlitwę pełną oddania się Bogu, a zwłaszcza poprzez ofiarę i cierpienie.

W życiu św. Teresy od Dzieciątka Jezus szczególną rolę odegrało dwóch wielkich grzeszników. Jeden pojawił się w czternastym roku jej życia. Był nim zabójca trzech osób, Pranzini, który mimo wyroku śmierci nie okazywał żadnej skruchy. Teresa nie mogła pogodzić się z myślą, że może on umrzeć bez pojednania z Bogiem. Przez półtora miesiąca wszystkie swoje modlitwy i cierpienia ofiarowywała za Pranziniego. I otrzymała od Boga znak: ten wielki grzesznik w ostatniej chwili przed śmiercią chwycił krucyfiks i ucałował trzykrotnie rany Zbawiciela. Kiedy Teresa dowiedziała się o tym, pełna wzruszenia powiedziała do Celiny: **To mój pierwszy syn**. Ta, która już w czternastym roku życia miała tak wyraźne pojęcie macierzyństwa duchowego, napisze później: "Jedynie cierpienie może rodzić dusze dla Jezusa" (*L. Cel.* 8 VII 1891). Pranzini był prototypem wszystkich grzeszników, za których Teresa chciała modlić się w sposób szczególny i za których chciała ofiarować swoje cierpienie. Ona wiedziała, że modlitwa może nie wystarczyć, że na szalę - za zbawienie dusz - trzeba składać Bogu największy dar, własne cierpienie.

Druga postać wielkiego grzesznika, w myśl wyznań św. Teresy jeszcze bardziej dramatyczna, to o. Hyacinthe Loyson. W autobiografii, w listach Teresy ani w "Dziejach duszy" nazwisko to nigdy nie pada. Dwukrotnie tylko w listach do Celiny mówi ona o "pewnej lilii zwiędniętej i skalanej" i o "wielkim winowajcy" (*L. Cel.* 2 IV 1891; 8 VII 1891). O jej pragnieniu uratowania tej duszy dowiadujemy się z aktów procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego. Hyacinthe Loyson, karmelita bosy, przełożony domu w Paryżu, był świetnym, niezwykle inteligentnym mówcą. Jego konferencje poruszały słuchaczy w całej Francji, nawet Papież gratulował mu sukcesów. W pewnym jednak momencie ten wybitny kapłan z wielkiego kaznodziei stał się apostatą, i to apostatą wojującym. Zaczął przemierzać diecezje Francji i mimo licznych protestów głosił, że Kościół odszedł od prawdziwej Ewangelii. Walczył tak z Kościołem przez czterdzieści trzy lata. Walka ta była dla klasztoru w Lisieux czymś przerażającym, tak że nikt tam nie ośmielił się wymienić jego imienia. Wprost nie mówiło się o nim nigdy, dlatego jego nazwisko nie pojawi się też w pismach św. Teresy, ofiarowującej przez dziewięć lat swoje modlitwy i cierpienia w jego intencji. W przypadku Pranziniego wystarczyło półtora miesiąca, a tu dziewięć lat - i jakby nie wystarczało. Ojciec Loyson zostaje ekskomunikowany, później napisze jeszcze otwarty list oskarżający Kościół i Karmel. Wywołało to wielkie protesty i gwałtowne oburzenie. Teresa jednak nie traci nadziei. Z biciem serca powie do Celiny, że jego nawrócenie jest głównym jej pragnieniem. "Celinko droga - pisze w jednym z listów - to wielki winowajca, większy może winowajca niż jakikolwiek grzesznik dotychczas nawrócony, ale czyż Jezus nie może sprawić, by stało się coś, czego dotąd nigdy jeszcze nie dokonał, a gdyby tego nie pragnął, czyżby obudził w sercach swoich małych oblubienic pragnienie nieziszczalne?" (*L. Cel.* 8 VII 1891). To jest ta jej często podkreślana teza, że jeżeli Jezus daje nam pragnienie czegoś, to nie po to, by tego nie spełnić. "Nie, to jest całkiem pewne - pisze - że On bardziej niż my pragnie doprowadzić na powrót do owczarni tę biedną, zbłąkaną owieczkę. Nadejdzie dzień, gdy on przejrzy" (tamże).

Kiedy analizujemy wiarę św. Teresy, stwierdzamy, że była to wiara, która jest pewnością. Ona wie, że Hyacinthe Loyson nawróci się. "Nie ustawajmy w modlitwach - pisze - ufnością osiągnąć można cudowne rezultaty. Ofiarujmy zasługi naszego Oblubieńca Ojcu naszemu, który jest w niebie, aby jeden z braci naszych, syn Najświętszej Maryi Panny, powrócił

zwyciężony schronić się pod płaszcz najmiłosierniejszej spośród Matek" (tamże). Teresa tak bardzo pragnie uratować duszę tego kapłana, że ostatnią swoją Komunię św. ofiaruje w jego intencji. Umiera ze świadomością, że o. Hyacinthe Loyson nie nawrócił się, ale to nie podważyło pewności jej wiary. Kapłan ten umrze w piętnaście lat po jej śmierci, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat. Jezus tak kochał Teresę, że tym razem już nie musiał dawać jej znaku. Wiedział, że ona nie przestanie wierzyć w to nawrócenie. Kiedy w 1912 roku o. Loyson umierał, nie było przy nim kapłana katolickiego i nie było spowiedzi. Wiadomo jednak, że przed śmiercią otrzymał on rękopis "Dziejów duszy" i że przeczytał jednym tchem "Pisma" św. Teresy, które określił jako "szalone i wstrząsające". Podczas jego bardzo ciężkiego konania obecni przy nim słyszeli powtarzane słowa: "O mój cichy Jezu". Ten ostatni akt miłości skierowany do Jezusa pozwala przypuszczać, że o. Hyacinthe został uratowany - dzięki modlitwom i cierpieniom Teresy. To również jej duchowy syn.

"Jedynie cierpienie może rodzić dusze dla Jezusa". To stwierdzenie św. Teresy ukazuje, na czym polega macierzyństwo duchowe. Matka to ta, która daje życie i która to życie podtrzymuje. Człowiek boi się cierpienia, ale przecież nikt z nas nie może się od niego uwolnić, tak jak nie możemy uwolnić się od ciężaru dnia codziennego. Nasze cierpienia i trudy mogą być jednak zmarnowane. Dopiero ich akceptacja i połączenie z krzyżem Jezusa pozwoli nam wkroczyć w niezwykłą tajemnicę macierzyństwa duchowego. **Macierzyństwo takie jest na mocy uczestnictwa w królewskim kapłaństwie wiernych naszym powołaniem. Mamy zdobywać i rodzić dusze dla Jezusa.** Pomyśl, ile jest w twoim życiu rzeczy trudnych: może brak zdrowia, konflikt domowy, niesforne dzieci, jakiś przygniatający cię ciężar duchowy. Mogą to być nawet rzeczy drobne, ale jeżeli są przyjęte i ofiarowane, sprawiają, że uczestniczysz w macierzyństwie duchowym Kościoła, że rodzisz dusze dla Chrystusa. **Nie ma nic ważniejszego nad to.** Może się to dokonywać przez apostołstwo słowa i modlitwy, ale cierpienie jest środkiem najskuteczniejszym, co więcej jest najskuteczniejszą formą apostołowania, bo w nim jest najwięcej ogołocenia (środek ubogi), najmniej siebie samego, a najwięcej Chrystusa - **w nim najbardziej rozpina się krzyż.**

Świadectwo Jana Pawła II

25 maja 1985 r. na Placu Świętego Piotra w Rzymie papież Jan Paweł II nałożył biret kardynalski na głowę ks. abpa Andrzeja Marii Deskura. Był to szczególny konsystorz, wywołujący wstrząs i zdumienie. - Dlaczego Papież mianuje kardynałem człowieka sparaliżowanego? Przecież godność kardynalska to nie tytuł czy nagroda za pracę biskupa. Kardynałowie są pierwszymi doradcami i współpracownikami Papieża, pełnią bardzo ważne funkcje w Kościele. Dlaczego człowiek, który wskutek cierpienia nie jest już zdolny do pracy, został mianowany kardynałem? Tajemnicę tej nominacji Jan Paweł II dyskretnie wyjaśnił wieczorem w dniu konsystorza, w swoim przemówieniu do pielgrzymów z Polski, kiedy to powiedział o kardynale Deskurze: "Jestem z nim szczególnie związany jeszcze od czasów studenckich, poprzez seminarium duchowne, przez lata kapłańskie i wiele spotkań w Rzymie, a w szczególności przez to ostatnie spotkanie, które nastąpiło przed konklawe. Wtedy to Opatrzność Boża dotknęła ks. biskupa Deskura tym ciężkim kalectwem, które nosi w sobie do dzisiaj. Wśród wszystkich kardynałów dzisiaj kreowanych on jeden był inwalidą na wózku i wnosi do tego kolegium szczególne znamię, znamię cierpienia - znamię cierpienia, które jest ofiarą. Nie znamy dróg Bożych, nie znamy tajemnic Bożych, ale trudno mnie osobiście oprzeć się przeświadczeniu, że ta ofiara ks. arcybiskupa, dzisiaj kardynała Andrzeja, pozostawała w związku z konklawe, które odbyło się w połowie października 1978 roku". Ojciec Święty dostrzega w cierpieniu arcybiskupa Andrzeja Deskura jakby cenę za to, że on,

kardynał Wojtyła, mógł zostać zastępcą Chrystusa. Wiemy zresztą, że zaraz po wyborze na papieża pierwsze swoje kroki skierował do kliniki Gemelli, gdzie leżał bardzo ciężko wtedy chory, sparaliżowany arcybiskup Andrzej Maria Deskur - ten, któremu Papież, według swojego przekonania, wiele zawdzięczał i któremu została dana najlepsza częśćka wspomaganego go swoim cierpieniem, częśćka trudna, ale najbardziej skuteczna, jak zresztą wszystkie środki ubogie. To że chory arcybiskup Andrzej Maria Deskur otrzymał godność kardynała, to jakby pośrednie wskazanie przez Jana Pawła II na wartość środków ubogich.

Kardynał Deskur był przedtem przewodniczącym Papieskiej Komisji ds. Środków Społecznego Przekazu. Zajmował się więc rozpowszechnianiem i funkcjonowaniem środków bogatych w Kościele. I zrobił w tej dziedzinie bardzo dużo. Wniósł wielki wkład w przygotowanie dokumentów kościelnych wytyczających katolickim środkom przekazu kierunek działania. O tych jednak zasługach, o tym, jak duży wkład wniósł w rozwój środków przekazu, Papież prawie nie wspomina. Ma się wrażenie, jakby chciał przez to podkreślić wartość środków ubogich - że wnosi on do kolegium kardynalskiego znamię cierpienia, które jest ofiarą.

Pierwszego czerwca po południu kardynał Andrzej Maria Deskur dokonał objęcia swego tytularnego kościoła San Cesareo in Palatio, tego samego, który w roku 1967 otrzymał kardynał Karol Wojtyła. Kardynał w majestacie cierpienia celebrował Mszę świętą siedząc. Zamiast tronu kardynalskiego stał przy niskim ołtarzu fotel na kółkach. Jego porażona chorobą ręka z trudem mogła utrzymać pastorał. Swoisty paradoks - przewodniczący papieskiej komisji do spraw środków bogatych naznaczony został znamieniem środków ubogich.

W kontekście doktryny środków ubogich należy rozumieć również słowa Jana Pawła II dotyczące zamachu na jego życie. Wydarzenie to nazywa szczególną łaską. 14 października 1981 r. podczas śródowej audiencji generalnej na Placu Świętego Piotra, przemawiając do tysięcy pielgrzymów, wypowie te znamienne słowa: "Bóg pozwolił mi doświadczyć w ciągu minionych miesięcy cierpienia, pozwolił mi doświadczyć zagrożenia życia, pozwolił mi jednocześnie jasno i dogłębnie zrozumieć, że jest to szczególna Jego łaska dla mnie samego jako człowieka. Równocześnie z uwagi na posługę, jaką sprawuję jako następca św. Piotra, jest to łaska dla Kościoła. Chrystus dał mi tę łaskę, że mogę cierpieniem i zagrożeniem własnego życia i zdrowia dać świadectwo Jego miłości. To właśnie poczytuję sobie za szczególną łaskę i za to właśnie składam szczególne dziękczynienie Duchowi Świętemu i Maryi Niepokalanej".

Czy bez środków ubogich, bez cierpienia, którym naznaczone jest życie Jana Pawła II, mógłby on tak skutecznie pasterzować w Kościele, czy mógłby pociągać tłumy? Do dramatycznych dni zamachu nawiąże Papież jeszcze raz w dniu swoich imienin, 4 listopada 1981 roku: "Wydarzenie z 13 maja dało mi wiele do myślenia, kazało mi spojrzeć na to moje ludzkie i chrześcijańskie życie jeszcze bardziej w świetle Ewangelii, w świetle tych słów o ziarnie, które musi obumrzeć, ażeby mogło owoc przynosić".

Część trzecia: Aktualizowanie się wiary

Wiara winna przenikać całe nasze życie. Wówczas dzięki niej wierzący całym swoim człowieczeństwem i całą swoją codziennością wchodzi w związek z Bogiem. Najpełniej aktualizuje się ona w sakramentach, zwłaszcza w sakramentach chrześcijańskiej inicjacji. Dzięki wierze możemy dostrzec w nich zbawcze działanie Chrystusa i przyjąć je. Pierwszym sakramentem inicjacji chrześcijańskiej jest chrzest. W nim otrzymujemy wraz z życiem nadprzyrodzonym dar wiary. W ochrzczonego poprzez wszczępienie w Chrystusa dokonuje się podstawowa konsekracja - poświęcenie osoby ludzkiej Bogu i powołanie jej do świętości. Bierzmowanie, jako następny sakrament chrześcijańskiej inicjacji, potęguje dynamizm wiary, obdarza bierzmowanego szczególną mocą Ducha Świętego oraz zobowiązuje do szerzenia wiary i bronienia jej. W Eucharystii zaś, sakramencie kulminacji wiary i trzecim sakramencie inicjacji, możemy w sposób szczególny jednoczyć się z Chrystusem ukrzyżowanym i zmartwychwstałym. Szczytem życia wiarą jest udział w odkupieńczej Ofierze Chrystusa, w której oddajemy siebie wraz z Ofiarą Chrystusa Bogu Ojcu. Eucharystia, podczas której wspólnie składamy ofiarę i wspólnie jednoczymy się z Chrystusem, tworzy wspólnotę wiary.

Wiara aktualizuje się w szczególny sposób w modlitwie, która jest zapoczątkowanym i rozwijanym przez wiarę dialogiem człowieka z Ojcem przez Jezusa Chrystusa w Duchu Świętym. Realizuje się też przez tę formę dialogu z Bogiem, jaką jest wsłuchiwanie się w Słowo Boże, gdy człowiek dobrowolnie powierza siebie objawiającemu się Bogu, okazując uległość rozumu i woli w posłuszeństwie wiary. Konieczne jest również, by wyrażała się ona w uczynkach miłości, bez których staje się martwa. Wiara, będąc stałym procesem nawracania się, jest nieustannym otwieraniem się na miłość Boga i stałym przyjmowaniem tej miłości, by obdarzać nią innych.

Rozdz. I Sakrament chrztu

Chrzest, tak jak i inne sakramenty, stanowi szczytową formę realizowania się wiary. Jest fundamentem i początkiem tego procesu, "pierwszym zaczątkiem pełni życia w Chrystusie" (DE 22). W myśli soborowej tak sakrament chrztu, jak i inne sakramenty zostały nazwane sakramentami wiary, ponieważ wszystkie sakramenty wymagają wiary, zakładają ją i wyrażają, a jednocześnie dają jej wzrost. Wiara wyprzedza chrzest i do niego prowadzi, jest dyspozycją umożliwiającą jego przyjęcie.

Przez chrzest umieramy dla grzechu. Jest to autentyczna śmierć, zniszczenie w człowieku tego, co było w nim złe, nieodkupione, **by mógł odrodzić się jako syn Boży, stając się nowym stworzeniem - powołanym do świętości uczestnikiem natury Bożej**. Przez chrzest człowiek zostaje poświęcony, konsekrowany dla Boga, staje się prawdziwym Jego dzieckiem i przybranym dzieckiem. Sobór mówiąc o chrzcie ukazuje nam prawdy przerastające ludzką myśl i wyobraźnię. Mówi o wszczępieniu nas w Chrystusa ukrzyżowanego i uwielbionego, o upodobnieniu do Chrystusa. Mówi, że przez chrzest człowiek otrzymuje dar wiary i odtąd uczestniczy w królewskim kapłaństwie Chrystusa, stając się uczestnikiem Jego kapłańskiego, prorockiego i królewskiego urzędu, że zostaje włączony - choć jeszcze nie całkowicie - w Jego Mistyczne Ciało.

Zanurzenie w śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa

Chrzest na skutek małej wiary pozostaje ciągle sakramentem nie odkrytym przez chrześcijan. Potrzebna jest głęboka wiara, aby zrozumieć słowa św. Pawła: "Umarliście bowiem i wasze życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu" (*Kol 3, 3*). Pawłowe wyrażenie "umarliście" zawiera tę samą treść, jaką wypowiada Apostoł w Liście do Rzymian, gdy pisze o znaczeniu wprowadzającego nas w życie Chrystusa sakramentu chrztu: "Czyż nie wiadomo wam, że my wszyscy, którzyśmy otrzymali chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć?" (*Rz 6, 3*). To na mocy Jego śmierci przez chrzest wkraczamy w nowe życie. Ten pierwszy sakrament Kościoła jest zapoczątkowaniem naszego "ukrycia z Chrystusem w Bogu". **Chrzest jest źródłem wiary.** On zapoczątkowuje w nas życie nadprzyrodzone, które jest życiem wiary, nadziei i miłości.

Odtąd jesteśmy z Chrystusem pogrzebani dla grzechu, dla zła moralnego, dla tego wszystkiego, co nie jest Chrystusowe. Jest to śmierć autentyczna, musi bowiem obumrzeć w nas wszelkie przywiązanie do świata, do jakichkolwiek wartości poza Bogiem, abyśmy mogli przejść do nowego życia, zapoczątkowanego przez zmartwychwstanie Chrystusa.

W każdym systemie religijnym występuje zjawisko podwójnych narodzin. Człowiek rodzi się nie tylko w sensie fizycznym, ale rodzi się też w sensie duchowym. Narodziny w sensie duchowym to pewnego rodzaju inicjacja. W niektórych religiach pozachrześcijańskich została ona rozbudowana do form niezwykle dramatycznych, bazujących na symbolice śmierci i powtórnych narodzin. Dramatyzm tych form wynika z wykorzystywania w ich symbolice tego, co przeraża w śmierci i co odbierane jest jako wspaniałe w nowym życiu. Wiele z tych uduchawianych form odwołuje się do tak mocnych symboli i obrazów, jak pogrzebanie w ziemi, wyrzucenie przez otwór z płonącymi wokół żagwiami, pożarcie przez jakiegoś mitycznego potwora czy wręcz pochowanie wraz ze zwłokami ludzkimi. Wszystko to obliczone jest na psychiczny wstrząs i na pewien szok, który bardzo mocno poruszy ludzką wyobraźnię. W systemach pozachrześcijańskich bowiem inicjacja apeluje jedynie do wyobraźni, ponieważ tylko do niej może się odwoływać.

W chrześcijaństwie inicjacja - rozumiana jako narodziny do życia nadprzyrodzonego - dokonuje się poprzez trzy sakramenty: chrzest, bierzmowanie i Eucharystię. Symbolika i znaki sakramentalne odwołują się przy tych sakramentach do wiary, a nie do wyobraźni. Odwoływanie się do wyobraźni byłoby zresztą w wypadku sakramentów bezcelowe, ponieważ to, co znaki sakramentalne oznaczają, przerasta wszelką ludzką myśl i wszelką wyobraźnię.

Przez chrzest w naturę ludzką zostaje wszczepiony jakby nowy, nadprzyrodzony organizm. W dotychczasowe życie wszczepione zostaje życie nowe. Gdyby jakiemuś uczonemu udało się dokonać przeszczepu życia zwierzęcego w coś, co przedtem miało tylko życie wegetatywne, np. w jakąś roślinę, świat przyjąłby to z najwyższym zdumieniem. Obserwujący takie doświadczenie doznałoby szoku, widząc jak roślina zaczyna widzieć, słyszeć, odczuwać, reagować na głos. Nazwano by to z pewnością największym cudem ludzkiego geniuszu. Tymczasem to wszczepienie, jakie dokonuje się przez sakrament chrztu, przewyższa w sposób niewyobrażalnie wielki takie fikcyjne wszczepienie nowego rodzaju życia.

Gdy patrzymy na znaki sakramentalne, na odrobinę wody, którą polewa się głowę niemowlęcia czy dorosłego katechumena, na dotknięcie głowy krzyżmem, podanie świecy i białej szaty, to znaki te nie są w stanie ukazać nam tej rzeczywistości, jaka się wówczas dokonuje. Bez wiary człowiek nie potrafi jej zrozumieć ani ogarnąć. **Tylko żywa wiara pozwala nam dostrzec w chrzcie zbawcze działanie Chrystusa i przyjąć je.**

Chrzest sprawia, że naszym udziałem staje się ta absolutna nowość życia, jaką Chrystus zapoczątkował w dziejach człowieka przez swoje zmartwychwstanie. Ta nowość życia to wyzwolenie nas z dziedzictwa grzechu, z jego "niewoli" i uświęcenie w prawdzie. **To odkrycie naszego powołania do zjednoczenia z Bogiem i życia razem z Chrystusem w Nim.** Nowość ta zawiera w sobie początek wszystkich ludzkich powołań. Ostatecznie bowiem każde powołanie, czy to będzie powołanie do kapłaństwa, czy do stanu zakonnego, czy do ojcostwa albo macierzyństwa, zmierza do pełnej realizacji sakramentu chrztu świętego.

Zapoczątkowane przy chrzcie umieranie z Chrystusem czyni nas uczestnikami owoców Jego zmartwychwstania na podobieństwo ziarna, które rzucone w glebę obumiera, aby zaowocować nowym życiem. **Przez chrzest dokonuje się podstawowa konsekracja - poświęcenie osoby ludzkiej Bogu na własność.** Konsekracja ta może urzeczywistnić się dzięki łaskom Chrystusowego Odkupienia, a jednocześnie jest naszą odpowiedzią na nie.

Do łask sakramentu chrztu winniśmy nieustannie powracać, by przez wierność tym niezwykłym i szczególnym łaskom osiągnąć w jakimś stopniu taki stan czystości duszy, jaki został nam dany w momencie inicjacji chrzcielnej. Przez dokonujące się bowiem w chrzcie zanurzenie w śmierć i zmartwychwstanie Jezusa osiągamy pewien stan nieskazitelności, który potem bardzo często marnujemy. Łaski chrztu dane są nam na zawsze, my jednak najczęściej marnotrawimy je, ulegając złu. Gdy jednak pragniemy iść do świętości, możemy przez poszczególne etapy oczyszczeń osiągnąć na nowo ten szczególny stan, który przedtem przez niewierność łaskom chrztu roztrwoniliśmy. Cała nasza droga do świętości nie jest niczym innym jak dochodzeniem do takiego stanu naszej duszy, jaki uzyskujemy w momencie chrztu.

Postęp w życiu wewnętrznym polega na coraz silniejszym pragnieniu realizowania łask chrztu św., łask upodobniania się do Chrystusa przez życie w duchu ośmiu błogosławieństw. "Kto straci swe życie z Mego powodu, znajdzie je" - mówi Chrystus (*Mt 16, 25*). To "tracenie życia" rozpoczyna się już w sakramencie chrztu i ma realizować się w całym naszym życiu. Mamy tracić swoje życie z powodu Chrystusa, usiłując naśladować Go coraz pełniej na swojej konkretnej drodze życia, zgodnej z Jego wolą i Jego planem wobec nas. Musimy być razem z Chrystusem "pogrzebani", musimy więc przejść przez swoją śmierć. Dlatego na ile nie umarliśmy dla wszystkiego, co oddziela nas od Boga, na tyle nie może urzeczywistnić się nasze "ukrycie z Chrystusem w Bogu", nasza świętość. Przez utratę swojego życia dla Chrystusa zrealizujemy nasze powołanie do odnalezienia siebie w Nim, który jest "wszelką pełnią" (*Kol 2, 9*).

Udzielony nam w sakramencie chrztu "dar wiary" (*DWCH 2*) ma prowadzić do ciągłego wzrostu naszego przyłgnięcia do Chrystusa. Chrzest staje przed nami nie tylko jako coś dokonanego, ale również jako pewne zadanie i cel. Podobnie jak wiara jest on dla nas zadaniem, które zostanie zrealizowane w pełni dopiero w momencie naszego zjednoczenia z Chrystusem, wówczas gdy będziemy mogli powtórzyć za św. Pawłem: "Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus" (*Ga 2, 20*).

Włączenie do Ciała Chrystusowego

Istotnym zbawczym skutkiem chrztu świętego jest **wcielenie ochrzczonego w społeczność Kościoła**. Rodząca się z chrztu wiara powoduje wyjście z izolacji własnego "ja" i wejście w komunię z Jezusem, a także z tymi, którzy są częścią Jego Mistycznego Ciała. Miejscem twojej wiary staje się Kościół. Twoja wiara jest częścią wiary Kościoła, poza którym nie miałaby szans rozwoju.

W myśl orzeczeń Soboru Mistyczne Ciało Chrystusa jest budowane przez sakramenty inicjacji chrześcijańskiej. Przez chrzest jesteśmy w nie włączani, a następnie umacniani przez bierzmowanie i Eucharystię. Dostrzeżenie jednak naszej przynależności do Mistycznego Ciała Jezusa i życie tą przynależnością niemożliwe jest bez żywej wiary.

Bardzo często ludzie otaczający osobę przyjmującą chrzest są jakby niewidomi, patrzą, a nie widzą ani nie rozumieją. Nieświadomi, że dokonuje się wydarzenie niezwykle i dla nas niewyobrażalne, zainteresowani są bardziej zachowaniem się dziecka, tym czy płacze, czy jest spokojne. Gdyby mieli wiarę, doznaliby szoku, bo zrozumieliby, jak wielkie wydarzenie dokonuje się w momencie, gdy na głowę przyjmującego chrzest spływa woda i wypowiedzane są słowa: "ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego". Tylko żywa wiara umożliwia przebicie się poprzez bardzo proste znaki sakramentalne ku tej niepojętej rzeczywistości, jaka się wówczas dokonuje. Brak wiary może prowadzić do magicznego pojmowania sprawczości sakramentu chrztu albo do pojmowania go w sensie czysto zewnętrznej czynności kościelnej.

Twojej osobistej wiary, której źródłem jest chrzest, nie możesz budować i pogłębiać jedynie poprzez prywatny dialog z Jezusem, bo **wiara ma wymiar komunii** i również w tym wymiarze ma ona rodzić się i rozwijać. Sakrament chrztu to bardzo ważne wydarzenie dla całej parafii. Najbliższa wspólnota wierzących winna towarzyszyć przyjmującemu ten pierwszy sakrament Kościoła swoją modlitwą i postawą wiary. Przez ten sakrament bowiem Bóg obdarowuje niezwykłymi łaskami nie tylko nowo ochrzczonego, ale również przyjmującą go wspólnotę - otrzymuje ona nowego, uświęconego członka wspólnoty. Ważne jest więc, byśmy wszyscy przyjmowali ten wielki dar Boga w duchu głębokiej wiary i wdzięczności.

Przez sakrament chrztu wchodzisz w świętych obcowanie. Łaska Chrystusa jak olbrzymia rzeka życia przenika wszystkich należących do Jego Mistycznego Ciała. We wszystkich działa ten sam Duch Święty. Każdy z nas otrzymuje Jego łaski nie tylko dla siebie, ale i dla innych; szerzy je słowem, myślą, dziełem miłości. Wzrost w łasce poprzez większą wierność Bogu intensyfikuje nasze swoiste promieniowanie na innych, i to nie tylko poprzez słowo mówione czy pisane, przez dawanie dobrego przykładu, ale również niezależnie od bezpośrednich działań i fizycznej odległości. Modlitwa innych należy także do ciebie - powie Romano Guardini - podobnie jak ich działanie, ich wzrost duchowy, czystość serca. Czy zastanawiałeś się kiedy nad wspólnotą cierpienia, nad tym, że łaski płynące z czyjegoś cierpienia przechodzą na innych? **Jeżeli łącząc się z cierpieniami Chrystusa ofiarujesz swe bolesne doświadczenia Bogu za innych, wówczas stają się one dla nich żywą, dobroczynną, odkupieńczą mocą.** Ponad wszelkimi przeszkodami i odległościami niesiesz pomoc tam, gdzie nic innego pomóc nie może (zob. R. Guardini, *Il senso della Chiesa*).

Nikt nie jest samotną wyspą. Jako Mistyczne Ciało Chrystusa stanowimy swoisty system naczyń połączonych. Każde twoje dobro, jak i każde zło ma wymiar społeczny, wywołuje swoiste nadprzyrodzone ciśnienie oddolne dobra lub zła na innych. Modlitwa widziana w świetle wiary sytuuje się w ramach systemu naczyń połączonych. Jako taka nigdy nie jest modlitwą samotną. Jako członek mistycznego organizmu Kościoła przez swoją modlitwę wiary ubogacasz go lub zubożasz. Stanowi to o eklezjalnym wymiarze modlitwy i określa twoją odpowiedzialność za Kościół, za innych. Nie chodzi tu o zwykłe klepanie pacierzy, ale o modlitwę autentyczną, która jako forma realizowania się wiary dosięga samego Boga. Modlitwa, aby oddziaływać na innych, nie musi mieć charakteru wyraźnie, imiennie wstawienniczego. Wystarczy, że wzrasta w tobie wiara, nadzieja i miłość - a tym samym wzmagają się w tobie życie modlitwy - by Kościół, by inni, by całe Ciało Mistyczne Jezusa mogło odczuć jej dobroczynny, zbawienny wpływ.

W ramach tak rozumianego Mistycznego Ciała Chrystusa występują różne w swej bliskości i głębi wzajemne powiązania. Fizyczny obraz **naczyń połączonych** może nam przybliżyć tajemnicę wzajemnych powiązań w ramach Mistycznego Ciała Chrystusa. Systemem naczyń połączonych jest na przykład rodzina jako Kościół domowy. Zwykle Bóg, chcąc oddziaływać na określoną grupę osób, posługuje się w sposób szczególny jedną z nich, aby przez nią obdarzać łaskami innych. Załóżmy, że w określonym systemie naczyń połączonych, jakim jest np. czteroosobowa rodzina, trzy osoby są zamknięte na życie łaski. Są one jak szczelnie zakorkowane próbki. Jeżeli zaś jedna próbuje nawracać się ku Bogu, staje się wtedy dla tych najbliższych sobie osób kanałem łaski. Ma ona dwie możliwości oddziaływania. Może próbować usunąć odgórnie zawory, tak jak usuwa się korek za pomocą korkociągu. Jeżeli jednak ten zawór stanowi żywą tkankę ludzkiej osobowości, to takie jego odgórne wrywanie będzie zawsze połączone z cierpieniem, z bolesnym i w jakiejś mierze niszczącym ranieniem oraz ograniczającym wolność przymusem. Pan Bóg nie chce tego, On kocha w człowieku realizowaną w wolności decyzję wyboru zmierzającą ku pełniejszej wierze i miłości. Posługując się dalej obrazem systemu naczyń połączonych - Pan Bóg woli, aby te korki były wyważane oddolnie, przez swoisty wzrost ciśnienia łaski w twojej próbce. Zanim będziesz nawracał innych, staraj się przede wszystkim nawrócić samego siebie. Ważny jest stopień twojej wiary, twojego przyłgnięcia do Chrystusa. "Nie jest ważne, co robisz - powiedział Jan Paweł II - ważne jest, kim jesteś". **Im więcej będzie dobra w tobie, im bardziej będziesz wierny łasce, tym twoje oddziaływanie na innych będzie skuteczniejsze.**

Jeśli więc żona chce nawrócić męża, który np. upija się, musi zacząć od siebie. To ona ma się najpierw nawrócić. Dopiero gdy w niej zacznie wzrastać łaska, gdy będzie pogłębiała się jej nawrócenie, wówczas ta narastająca w niej oddolna siła dobra spowoduje nawrócenie współmałżonka. Reformę świata, przemianę innych musimy zaczynać od siebie. To w tobie ma wzrastać życie Chrystusa w takim stopniu, aby przyjęte przez ciebie łaski i dobro powodowały nawrócenie innych. Może się jednak zdarzyć, że takie nawracanie innych będzie ciągle nieskuteczne, że będzie wymagało coraz wyższego "ciśnienia" łaski w twojej "próbce". W ten sposób Bóg może domagać się od ciebie bardziej intensywnego życia wewnętrznego, a nawet całkowitego daru z siebie, radykalnego dążenia do świętości. Takie są konsekwencje twojej przynależności do Mistycznego Ciała Chrystusa, konsekwencje tej niezwyklej prawdy, że przez chrzest stałeś się członkiem Chrystusa Totalnego, Jego Mistycznego Ciała.

G. K. Chesterton pisze, że w dziejach Kościoła wiara chrześcijańska przynajmniej pięć razy przechodziła swój pozorny zgon (zob. *The everlasting man*, 250-254). Jednym z takich

dramatycznych okresów "umierania Kościoła" były czasy św. Franciszka z Asyżu. O niezwykle ponurym obrazie Kościoła XII w. świadczą m.in. liczne bulle papieża Innocentego III, piętnujące najbardziej gorszące nadużycia: lichwę, sprzedajność, obżarstwo, pijaństwo, rozpustę. Na tle tak wielkiego upadku obyczajów pojawiło się w Europie wiele fanatycznych i agresywnych herezji, które omal nie zniszczyły chrześcijaństwa. Ciosem wymierzonym w Kościół byli również wędrujący kaznodzieje, nieustannie krytykujący duchownych, ogarniętych często żądzą bogactwa, którym przeciwstawiano wzory ewangelicznego ubóstwa.

Franciszek nigdy nikogo nie krytykował. Uważał bowiem, że jeżeli jest źle dookoła, to najpierw on ma się nawrócić, nie inni. Jeżeli panoszy się tak wielki przepych i rozwiązłość, to on musi stać się radykalnie ubogim i czystym, bo to on jest temu winien. Święci tym różnią się od twórców herezji, że ci chcą nawracać innych, nie siebie, podczas gdy **święci ostrze wszelkiej krytyki kierują ku sobie - żeby świat był lepszy, sami starają się siebie nawracać.**

Im więcej Franciszek dostrzegał wokół siebie zepsucia i skandali, tym bardziej pragnął upodobnić się do Chrystusa czystego, pokornego, ubogiego. To on, Franciszek, jest winien, że świat jest taki zły, wobec tego to on, Franciszek, musi się radykalnie nawrócić - i historia przyznała mu rację. Gdy bowiem Franciszek nawrócił się, gdy stał się tak "przezroczysty" dla Pana, że mogło się w nim odzwierciedlić oblicze Chrystusa, Europa zaczęła dźwigać się z upadku. Spełnił się sen Innocentego III, w którym widział on, jak postać podobna do Franciszka wspierała chwiejące się mury Bazyliki Laterańskiej, zwanej "matką i głową wszystkich kościołów" (symbol całego Kościoła) - i ocaliła ją.

Mocą świętości Franciszka Chrystus dźwigał swój Kościół ze "zgonu" wiary. Świat ubogacił się jego świętością nie tyle na zasadzie poznania człowieka realizującego ducha Ewangelii w sposób niezwykły i heroiczny, ile na zasadzie systemu naczyń połączonych - jego świętość oddziaływała przecież na osoby, z którymi on nigdy się nie zetknął. Światło wiary pozwala ci poznać, że przez chrzest należysz do Ciała Chrystusowego, że zostałeś włączony w system naczyń połączonych tego Ciała, które tak bardzo potrzebuje nawróconych i świętych, które tak potrzebuje twojego nawrócenia, twojej świętości. Dzięki światłu wiary poznasz, że reformowanie innych trzeba zawsze zaczynać od siebie.

Każde twoje dobro oddziałuje na innych, **twoja wierność jest mocą dla tych, których kochasz**, twoja Komunia św. wzmacnia nie tylko ciebie, ale jest pokarmem dla twojego współmałżonka, dzieci, braci, przyjaciół, parafii, Kościoła, świata. Zaczynaj więc od siebie, od własnego otwarcia się na Chrystusa. Bóg chce, byś się uświęcił i żeby poprzez twoje uświęcenie uświęcało się twoje środowisko, twoi bliscy, Kościół, świat.

Kapłaństwo wiernych

Wynikające z chrztu powszechne kapłaństwo wiernych wyraża się najpełniej w ofiarowaniu Eucharystii. Kapłan celebrując Mszę św. reprezentuje nie tylko Chrystusa-Kapłana, ale także wiernych, którzy razem z nim i za jego pośrednictwem składają ofiarę Chrystusa, ofiarowując Bogu również samych siebie. Mówi o tym dobitnie Sobór Watykański II: Na mocy chrztu świętego wierni "otrzymują udział w kapłańskiej funkcji Chrystusa dla sprawowania duchowego kultu, oddając Mu samych siebie jako ofiarę". Są oni "poświęceni przez odrodzenie i namaszczenie Duchem Świętym, jako dom duchowy i święte kapłaństwo,

aby przez wszystkie właściwe chrześcijaninowi uczynki składać ofiary duchowe" (KK 10). We Mszy św. dokonuje się szczególne upodobnienie ochrzczonego do Jezusa Chrystusa, bo jest on nie tylko tym, który współdziała przy ofiarowaniu, ale jednocześnie sam staje się darem ofiarnym.

Powszechne kapłaństwo wiernych wiąże się z powołaniem do oddania Bogu wszystkiego, z powołaniem do świętości. Twoja Msza św., sprawowana w ramach powszechnego kapłaństwa wiernych, jest wtedy dobra, gdy rzeczywiście oddajesz siebie Chrystusowi do końca, a przez Niego w pełni oddajesz się Ojcu; kiedy nie chcesz niczego dla siebie i godzisz się, by być ogołoconym tak jak Chrystus. **Bóg zazdrosny o twoją miłość pragnie takiego totalnego daru.** Kapłaństwo wiernych ma prowadzić cię ku twojemu jeszcze większemu wszczępieniu w Chrystusa. Masz być jak Chrystus całkowitym darem dla Ojca, nie zatrzymującym niczego dla siebie, bo tylko wtedy On będzie mógł w pełni oddać się tobie i napełnić cię sobą.

Wzrastająca w tobie obecność Chrystusa ma być przekazywana innym. Przez chrzest zostałeś powołany do *contemplata aliis tradere* - przekazywania innym tego, czym żyjesz. Na mocy chrztu bowiem stajesz się uczestnikiem prorockiego urzędu Chrystusa. **Jesteś więc powołany do sprawowania funkcji apostołskich i ewangelizacyjnych.** Święty Piotr wiąże kapłaństwo wiernych z obowiązkiem apostołatu i ewangelizacji: Jesteście "królewskim kapłaństwem", abyście wszędzie głosili miłość Tego, który wezwał was z ciemności do swojego przedziwnego światła (por. *1 P 2, 9*).

Ojciec Święty w homilii wygłoszonej 29 I 1979 r. w Meksyku powiedział: "Wszyscy wierni na mocy sakramentu chrztu i bierzmowania zobowiązani są do publicznego wyznawania wiary, którą otrzymali od Boga za pośrednictwem Kościoła. Powinni ją szerzyć i bronić jej jak prawdziwi świadkowie Chrystusa, ponieważ są wezwani do ewangelizacji - fundamentalnego obowiązku wszystkich członków ludu Bożego". Musisz jednak pamiętać, że skuteczność twojej działalności apostołskiej będzie płynęła z głębokiego życia wewnętrznego, z życia modlitwy i całkowitego oddania się Chrystusowi-Kapłanowi na wzór Maryi, której dziewicze i pełne oddanie się Bogu stało się źródłem Jej duchowego macierzyństwa wobec dusz. Chrzest, który rodzi cię do wiary, powołuje również ciebie do takiego macierzyństwa

Rozdz. II Bierzmowanie

Sakrament bierzmowania wiąże się ściśle z chrztem i Eucharystią, ponieważ tak jak i one jest sakramentem inicjacji chrześcijańskiej. Jeżeli chrzest wciela ochrzczonego do Kościoła, to bierzmowanie dokonuje dalszego, doskonalszego włączenia w Ciało Chrystusa. Sakrament bierzmowania potęguje dynamizm łask chrztu i obdarza szczególną mocą Ducha Świętego, zobowiązując tym samym do dawania świadectwa Chrystusowi, do szerzenia wiary i bronięcia jej (zob. *KK 11*). Bierzmowanie razem z chrztem i Eucharystią jest sakramentem warunkującym i pogłębiającym proces upodobniania człowieka wierzącego do Chrystusa.

W sakramencie bierzmowania otrzymujemy łaskę Pięćdziesiątnicy - pełnię Ducha Świętego. Kościół w tekstach liturgicznych porównuje łaski tego sakramentu z tymi niezwykłymi łaskami, jakie stały się udziałem Apostołów w dniu Pięćdziesiątnicy. Bierzmowanie to uroczyste "zstąpienie" na ochrzczonego Ducha Świętego, który pragnie doprowadzić do dojrzałości to, czego dokonał już raz na zawsze w sakramencie chrztu.

Szczególnym owocem tego sakramentu jest **dar dojrzałej wiary**, udzielany nam przez Ducha Świętego poprzez **łaski ogołocenia**.

Ogołocenie warunkiem pełni

Pogłębienie naszej wiary dokonuje się na drodze ogołacania nas z własnych systemów zabezpieczeń, z tego, co rodzi w nas poczucie siły, mocy, znaczenia. Ogołacanie nas to czynienie miejsca dla wiary, która domaga się pokory. Bóg ogołacając ciebie z własnej mocy i z własnych sił przybliża cię ku sobie, stawia cię w prawdzie i sprawia, że bardziej Go potrzebujesz - a to niezwykła łaska.

Święty Jan od Krzyża powie, że **Bóg kocha duszę najbardziej, gdy ją ogołaca**, bo człowiek może wtedy dojść **do pełni wiary**. Gdy nie masz oparcia w żadnym systemie zabezpieczeń, wtedy możesz być pociągnięty przez Boga do tego, by tylko na Nim się oprzeć - jedynej skale twojego zbawienia. **Łaska ogołocenia to szczególny dar Ducha Świętego, który przed swoim zstąpieniem na człowieka ogołaca go**. My często nie w pełni rozumiemy działanie Ducha Świętego. Jest On Mocą, jest Pocieszycielem, jest Miłością Ojca i Syna, ale często zapominamy, że to **On jest głównym Budowniczym naszej świętości**. Jest więc Tym, który dokonuje całego, niezbędnego w drodze do zjednoczenia z Bogiem procesu, zawierającego zarówno elementy pociągnięcia, jak i elementy oczyszczeń, a więc elementy naszego ogołocenia. To Duch Święty nas ogołaca, to **On czyni nas ubogimi**. On jest, jak wyznajemy w sekwencji mszalnej, Ojcem ubogich, a więc tym, który obdarza.

Czy Duch Święty obdarza nas po to, by uczynić nas bardziej bogatymi? To przecież nie miałoby sensu, ponieważ bogactwo w duchu nazwane jest w Ewangelii przekleństwem. **Jego dar to ogołacanie nas** i czynienie jeszcze bardziej ubogimi, byśmy byli bardziej otwarci na Jego moc i na Jego miłość. Dopiero wtedy **On sam stanie się darem dla nas**, bo będzie mógł zstąpić w tę pustkę naszego ogołocenia i zappełnić ją swoją nieskończoną mocą i miłością.

Szczególnie ważnym rodzajem ogołocenia, poprzez które Duch Święty przygotowuje nas na swoje "zstąpienie", jest ogołocenie nas z fałszywego obrazu samego siebie i uwolnienie od zakłamania. Św. Jan w swojej Ewangelii przekazuje nam Chrystusową obietnicę, że Pocieszyciel - Duch Święty, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu (por. J 16, 8). Jedną więc z funkcji zstępującego na nas w sakramencie bierzmowania Ducha Świętego jest przekonanie nas o naszym grzechu, czyli **obdarzenie łaską pokory**. Jest to fundamentalna łaska Ducha Świętego. To dzięki niej poznajemy, kim jesteśmy naprawdę, przekonujemy się, że jesteśmy grzesznikami, ludźmi małej wiary.

Jeżeli jesteś pewny siebie, jeżeli dotąd nie odkryłeś własnej grzeszności i sam we wszystkim dajesz sobie radę, to właściwie nie potrzebujesz Ducha Świętego. Postawa pewności siebie i brak pokory zamykają drzwi twojego serca na Jego zstąpienie. Jeśli nie czujesz się grzesznikiem, to nie będziesz pragnął zbawczego działania Ducha Świętego w twoim życiu, i wtedy nie otrzymasz łask sakramentu bierzmowania. **Pokora i wiara**, te podstawowe dary Ducha Świętego, **otwierają nas na coraz pełniejsze Jego zstępowanie ku nam i na przyjęcie jako daru Jego samego**.

Owocność sakramentu bierzmowania

Łaski sakramentu nie działają automatycznie. Bierzmowanie nie zaciera wad charakteru, nie usuwa braków związanych z temperamentem i nie zastąpi twojego osobistego wysiłku. Po jego przyjęciu możesz pozostać w dalszym ciągu nikczemnym, bojaźliwym, letnim w wierze, niewolnikiem względów ludzkich. Udzielana w sakramencie bierzmowania moc Ducha Świętego jest ci najpierw jedynie proponowana, byś mógł przez wiarę przyjąć ją w sposób wolny. Możesz odmówić przyjęcia tej łaski, możesz ją zlekceważyć. Duch Święty przychodzi do człowieka z wielką delikatnością, bez narzucania się, w ciszy oczekującego na Jego zstąpienie serca. On przyjdzie dopiero wówczas, gdy będziesz Go oczekiwał, gdy zaczniesz wsłuchiwać się w każde Jego Słowo i zapragniesz Jego działania w twoim życiu. Dopiero na miarę rodzącego się w twoim sercu głodu Jego obecności i działania On będzie do ciebie przychodził.

Droga ku dojrzałości wiary nie jest ruchem regularnym, postępującym w linii prostej. Naznaczona jest zwykle licznymi wzlotami i upadkami. Aby dojść do dojrzałości wiary, będziesz musiał nieraz doświadczyć błędu własnej niedojrzałości. Najpierw musisz stać się pokornym, dopiero wtedy będzie mogła wzrastać w tobie wiara. Wzrost w pokorze, która jest prawdą, umożliwi ci coraz pełniejsze otwarcie na łaski bierzmowania i wzrastanie w nich.

Po przyjęciu bierzmowania możesz np. stwierdzić, że coś w twoim życiu religijnym zostało zakończone, że masz już pewien etap za sobą, podczas gdy jest to początek twojej drogi ku pełni życia wiara. Jest to sakrament, który wymaga twojej współpracy. On zapoczątkował coś niezwykle ważnego w twoim życiu, rozpoczął nowy proces twojej współpracy z Duchem Świętym, który przyszedł i czeka, aż przez wzrost pokory i wiary twoje serce otworzy się w pełni na Jego zstąpienie.

Przed przyjęciem sakramentu bierzmowania, w czasie odnawiania przyrzeczeń chrzcielnych, Kościół skierował do ciebie pytanie: "Czy wierzysz w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, którego masz dzisiaj otrzymać w sakramencie bierzmowania, tak jak otrzymali Go Apostołowie w dzień Pięćdziesiątnicy?" Aby dziś odpowiedzieć jeszcze raz na to pytanie, musisz stanąć w prawdzie przed Bogiem. Czy patrząc na swoje życie w duchu pokory, która jest trwaniem w prawdzie, nie powinieneś zakwestionować swojej wiary? Jak mało musi być w tobie wiary, skoro nie żyjesz łaskami chrztu św. i łaskami bierzmowania. Przecież przyjąłeś pełnię daru Ducha Świętego, a co zmieniło się w twoim życiu? W czasie chrztu, jeśli przyjmowałeś ten sakrament jako dziecko, byłeś nieświadomy dokonującej się w tobie wielkiej przemiany, tego, że były to twoje nowe narodziny. Przyrzeczenia chrzcielne składali wówczas w twoim imieniu rodzice i chrzestni. A czy później, w czasie bierzmowania, kiedy odnawiałeś te przyrzeczenia, wypowiadałeś je z pełną świadomością, że wybierasz Chrystusa, że chcesz do Niego w pełni należeć? Starając się trwać w prawdzie, często stawiaj sobie pytanie: Co zrobiłem z darami Ducha Świętego, co zrobiłem z samym Duchem Świętym, którego otrzymałem jako niewymowny dar?

Ważność sakramentu nie jest równoznaczna z jego owocnością dla osoby przyjmującej. Sakrament może być ważny, a mimo to człowiek może nie otrzymać związanych z nim łask, co gorsze, może stać się winnym niegodnego przyjęcia sakramentu. Św. Paweł, mówiąc o Eucharystii, przestrzega: "Kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej" (*1 Kor 11, 27*). Sakramenty udzielają łaski tylko tym, którzy nie stawiają jej oporu. Duch Święty potrzebuje twojego otwarcia, twojej wewnętrznej dyspozycji. On stoi u drzwi i kołacze, jednak nie wejdzie nie proszony. Możesz się więc przed Nim zamknąć, ale możesz też przez wiarę i pokorę otworzyć Mu drzwi twojego serca na oścież.

Sakrament bierzmowania przyjęty w grzechu śmiertelnym czy bez wiary jest ważny, ale bezowocny. Gdy jednak zaistnieje w człowieku właściwa dyspozycja, może on odżywać. Jeżeli przyjąłeś ten sakrament z małą wiarą, nie zdając sobie sprawy z tego niezwykłego wydarzenia - zstąpienia na ciebie Ducha Świętego, to teraz przez wzrost dyspozycji możesz to naprawiać. Łaski tego sakramentu mają w tobie odżywać i wzrastać przez całe życie - aż do osiągnięcia przez ciebie pełnego zjednoczenia z Jezusem w Duchu Świętym.

Dar Ducha dla Apostołów

Podczas Ostatniej Wieczerzy Jezus powiedział do Apostołów: "Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [jeszcze] znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy" (*J 16, 12-13*). W przeddzień śmierci Chrystusa Apostołowie nie byli jeszcze zdolni przyjąć całej Jego nauki, ponieważ nie zstąpił jeszcze na nich Duch Święty. Dlaczego Duch Święty nie zstąpił na Apostołów od razu, zaraz na początku, gdy spotkali Jezusa i poszli za Nim? Przecież gdyby tak się stało, w pełni zrozumieliby Jego naukę. Tymczasem oni przez cały czas niewiele rozumieli z tego, co Jezus im mówił. Duch Święty jednak nie mógł wtedy na nich zstąpić, ponieważ nie było w nich koniecznej dyspozycji, nie byli jeszcze ogołoceni, nie było w nich autentycznej pokory, nie było też autentycznej wiary - wiary, która jest bezradnością i wszystkiego oczekuje od Boga.

Człowiek wierzący musi zostać ogołocony z systemu zabezpieczeń. W życiu Apostołów widać to bardzo wyraźnie. Proces ogołocenia prowadzi albo do buntu i odejścia od Boga, albo do zdynamizowania wiary i większego zawierzenia Bogu. Bogaty młodzieniec, który z taką żarliwością pytał Jezusa, co ma robić, aby osiągnąć życie wieczne, w końcu odmówił pójścia za Panem. Nie chciał zostawić wszystkiego; nie chciał ogołocenia. Dlatego to pod jego adresem Chrystus powie: "Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego" (*Mk 10, 25*). A później to zdumienie Apostołów i reakcja Piotra: Panie, a co będzie z nami, którzy "opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą" (*Mk 10, 28*).

W duszy Piotra mogło zrodzić się jakby pewne poczucie wyższości i zadowolenia - oto ten nie poszedł za Panem, ale my rzeczywiście zostawiliśmy wszystko. I nie można temu zaprzeczyć. Piotr naprawdę zostawił rodzinę, zostawił swój zawód. Podobnie Jan i Jakub. Wiemy o nich z Ewangelii, że zostawili ojca swego Zebedeusza, który zapewne miał jakieś rybackie przedsiębiorstwo, bo zatrudniał najemników i był prawdopodobnie człowiekiem bogatym. Oni też zostawili rodzinę, zawód, zabezpieczenie; zostawili wszystko, ażeby pójść za Jezusem. Ale, jak to zwykle bywa, człowiek w jednorazowym akcie gotów jest wszystko Panu Bogu oddać, a potem - gotów jest z powrotem wszystko sobie przywłaszczyć.

Apostołowie, na przykład Jan i Jakub, którzy zostawili wszystko dla Jezusa, później są tak pewni siebie. Mają wyraźnie zarysowaną wizję doczesnego królestwa Izraela i chcieliby zrobić w nim karierę. Co więcej, wydaje się, że jest w nich nawet jakby zazdrość w stosunku do Piotra, że jest wyróżniany. Ich matka, pewnie nie bez ich wiedzy, prosi, by to oni zasiadali po prawej i lewej stronie Chrystusa. Tak więc można zostawić wszystko, aby później wszystko przywłaszczyć. W pragnieniach przecież Apostołowie ci przywłaszczyli sobie pierwsze miejsca w królestwie Jezusa. To są już z ducha prawdziwi faryzeusze, mimo że nie są nimi z nazwy ani z formalnej przynależności. Ich faryzeizm okazuje się na przykład bardzo wyraźnie w sytuacji, kiedy Jezus w drodze do Jerozolimy chciał przejść przez pewne miasteczko samarytańskie, ale jego mieszkańcy z powodu swojej niechęci do Żydów nie przyjęli Go. Wtedy to Jakub i Jan, zwani "synami gromu", powiedzieli: "Panie, czy chcesz,

a powiemy, żeby ogień spadł z nieba i zniszczył ich" (Łk 9, 54). To jest już wyraźny rys faryzeizmu; oni - lepsi - domagają się kary dla tych gorszych.

Można zostawić wszystko i pójść za Panem, a później poczuć się wielkim, lepszym od innych, to znaczy przyjąć truciznę faryzeizmu. Tak też stało się z Apostołami. Widzimy jednak, że dopóki są oni tak faryzejscy, dopóki tak wiele sobie przywłaszczają, Duch Święty nie może na nich zstąpić. A przecież byłoby to najprostsze, gdyby już na samym początku Duch Pocieszyciel, Ten, który uświęca i prostuje ścieżki w duszach ludzkich, Ten, który jest światłem, zstąpił i wyjaśnił całą naukę Jezusa. **Duch Święty nie zstąpi jednak na człowieka bogatego duchem**, o którym Jezus powie: "biada wam, bogaczom" (Łk 6, 24). Nie może zstąpić na człowieka, który jest pewny siebie, który jest bogaty duchem, bo taki człowiek jest zamknięty na Jego moce, na moce **Ojca ubogich**.

W życiu Apostołów widać wyraźnie **etapy ich zbliżania się do Boga**. Najpierw była w ich życiu taka wiosna galilejska, radosna i pełna marzeń. Dopiero później zaczną pojawiać się na horyzoncie czarne chmury, zacznie dochodzić do konfliktów z faryzeuszami, zrodzi się obawa i lęk przed nimi - pierwsze przebłyski oczyszczeń i pierwsze próby wiary w ich życiu. To wtedy Tomasz, świadek niedawnych prób ukamienowania i pojmania Jezusa, powie z wyraźną rezygnacją, prawie w rozpacz: "Chodźmy także i my, aby razem z Nim umrzeć" (J 11, 16). To już nie są ci triumfujący Apostołowie wiosny galilejskiej. Teraz zaczynają się bać, bo dochodzi do konfrontacji z elitą narodu, z potęgą, jaką w ówczesnych czasach stanowili faryzeusze i saduceusze.

Pełne ogołocenie i pełna próba wiary nastąpi w czasie Chrystusowej męki. Wielki Piątek, ten dzień męki Jezusa, przez którą dokonuje się Odkupienie świata, to dla Apostołów pełna noc oczyszczenia. Im wszystko się wtedy zawaliło, wszystko runęło. Nie ma królestwa, Jezus przegrał, teraz już nic nie będzie, nie ma na co czekać, pozostała rozpacz. Stojący pod krzyżem Jan pewnie też nie był wolny od uczucia rozpacz, choć Ewangelia nie wspomina o tym wprost. Wtedy i w nim musiało się wszystko załamać.

Ktoś powiedział: Jeżeli nie przeszedłeś przez test rozpacz, to właściwie nie wiesz nic. Apostołowie przeszli w Wielki Piątek przez taki test rozpacz. Oni, faryzeusze z ducha, zostali wtedy całkowicie ogołoceni. Po Zmartwychwstaniu ta noc będzie jeszcze prześwietlana blaskami pojawiającego się Chrystusa zmartwychwstałego. Zobaczą, że On żyje, że jest wśród nich. Ale to jest już inna obecność, nie dająca pełnego zabezpieczenia i poczucia stabilizacji. To nie jest już to dawne człowieczeństwo Chrystusa. Jest ono teraz inne, uwielbione i jakby nieziemskie, przenikające przez zamknięte drzwi, tak że czasami mają oni wątpliwości, czy to naprawdę ich Mistrz.

To jeszcze nie koniec ich próby, ich nocy oczyszczeń. Te dziesięć dni, od Wniebowstąpienia do Zesłania Ducha Świętego, też były dla Apostołów próbą wiary i dalszym ogołoceniem. Wtedy zostało im ostatecznie zabrane człowieczeństwo Jezusa, które dotąd było dla nich głównym oparciem (por. R. Garrigou-Lagrange, *Trzy okresy życia wewnętrznego*, t. II, 352, 420). Teraz nie ma już żadnego oparcia. **Rodzący się w Wieczerniku i trwający na modlitwie młody Kościół jest kompletnie ogołocony.**

Teologia życia wewnętrznego mówi, że w trakcie drugiej nocy, tej najcięższej, pojawia się Maryja, która swoją obecnością tę noc prześwietla. Tak też było w Wieczerniku. Tam Apostołowie nie byli sami, była z nimi Ona - Maryja, Ta, która nigdy nie poddała się

rozpaczy i której wiara nigdy się nie zachwiała. Teraz trwa z nimi jako wzór wiary i wytrwania na modlitwie, wzór oczekiwania na Ducha Świętego. Apostołowie, całkowicie ubodzy, nie mający już nic, nie mający widocznego znaku człowieczeństwa Jezusa, czekają razem z Nią. I to wtedy zstąpi na nich, tak ogołoconych i pozostających w całkowitej pustce, Duch Święty, który - jak mówi liturgia - jest Ojcem ubogich. Wtedy zstąpi na nich Jego moc. Dopiero tak umocnieni zostaną posłani, by zdobywać świat dla Chrystusa.

Umiłować Kościół

Przez bierzmowanie jeszcze ściślej wiążesz się z Kościołem. Przyjmując ten sakrament, nawiązujesz ścisłą duchową więź z udzielającym ci go biskupem, który jako szafarz sakramentu bierzmowania uczestniczy w nadprzyrodzonym macierzyństwie Kościoła. On, stając się dla ciebie szczególnym kanałem łaski i darów Ducha Świętego, "rodzi cię" do pełni życia chrześcijańskiego. Teksty liturgiczne mówią o duchowym znamieniu, jakie zostaje wyciśnięte na duszy bierzmowanego, wyrażającym ścisłą i doskonałą więź z Chrystusem i z Kościołem. Wejście bierzmowanego w duchową więź z biskupem zobowiązuje do umiłowania Kościoła. Powinieneś tak umiłować Kościół jak Chrystus, który "wydał za niego samego siebie" (Ef 5, 25). Umiłować jak Chrystus, to umiłować aż do oddania życia.

Kościół jest naszą Matką. Na skutek powszechnej sekularyzacji brak nam nadprzyrodzonej wizji Kościoła. W Credo wyznajemy: "Wierzę w Kościół powszechny". W sensie postawy wyznanie to oznacza: oddaję ufnie siebie Kościołowi, tak jakbym oddawał się osobie Chrystusa. Powierając bowiem siebie Kościołowi, powierzasz się Chrystusowi. Zdając się na Kościół, zdajesz się na Chrystusa, bo Kościół to Jego Mistyczne Ciało.

Henri Daniel-Rops w książce pt. "Nokturny" (s. 91-97) pisze o znajdującej się w muzeum Bardo w Tunisie pewnej mozaice z IV wieku po Chrystusie, której żaden chrześcijanin nie może oglądać bez wzruszenia. Nieudolnie, jakby odtwarzając w rysunku jakieś graffiti z antycznych kamieni, przedstawia ona przedsionek i kolumnadę jednej z bazylik, pod którymi widnieje krótki napis, podnoszący ten skromny obrazek do godności symbolu - dwa pełne treści słowa: *Ecclesia Mater* - Matka Kościół.

IV wiek to okres wielkich walk, okres nawrotów pogaństwa i prześladowania Juliana Apostaty. Nie było wtedy rzeczą łatwą i bezpieczną opowiadać się za Chrystusem. W całym cesarstwie wzrastał stale niepokój, szerzyła się polityczna anarchia i zamęt religijny. W tej atmosferze stałego zagrożenia i niebezpieczeństw, w świecie, w którym nie zaschła jeszcze na piasku amfiteatrów krew męczenników, ktoś wyrzył, zapewne w atmosferze kojącej modlitwy, te dwa pocieszające słowa - Matka Kościół.

Czyż potrzeba wiele wyobraźni - kontynuuje Daniel-Rops - by zrozumieć te słowa tak, jak rozumiał je ten odległy nasz brat w Chrystusie, który nakreślił je za pomocą kamyczków w wilgotnym cemencie? Otaczający go świat był niepewny, a dzieje pozostawały okryte mrokiem. Istniało jednak miejsce, w którym nawet niebezpieczeństwo miało sens i gdzie wszystko podporządkowywało się wielkiej nadziei. Miejsce, gdzie ludzkie braterstwo przewyciężało klasowe czy rasowe podziały, gdzie miłość była silniejsza od śmierci. Tym miejscem uprzywilejowanym, którego kolumny i mury bazyliki były tylko widzialnym obrazem, tym miejscem, o którym Apostoł powiedział, że będzie na wieki domem Boga Żywego, był Kościół, nasza Matka - *Ecclesia Mater*. Minęło wiele wieków i wiele epok,

a Kościół pozostaje dla nas wciąż tym samym, czym był dla wiernych tamtego bohaterskiego wieku - pozostaje Matką.

Słowo syn Kościoła, którym określa siebie chrześcijanin, wyraża przynależność innego rodzaju niż ta, jaką nadają ludzkie partie i stowarzyszenia, odmienną od solidaryzowania się z różnymi filozofiami czy ich systemami. I nawet to imię, nadawane przez nas temu, który w naszych oczach streszcza i uosabia Kościół - Ojciec ("papa" = ojciec = "papież") - czyż nie jest echem tych samych uczuć przywiązania i całkowitej ufności, jaką wyrażał ten afrykański napis sprzed przeszło szesnastu wieków - Matka Kościół. Jego rola staje się bardziej widoczna w godzinach niepokoju i zagrożenia. Mówiono o nim, że już kona, że wraz ze starymi strzępami przeszłości został odłożony do "lamusa", a on wciąż trwa na swoim miejscu, jak miasto położone na górze, widoczne dla wszystkich. Gdy w chwilach zagrożeń wołamy o ratunek, Kościół, Matka nasza, jest zawsze w pobliżu - nieskończenie cierpliwy i miłosierny, zawsze przyjmujący z radością marnotrawnego syna, otwierający swe ramiona dla każdej zabłąkanej owcy.

Kościół wie, że w żadnym ludzkim sercu nie ma zdrady tak całkowitej, żeby nie było już miejsca na przebaczenie. Dlatego z niewysłowioną litością patrzy na tych, którzy od lat udawali, że go nie znają, i szepcze: Cóż znaczy, że tak daleko odeszliście ode mnie, skoro ja przy was byłem. Dziś też Kościół z głębi swego macierzyńskiego serca ofiaruje ludziom XX wieku to, czym był dla tamtych z IV. W obliczu wielkich historycznych burz, w świecie nękanym tak często barbarzyństwem, który nie wie już, co za sens ma ludzkie życie, w świecie wąpiącym we wszystko i w samego siebie, on jeden robi wrażenie, że dobrze wie, dokąd idzie i niezależnie od przypisywanych mu zamiarów znaczenia w życiu społecznym czy politycznym ukazuje niewzruszone prawdy. Światu nękanemu przez gwałt, w którym człowiek wydaje się dostrzegać tylko tragiczny fatalizm własnej woli niszczenia - konkluduje Daniel-Rops - Kościół powtarza prostą i tak potrzebną naukę, powtarza lekcję miłości, jaką sam otrzymał na stokach wzgórz galilejskich, a którą na Kalwarii przypieczętowała Boża Krew - jest ciągle *Ecclesia Mater*.

Przez bierzmowanie zostałeś bardzo ściśle związany z Kościołem. Czy wzbogacony łaskami bierzmowania umiłowałeś go tak, jak Chrystus go umiłował? Czy interesujesz się jego życiem, czy jest to dla ciebie "twój Kościół"? Twoje pragnienie zjednoczenia z Jezusem sprawi, że będziesz coraz bardziej czuł się synem Kościoła. Szukając Jezusa, odnajdziesz Go w pełni w Jego Mistycznym Ciele; kochając Go, zaczniesz kochać Kościół, który On ukochał aż do końca, aż do oddania życia.

Zobowiązanie do apostołstwa

Pogłębiająca się dzięki wierze miłość Chrystusa rodzi pragnienie świadczenia o Nim. Również **twoje powołanie do świętości i twoja miłość do Kościoła wiążą się ściśle z powołaniem do działalności apostołskiej**. Przypominając o zobowiązaniu chrześcijan do dawania świadectwa Chrystusowi, Jan Paweł II mówi: "Tylko głęboka miłość do Kościoła może podtrzymać gorliwość w dawaniu świadectwa. Wierność wobec Chrystusa nie może być oddzielona od wierności wobec Kościoła".

Chrześcijanie, "wszczepieni przez chrzest w Ciało Mistyczne Chrystusa - podkreśla Sobór - i utwierdzeni mocą Ducha Świętego przez bierzmowanie, są przeznaczeni przez samego Pana do apostołstwa. [□] Apostołstwo sprawuje się w wierze, nadziei i miłości, które rozlewa Duch

Święty w sercach wszystkich członków Kościoła. Co więcej, przykazanie miłości, które jest największym poleceniem Pana, przynagla wszystkich wiernych do zabiegania o chwałę Boga i o życie wieczne dla wszystkich ludzi" (DA 3). Wszystko więc, co robisz, powinno służyć budowaniu i szerzeniu Bożego królestwa.

Otrzymałeś skarb i niezwykły dar, którego nie możesz zatrzymać jedynie dla siebie. Byłoby to zakopaniem skarbu. Ty masz ten bezcenny skarb przekazywać innym, masz się nim dzielić. Masz świadczyć o tym, czym zostałeś obdarowany, co odkryłeś, co kochasz i czego dokonał w tobie Duch Święty. Im bardziej będziesz uległy Duchowi Świętemu, tym bardziej On odtworzy w tobie obraz Chrystusa i pogłębiając w twoim sercu miłość do Kościoła sprawi, że będziesz wierny swojemu powołaniu do apostołstwa.

Jan Paweł II pytał kiedyś Francję: "Czy jesteś wierna łasce swojego chrztu?". Pytanie to kierowane jest również do ciebie: Czy jesteś wierny łasce chrztu świętego? Czy jesteś wierny łasce bierzmowania? Czy wzrasta w tobie poczucie odpowiedzialności za oblicze i żywotność twojego Kościoła, twojej diecezji, parafii?

Obrzędy bierzmowania nawiązują do konkretnych form dawania świadectwa Chrystusowi, które zawsze winno wypływać z wiary i miłości. Masz bowiem dawać świadectwo Temu, który za ciebie umarł i zmartwychwstał, który umarł i zmartwychwstał za tych, wśród których ty o Nim świadczysz. To twoje apostołstwo ma być umacnianą przez Ducha Świętego postawą służby wobec innych. Masz prosić też Ducha Świętego o łaskę męstwa, tak konieczną do tego, by bronić wiary i podjąć trud apostołstwa.

Bierzmowanie pozostanie dla ciebie sakramentem nie odkrytym, jeśli nie odkryjesz Ducha Świętego, jeśli nie poznasz, że to On wciąż oczyszcza cię i odnawia, że kształtuje w tobie postawę synowską wobec Boga Ojca i modli się w tobie słowami dziecka: "Abba - Ojczy". Jeśli to odkryjesz, On będzie obdarzał cię Chrystusowym pokojem, jakiego świat dać nie może. Nade wszystko zaś skieruje twoje serce ku ubogim, abyś spieszył im z pomocą nie tylko materialną, ale również duchową, przez głoszenie im Dobrej Nowiny o zbawieniu i miłości Boga, której ty sam będziesz doświadczał coraz bardziej.

Jan Paweł II podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny, w przeddzień uroczystości Zesłania Ducha Świętego, wołał:

*"Niech zstąpi Duch Twój!
Niech zstąpi Duch Twój!
I odnowi oblicze ziemi.
Tej ziemi!"*

Ducha Świętego nie zobaczysz oczyma ciała, ale On jest. Tylko przez wiarę możesz dostrzec i przyjąć Jego zbawcze działanie, a jeżeli nie masz wiary, jeżeli nie starasz się Go słuchać, czy wręcz zagłuszasz i tłumisz Jego zwykle cichy głos, wtedy "zasmucasz Bożego Ducha" (Ef 4, 30). Taka twoja postawa jest przyczyną Jego udreki, Jego wyniszczenia się w kontakcie z tobą. On, który jest skierowanym do ciebie Duchem Jezusa, Miłością Ojca i Syna, wciąż przypomina słowa Jezusa, przemawiając niekiedy z siłą huraganu, ale najczęściej z łagodnością szemrzącego wiatru. Tak łatwo zagłuszyć Jego głos i zmarnować ten niezwykły, udzielony ci w sakramencie bierzmowania dar.

Wiara, która jest niezbędnym warunkiem działania Ducha Świętego w duszy bierzmowanego, jest autentycznym spotkaniem dwóch osób. Duch Święty pragnie to spotkanie nieustannie pogłębiać, a tym samym prowadzić duszę ku coraz większemu zjednoczeniu z Chrystusem, ku kontemplacji i świętości - w służbie **umiłowanemu** Kościołowi.

Rozdz. III Eucharystia

Między wiarą a sakramentami istnieje ścisła współzależność. Sobór Watykański II w "Konstytucji o liturgii" podkreśla, że sakramenty nie tylko zakładają wiarę u przyjmujących, lecz dają również jej wzrost, umacniają ją i wyrażają (zob. n. 59). Wiara jest zawsze wstępnym warunkiem skuteczności sakramentów, których moc sprzęga się z jej mocą. Teologia dogmatyczna podkreśla, że sakrament, choć działa własną mocą - *ex opere operato* - w przypadku braku wiary pozostaje bezowocny. Wielu chrześcijan mimo częstego przystępowania do sakramentów świętych nie rozwija się duchowo wskutek małej wiary i wynikającego stąd braku zaangażowania w zbawcze dzieło Chrystusowej śmierci i zmartwychwstania, które realizuje się poprzez sakramenty.

Oczekiwanie na Eucharystię

Może dziwisz się, że Eucharystia czy sakrament pokuty wciąż nie przemieniają cię, że nie przynoszą widzialnych rezultatów, a przecież łaska potrzebuje otwarcia i wewnętrznej dyspozycji. Spójrz, jak Kościół w swojej mądrości stara się w roku liturgicznym przygotować nas na przyjęcie łask Bożego Narodzenia. Poświęca temu całe tygodnie Adwentu, w których nieustannie modli się o przyjście Jezusa, o Jego zstąpienie na ziemię. "Niebiosa, spuście Sprawiedliwego, jak rosę" (Iz 45, 8) - woła w swoich modlitwach liturgicznych. Kościół chce, żeby wzrastał w nas głód Jezusa, głód Jego przyjścia. Na miarę tego głodu, tego pragnienia, by przyszedł, by w ramach roku liturgicznego w święta Bożego Narodzenia znów się narodził; na miarę przygotowania i otwarcia, a więc na miarę wiary działają w naszych sercach łaski Bożego Narodzenia. Jeżeli nie ma Adwentu, to nie ma właściwego przeżycia Bożego Narodzenia. Gdy nie przeżywasz Adwentu i nie czekasz na Jezusa, to nie dziw się, że Boże Narodzenie tak po prostu jakby przemyka, nie zostawiając śladu w twojej duszy. Podobnie jak przyjście Jezusa na Boże Narodzenie poprzedza oczekiwanie adwentowe, tak oczekiwane powinno być również Jego przyjście w Eucharystii. Jezus ciągle zstępuje na ołtarz, rodzi się na nim i to Jego rodzenie się na ołtarzu też powinno być poprzedzone "adwentem" - adwentem eucharystycznym. Adwent eucharystyczny to przede wszystkim postawa wiary, to wiara w miłość Jezusa, który ciebie oczekuje. Tak ważne jest, żebyś uwierzył, że Jezus pragnie przyjść do twojego serca, że pragnie sprawowania Eucharystii, że oczekuje twojej Komunii św., ponieważ chce poprzez Najświętszy Sakrament - główne źródło łask, oddać się tobie w pełni. Jedną z podstawowych potrzeb psychicznych człowieka jest potrzeba akceptacji i miłości. Nie szukaj jej jednak u ludzi, u których bardzo często doznasz zawodu i rozgoryczenia. Wiara mówi ci, że tak naprawdę potrzebna ci jest tylko jedna akceptacja - ze strony Chrystusa, a On zawsze cię akceptuje. Jan Paweł II powiedział: W Komunii świętej nie tyle ty Go przyjmujesz, co On przyjmuje ciebie, przyjmuje takiego, jakim jesteś. Przyjmuje, to znaczy akceptuje i kocha. Synkretystyczny filozof pogański Celsus pisze około roku 178 po Chrystusie pełne nienawiści i sarkazmu dzieło, w którym wyszydza chrześcijańskie dogmaty Wcielenia, Odkupienia i drwi ze Mszy św. Według Celsusa chrześcijanie są szaleni. - Wierzą, że ich Bóg stał się jednym spośród nich, że mogą się z Nim zjednoczyć w ramach Uczt. Jest to, jego zdaniem, po prostu szaleństwo. Tę opinię Celsusa

należałoby odwrócić - to nie chrześcijanie są szaleni wierząc, że Chrystus oddaje się im pod postacią chleba, to Bóg oszalał w swojej miłości ku człowiekowi; Eucharystia jest wyrazem szaleństwa Chrystusa, Jego szalonej miłości do człowieka, Jego miłości do ciebie. Trzeba, byś przez taką wiarę przygotowywał się na przyjście Chrystusa w Eucharystii. Święty Franciszek Salezy starał się przygotowywać do Mszy św. cały dzień, tak by na pytanie: co robi? mógł powiedzieć, że przygotowuje się do Eucharystycznej Ofiary. Tak ważne jest, by wzrastała w tobie wiara w Jego miłość, wiara w Jego głód przychodzenia do ciebie w Eucharystii. Kiedy uwierzysz, jak bardzo On cię kocha i czeka na ciebie, to poznasz, że Bóg w swojej szalonej miłości ku tobie - jeżeli ty opóźniasz swoje przyjście - doświadcza tego, co psychologia nazywa udręką oczekiwania. Kiedy uwierzysz w miłość Jezusa, w to, że On czeka na ciebie, wówczas w odpowiedzi na tego rodzaju wiarę powinno pojawić się w tobie pragnienie i głód Eucharystii, dręczące pragnienie, aby On przyszedł. Udręka oczekiwania na osobę, którą się kocha, jest udręką na miarę miłości wzgardzonej. Im bardziej matka kocha dziecko, które nie przychodzi, tym większa jest jej udręka oczekiwania na spotkanie z nim. A jeżeli jest to nieskończona miłość Boga, jakiej nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, to - gdy nie przychodzisz - jak wielka musi być Jego udręka oczekiwania na ciebie? Wiara w Jego pragnienie spotkania z tobą będzie chroniła cię przed rutyną, która jest jednym z największych zagrożeń wiary. Kiedy w pełni uwierzysz w nieskończoną miłość Jezusa, gdy odkryjesz Jego udrękę oczekiwania na ciebie przy Stole Eucharystycznym, wtedy już nie będziesz mógł żyć bez Eucharystii. Będzie wtedy w tobie Jej głód, gorące pragnienie spotkania z Panem, a przy głodzie Eucharystii nie ma już miejsca na rutynę.

Eucharystia kulminacją wiary

Ofiara Chrystusa ma swoją skuteczność tylko u tych, którzy łączą się z męką Chrystusa przez wiarę i miłość - powie św. Tomasz z Akwinu. Im więcej jest w tobie wiary i miłości, tym skuteczniejsza jest Eucharystia w twoim życiu. Wiara jest uczestnictwem w życiu Boga, realizuje się w szczególny sposób w sakramentach, które są sakramentami wiary. Poprzez Eucharystię uczestniczysz ze wspólnotą wierzących w śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa, zanurzasz się wspólnie w to niezgłębione misterium Jego śmierci i zmartwychwstania. "Liturgia jednoczy nas wszystkich, jako bezpośredni wyraz naszej wiary, szczególnie w czasie Eucharystii. Akt wiary Kościoła nigdy nie jest równie pełny jak w owej chwili. Nigdy nie ma tak wysokiego stopnia świadomości w zjednoczeniu ze zmarłym i zmartwychwstałym Chrystusem, którego powrotu oczekuje Kościół. Nigdy tak mocno nie uczestniczymy w wierze wspólnoty jak w tej chwili, gdy modlimy się wspólnie, gdy wspólnie składamy ofiarę i wspólnie jednoczymy się z miłością Bożą, która żyje w Jezusie Chrystusie" (J. Colomb, Stawanie się wiary, 70). W Eucharystii Jezus zanurzy cię w misterium swojej śmierci, dokona się wtedy twoja przemiana i nawrócenie - śmierć "starego" człowieka. Mocą działania sakramentu i mocą zbawczej męki Jezusa dokona się też w tobie zmartwychwstanie i odrodzenie. Zanurzenie w zmartwychwstanie Chrystusa sprawi, że zaczniesz rodzić się w tobie nowy człowiek, ukształtowany na Jego podobieństwo. Jeżeli wiara jest przyłgnięciem do osoby Chrystusa, to przyjęcie Chrystusa i przyłgnięcie do Niego znajduje pełny wyraz dopiero w Eucharystii, która jest kulminacją wiary. Podczas Eucharystii Chrystus staje się darem składanym Ojcu za nas. Na mocy powszechnego, królewskiego kapłaństwa również my jesteśmy wezwani do składania Bogu całkowitego daru z nas samych wraz z ofiarowującym się Chrystusem. Przyłgnięcie do Niego oznacza wejście w komunię z Jego darem, oznacza oddawanie życia po to, by zamieniać je na służbę Kościołowi i braciom. Celem Eucharystii jest twoje nawrócenie, twoje odwrócenie się od własnej woli tak, by twoja wola zaczęła coraz bardziej znikać na rzecz służenia innym. Idziesz do Komunii św., aby się

nawrócić, aby odtąd już Chrystus królował w twoim sercu, by Jego wola stawała się dla ciebie najwyższą wartością. Każda Komunia św. winna utwierdzać twoje przyłgnięcie do Jego woli. W związku z tym powinieneś oczekiwać, że Jezus będzie krzyżował twoje plany. Eucharystia ma cię do tego przygotować, ma przyczyniać się do zamierania twojego egoizmu, by mógł wzrastać w tobie Chrystus. Jeżeli wiara jest oparciem się na Chrystusie i powierzeniem się Jemu, to w Eucharystii powinieneś powierzać Mu wszystkie swoje sprawy, lęki, niepokoje. Eucharystia będzie przynosiła ci wtedy pokój, który rodzi się z wiary w odkupieńczą moc Jezusowej ofiary, z wiary, że On odkupił cię również od lęku, niepewności i stresów, od wszystkiego, co niszczy twoje życie duchowe bądź zdrowie psychiczne czy fizyczne. Przez wiarę będziesz mógł przyjmować owoce Odkupienia. Jeżeli wiara jest uznaniem własnej bezradności i grzeszności oraz oczekiwaniem wszystkiego od Boga, to Eucharystia jako par excellence sakrament wiary domaga się od ciebie postawy bezradnego dziecka i postawy grzesznika, który niczego tak nie pragnie jak uzdrowienia ze swojego zła. Próbuj stawać w czasie Mszy św. jak ten trędowaty z Ewangelii i proś, by Jezus oczyścił cię z trądu egoizmu, z trądu twojej pychy, z trądu lęku o siebie, pośpiechu, niepokoju i smutku, z trądu zbytniego zabiegania o sprawy doczesne, bo to wszystko uniemożliwia wzrastanie Chrystusa w tobie. Dzięki wierze będziesz w czasie Mszy św. odkrywał siebie, swoją grzeszność i potrzebę Odkupienia. Zacznesz coraz bardziej, na miarę pogłębiania się twojej wiary, widzieć siebie w prawdzie. Dostrzeżesz swój trąd grzechu. I wtedy poznasz, jak jesteś niegodny Eucharystii, a jednocześnie, jak bardzo potrzebujesz Jej zbawczego działania w swoim życiu. Twój wzrost w wierze umożliwi ci odkrywanie w czasie Eucharystycznej Ofiary realnej obecności Jezusa i odkrywanie uobecniania się Jego odkupieńczej ofiary. Zacznesz coraz bardziej poznawać, kim On jest i co dzieje się na ołtarzu. Aby codzienne przyjmowanie Eucharystii nie powodowało rutyny i nie niszczyło twojej wiary, próbuj uczestniczyć we Mszy św. tak, jakbyś uczestniczył w niej po raz pierwszy lub po raz ostatni w swoim życiu. Pomyśl, jak głęboko musi przeżywać kapłan Mszę św. prymicyjną, swoją pierwszą Mszę św. Z pewnością, kiedy bierze on wtedy w swoje ręce Ciało Chrystusowe, to jest to dla niego rzeczywiście Ktoś. Może nieraz w tym momencie ręce mu drżą. To jest ta wiara nie zniszczona rdzą rutyny. Pomyśl o pierwszej Komunii św. konwertyty, który najpierw przygotowywał się do chrztu, a potem przyjął Eucharystię. Może kiedy jego usta po raz pierwszy przyjmowały Ciało Pańskie, też drżały, bo bardzo żywa była jego wiara, że to przecież Bóg jest w tej chwili na jego ustach, że przychodzi do jego serca, że znalazł się w obliczu niezgłębionej, pełnej grozy i majestatu tajemnicy - misterium tremendum.

Kenoza Chrystusa

Wiara pozwoli ci zobaczyć, że twoje ręce i usta, które przyjmują Jezusa, są zawsze brudne - zawsze, również wtedy, gdy jesteś w stanie łaski uświęcającej, bo grzesznikiem jesteś zawsze, a ręce i usta grzesznika pozostają zawsze niegodne, i w tym sensie brudne. Przecież przyjmujesz Jezusa ustami, które potrafią zabijać słowem, przecież twoje słowa nieraz zamiast błogosławić ranią, są źródłem zła i nieszczęścia. I oto te grzeszne usta stykają się z najwyższą świętością Boga. Poznasz wtedy tajemnicę tego, co teologia określa słowem kenoza (od greckiego kenosis - wyniszczanie się). Eucharystia jest kenozą, czyli wyniszczaniem się Boga-Człowieka, ponieważ Jego największa świętość styka się z twoją grzesznością i twoją niegodnością. To jednak nie znaczy, że masz unikać Eucharystii,

przecież będziesz tym bardziej godny, im będziesz częściej do Niej przystępował. Jezus z miłością czeka na ciebie, On chce przychodzić, aby ciebie przemieniać, by cię uświęcać, byś stawał się coraz bardziej godnym Jego przyjścia. Święty Jan Apostoł powiedział: "Jeśli mówimy, że nie mamy grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy" (1 J 1, 8). Wszyscy jesteśmy grzesznikami i wszyscy jesteśmy niegodni, aby przyjmować Jezusa. Pomyśl, twoje usta są brudne, ale ty powinieneś oczekiwać, że Eucharystia będzie ten brud, ten trąd grzechu, trąd egoizmu usuwała z twoich ust, z twojego serca i twojej duszy. Jezus tak bardzo tego pragnie, że chce, by dokonywało się to nawet za cenę Jego tak wielkiego wyniszczenia, za cenę Jego kenozy. To w świetle wiary zobaczysz, w jak wielkim stopniu Eucharystia jest wyniszczaniem się Chrystusa. On ogołaca się i wyniszcza już przez sam fakt, że ukrywa swój majestat i swoje człowieczeństwo pod postacią kawałka materii - chleba i wina. Ogołaca się z należytą Mu czci i hołdu. A kiedy do Niego przychodzisz z grzeszną dłońią, z grzesznymi ustami i grzesznym sercem, to jest dalszą dla Niego kenozą. Święty Ludwik Maria Grignon de Montfort radzi, aby zapraszać do naszego uczestnictwa w Eucharystii Maryję. Obecność Niepokalanej przy nas, zwłaszcza w czasie Eucharystii, jest dla nas jakąś wielką tajemnicą, jest jakimś rozwiązaniem problemu kenozy Chrystusa. Ci, którym trudno jest uznać potrzebę i znaczenie Maryjnej drogi do Chrystusa, uważają, że między nami a Chrystusem nie może stać Maryja, bo przesłoni nam Jezusa. W świetle wiary jednak, w świetle poznania świętości Boga i swojej wielkiej niegodności, swojej grzeszności, stwierdzisz, że sytuacja jest wręcz odwrotna. Kiedy prosisz, aby Ona stanęła między tobą a Chrystusem, stajesz się bliższy Chrystusowi, bo ty prosisz Ją, aby Ona, stając między tobą a Chrystusem, zaoszczędziła Mu Jego kenozy, Jego wyniszczania się. Tylko Jej dłonie nie są brudne i nigdy nie były brudne; były i są zawsze niepokalane - jedyne ludzkie ręce i jedyne ludzkie usta, które są czyste i niepokalane, które są godne piastowania Ciała Pańskiego. Kiedy starając się zaoszczędzić Chrystusowi Jego wyniszczania się, prosisz Maryję, aby Ona przyjmowała Go za ciebie, to oddajesz przez to hołd kenozie Boga-Człowieka. Jest to łączenie postawy pokory, postawy uznania, że jesteś grzesznikiem, z wiarą w Jego szaloną miłość ku tobie, która kosztem niepojętego dla ciebie wyniszczania się pragnie cię obdarzać owocami Odkupienia.

Rozdz. IV Wsłuchiwanie się w Słowo Boże

Podobnie jak między wiarą a sakramentami, tak między wiarą i Słowem Bożym istnieje ścisła współzależność. Pismo święte zakłada wiarę, a jednocześnie wymaga czynnego współdziałania, nawracania się i realizowania go w codziennym życiu, które powinno być życiem wiarą. Wiara jest bowiem odpowiedzią na Słowo Boże, jest wsłuchiowaniem się w Słowo, aby nim żyć na co dzień.

Przedmiotowa i podmiotowa relacja do Słowa Bożego

Nasz stosunek do tekstu może być dwojaki: **przedmiotowy** - kiedy stanowi on dla nas przedmiot badań albo pomoc w poznaniu interesującego nas zagadnienia czy rozwiązaniu jakiegoś problemu, bądź **podmiotowy** - gdy czytany tekst staje się dla nas, jak określiłby Gabriel Marcel, "tajemnicą". Jeśli czytając Pismo święte nastawiasz się na pogłębienie swojej wiedzy religijnej, oznacza to, że masz do niego stosunek przedmiotowy. Pismo święte w relacji przedmiotowej to po prostu - "coś". Jednak ta relacja do Pisma świętego nie wystarczy.

Nasza osobista relacja do tekstu natchnionego i objawionego, jakim jest Pismo święte, winna być przede wszystkim relacją podmiotową. Pismo święte bowiem to nie "coś", ale przede wszystkim "Ktoś". Chrystus, który w sposób najpełniejszy pozostaje z nami w Eucharystii, jest obecny i żyje również, choć w inny sposób, w Piśmie świętym. Na kartach Pisma świętego spotykasz się z Chrystusem żywym i prawdziwym poprzez dar **wiary**, udzielonej ci przez Niego samego. Kościół mówi o dwóch stołach. Przy stole słowa wierni przyjmują przez **wiarę** objawione Słowo Boże, przy stole eucharystycznym, sprawując "sakrament wiary", jakim jest Eucharystia, karmią się Ciałem i Krwią Pańską. Słuszne jest więc stwierdzenie, że do Pisma świętego trzeba podchodzić tak jak do Stołu Pańskiego. Dlatego gdy bierzesz do ręki Pismo święte, rób to ze czcią, szacunkiem i głęboką wiarą. To ma być inny gest niż gest sięgania po jakąkolwiek książkę religijną, ponieważ jest to Księga pełna obecności Boga.

Obecność Boga w Słowie

Każda obecność osoby tworzy krąg oddziaływania, czego nie ma w przypadku rzeczy. Dopiero spotkanie z osobą jest spotkaniem z obecnością, a tym samym wejściem w oczekiwany bądź niewygodny dla nas krąg oddziaływania. Pismo święte to "Ktoś", to obecność Boga. Biorąc więc je do ręki, wchodzisz w krąg tej właśnie Obecności. Staje się ona dla ciebie "tajemnicą", prawdą, która cię ogarnia i w której jesteś zanurzony.

W Piśmie świętym odnajdujesz swojego Pana, stąd twój kontakt z tekstem objawionym ma znaczenie szczególne - **jest kontaktem z Bogiem, który cię kocha i który pragnie oddziaływać na ciebie swoją łaską.** Jest to kontakt prowadzący cię do wewnętrznego nawrócenia - i to jest jego najważniejszy cel. Powinieneś więc czytać Pismo święte nie dla zaspokojenia ciekawości, zdobycia wiedzy czy po to, by rozstrzygnąć jakiś dręczący cię problem - choć czasem będzie to potrzebne. Z tej formy kontaktu z Panem powinieneś korzystać w nadziei, że On obdarzy cię łaską nawrócenia. **Jeśli wejdiesz w osobową relację z Chrystusem obecnym w tekście natchnionym, tekst ten będzie cię przenikał,** a ty zaczniesz **wsluchiwać się w Słowo Boże**, wgłębiać się w myśli i pragnienia Jezusa, zaczniesz Go coraz lepiej poznawać. "Nieznajomość Pisma świętego jest nieznajomością Chrystusa" - ostrzega św. Hieronim. To wsluchiwanie się w Boże słowo będzie miało wpływ na twoje wybory i decyzje. Będziesz chciał, by były one zgodne z Jego nauką i Jego pragnieniami. **Lektura Pisma świętego to podstawowy czynnik twojego wzrostu w wierze, a tym samym twojego uczestnictwa w życiu Boga,** patrzenia na siebie i otaczającą cię rzeczywistość jakby oczami Boga. Bóg objawia się nam za pośrednictwem Słowa, prowadząc nas poprzez poznanie ku miłości. Objawia się po to, byśmy wierząc Jego Słowu mogli przyłgnąć do Niego i Jemu się powierzyć. Jeśli będziesz z wiarą wgłębiał się w myśli i pragnienia Jezusa, staną się one z czasem twoimi myślami i twoimi pragnieniami. Gdy będziesz często przebywał w kręgu Jego obecności, tej Obecności przez duże "O", będziesz stawał się podobnym do Niego, zgodnie z przysłowiem: "Kto z kim przestaje, takim się staje". Wsluchując się w Boże słowa i chłonąc ich treść, zaczniesz wczuwać się w to, czym żył i czym obecnie żyje Chrystus. **Twój żywy kontakt z obecnym w Słowie Bożym Chrystusem sprawi, że będziesz stawał się coraz bardziej jedno z Nim.**

Każde utrwalone w Nowym Testamencie słowo i każdy gest Jezusa jest wyrazem tej tajemnicy Obecności. Ty masz pozwolić, by ona cię ogarnęła, masz nauczyć się w nią wsluchiwać. Ta niewymowna Obecność wymaga twojego szczególnego otwarcia, takiego, które sprawi, że z czasem zostaniesz całkowicie przeobrażony, że **zostaniesz niejako**

przemieniony w Chrystusa. Wtedy zrealizuje się cel twojego życia - by Chrystus w tobie wzrastał i żeby wzrastając osiągnął swoją pełnię.

Rola Słowa Bożego w modlitwie

Obecność Chrystusa w Słowie Bożym będzie ogarniała twoje życie wewnętrzne i twoją modlitwę. Wsłuchiwanie się w Słowo Boże sprawi, że rozważane teksty zapadną głęboko w twoje serce. Później zaś będą przychodziły ci na myśl w chwilach modlitwy, która znacznie być wówczas modlitwą opartą na Piśmie świętym, i w momentach podejmowania decyzji. Czy zadałeś już sobie pytanie, jaką rolę spełnia w twojej modlitwie Pismo święte?

Chrystus posługiwał się często specyficznym rodzajem literackim, jakim jest przypowieść, czyli rozbudowany symbol, który angażuje i wciąga. Dzięki temu, kiedy czytasz np. przypowieść o dobrym pasterzu, możesz rzeczywiście wśród tych prowadzonych przez pasterza owiec odnaleźć siebie. Możesz też zobaczyć siebie jako owcę zagubioną, którą Chrystus - Dobry Pasterz kocha, dlatego nigdy nie przestaje jej szukać, a gdy znajduje, bierze z radością na swoje ramiona. Symbolika Chrystusowych przypowieści wciąga cię w orbitę Jego działania. **On w tak prosty i przystępny sposób uczy cię miłości i wiary w miłość.** Jeżeli zaś zdarzyło ci się, że bardzo upadłeś i twoją duszę pokryły ciemności, to może przypomni ci się przypowieść o synu marnotrawnym, która pozwoli ci jeszcze raz uwierzyć w to, że On nigdy nie przestał cię kochać. Przypowieść ta będzie cię uczyła postawy skruszonego syna, przyjmującego ze zdumieniem i wdzięcznością radość przebaczonego ojca. Podobnie, gdy pojawią się w twoim życiu jakieś burze, może przyjdzie ci na myśl burza na Morzu Tyberiadzkim. I znów uświadomisz sobie, że tak jak kiedyś Jezus spał w targanej burzą łodzi Apostołów, tak teraz "śpi" w łódce twojego serca, ale jest w tobie obecny, a kiedy On jest, nic złego nie może ci się stać. To wszystko może ci dopomóc, byś zaczął włączać do swojej modlitwy Słowo Boże, które pozwoli ci odzyskać wewnętrzny pokój.

Czytając Pismo święte, ukształtujesz w sobie właściwy obraz Boga. Ustrzeżesz się tak często występującego zniekształcania Jego oblicza. Może boisz się Go, może za mało wierzysz w Jego miłość, ponieważ sam mało kochasz. Twoja miłość ma ciągle wzrastać, aż do końca życia. **Rozważane modlitewnie Pismo święte będzie uczyło cię miłości Boga, który kocha cię stale, bo On jest miłością.**

Spotkanie z Chrystusem obecnym w Słowie Bożym pomoże ci również odkryć Boga w otaczającym świecie. Nauczy cię odczytywania tak licznych symboli, poprzez które odkryjesz Jego obecność w naturze, a nawet w zjawiskach cywilizacji i kultury. Św. Janowi Vianney np. owce kojarzyły się z miłością Dobrego Pasterza. Ich widok pogłębiał w nim świadomość wielkiej miłości Jezusa do niego, pasterza parafii, i tych, których On, Dobry Pasterz, powierzył jego trosce i miłości pasterskiej. Szum górskiego strumyka przypominał mu słowa Pisma świętego o "wodzie żywej" tryskającej ku życiu wiecznemu (zob. *J 7, 37-39*). Ktoś opowiadał o sobie, że wieczorami lubił patrzeć na światła oświetlonych ulic i domów czy przejeżdżających samochodów. Odżywała w nim wtedy idea, o której mówi Pismo święte, a zwłaszcza teksty św. Jana, że Jezus jest światłością świata. Każde więc światło stawało się dla niego symbolem Chrystusa, przywodziło mu na myśl Tego, który "oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi" (*J 1, 9*).

Jeśli chcesz, by i twoja modlitwa była oparta na Piśmie świętym, musisz być jak Maria z Betanii. W Betanii, u swoich przyjaciół: Marii, Marty i Łazarza, Jezus znalazł dla siebie

miejsce schronienia i odpoczynku. Gdy zbliżały się ostatnie chwile Jego życia, On, wiedząc że faryzeusze Go śledzą, chronił się do Betanii. Wcześniej zaś, gdy Jezus przyszedł do ich domu, Maria usiadła u Jego stóp i wsłuchiwała się w każde wypowiedziane przez Niego słowo; zachowywała się tak, jakby była przed tabernakulum. Kiedy zakrzęta Marta prosiła Jezusa, by zwrócił jej siostrze uwagę, że zostawiła ją samą przy posługiwaniu, On odpowiedział: "Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona" (*Łk 10, 42*). **Ta najlepsza częśćka to być przy Chrystusie, to usiąść u Jego stóp i z wiarą wsłuchiwać się w Jego słowa, wypowiedziane do nas poprzez Pismo święte.**

Maria słuchająca i kontemplująca Jezusa - Słowo Wcielone - musiała być Jego wielką radością. My natomiast, tak często zabiegani i zatroskani o wiele, uważamy, że nie mamy czasu na czytanie Pisma świętego. Dla Marii zaś nie było nic ważniejszego nad to, że On, Mistrz, jest tu, w jej domu. Najwłaściwsze dla siebie miejsce odnajdywała u Jego stóp.

Idąc za myślą Jean Guittona (*La Vierge Marie*), należałoby nazwać Najświętszą Maryję Pannę Dziewicą Rozmyślającą (*Virgo Meditans*). O tym, jak bardzo Maryja żyła Pismem świętym, świadczy treść jej hymnu *Magnificat*. Jest to świadectwo modlitwy opartej na Słowie Bożym. Dla Niej Pismo święte było "pokarmem" i źródłem modlitwy.

Maryja przez trzydzieści lat niejako chłoneła Bożą obecność swojego Syna. Dlatego też Jej oblicze w sposób najdoskonalszy odtworzyło Oblicze Chrystusa, i to jest Jej wielkość. Jak bardzo musiało Chrystusowi zależeć na tym, by stworzyć to Arcydzieło - **najdoskonalszy swój obraz** - skoro poświęcił Maryi aż trzydzieści lat. Ona stale chłoneła Jego myśli, Jego pragnienia i Jego wolę, stając się przez to coraz bardziej jedno ze swoim Synem.

Ty spotykasz się z obecnością Jezusa na kartach Pisma świętego. Powinieneś więc też, tak jak Maryja, chłoneć Jego myśli i pragnienia, aby później nimi żyć. Powinieneś całkowicie i do końca naśladować Maryję w otwarciu się na to wielkie Chrystusowe dzieło kształtowania każdego z nas na Jego podobieństwo.

Pismo święte ma być dla ciebie miejscem spotkania z Tym, który do końca cię umiłował i pragnie również w tobie ukształtować Swoje Oblicze, tak jak zrobił to ze swoją umiłowaną Matką.

Rozdz. V Modlitwa jako aktualizacja wiary

Modlitwa i wiara nie stanowią rzeczywistości odrębnych, wzajemnie jedynie od siebie uzależnionych czy istniejących obok siebie. Modlitwa pozostaje zawsze w bardzo ścisłym związku z rzeczywistością wiary, jest spotkaniem człowieka z Bogiem w wierze, jest ostatecznie postacią urzeczywistniania się wiary. Jeżeli wiara jest przyłgnięciem do Chrystusa i powierzeniem się Jemu, to modlitwa jest samym oddaniem się i poświęceniem się Chrystusowi, aby w nowy sposób zostać przez Niego przyjętym i przemienionym. Jeżeli wiara jest uznaniem własnej bezradności i oczekiwaniem wszystkiego od Boga, to modlitwa jest egzystencjalnym wołaniem duchowego ubóstwa i wewnętrznej pustki człowieka, by Duch Święty wypełnił ją swą obecnością i mocą. W miarę rozwoju wiary modlitwa staje się czystsza i żarliwsza. Jako aktualizacja wiary, naznaczonej dynamizmem nawrócenia, modlitwa - podobnie jak Eucharystia czy Słowo Boże - prowadzi człowieka ku przemianie, ku nawróceniu.

Przykład Chrystusa

Kiedy czytamy karty Ewangelii, szybko spostrzegamy, że Dobra Nowina zbija nas z tropu. Treść Ewangelii jest tak różna od naszych tendencji naturalnych, że wydaje się nam nieustannym paradoksem. Ewangelia odwraca nasze ludzkie pojęcia. Czynił to również sam Chrystus.

Ludzkość czekała na Niego tysiące lat. Wszystko było nastawione na ten ewenement w dziejach świata, jakim było przyjście Mesjasza, przyjście Tego, który dokona dzieła Odkupienia. Kiedy zaś po tak długim okresie oczekiwania Jezus przychodzi, objawia się jedynie pasterzom i mędrcom. Później przez trzydzieści lat żyje w odosobnieniu i niedziałaniu, przynajmniej w takim sensie, w jakim tego działania od Mesjasza oczekiwano. W oczach świata lata te wydają się latami zmarnowanymi. Jeśli bowiem czeka się na kogoś tysiące lat, to przecież powinien on dać z siebie jak najwięcej. - Oto rzesze czekają, a Chrystus "marnuje" trzydzieści lat w Nazarecie. Gdy zaś skończył się ten okres dla ludzkiego aktywizmu zmarnowany i Chrystus ukazał się nad Jordanem, proklamowany przez samego Ducha Świętego, znów Jego postawa zbija nas z tropu: Jezus wycofuje się i idzie na pustynię. Tego też zupełnie nie rozumiemy. Chcielibyśmy wręcz wziąć Go za rękę, jak to uczynił kiedyś Piotr Apostoł, i powiedzieć: Panie, co robisz? Tam rzesze czekają, a Ty znów idziesz się modlić, przecież modliłeś się tyle lat. Jednak Ten, który później powie: "Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało" (Łk 10, 2), zostawi żniwo i pójdzie na pustynię, by przez czterdzieści dni nieustannie się modlić. Czy to nas nie zadziwia?

Ewangelista Marek pisze: "Wstawszy wczesnym rankiem, gdy było jeszcze całkiem ciemno, wyszedł z domu i udawszy się na samotne miejsce, modlił się tam" (Mk 1, 35). Zwróćmy uwagę na ten szczegół: "gdy było jeszcze całkiem ciemno", a więc była jeszcze noc. **Chrystus, chcąc się modlić, okradał się ze swojego snu.** Zdumieni znów chcielibyśmy zawołać: Panie, czy naprawdę potrzebujesz tej modlitwy w nocy, kosztem zdrowia? Dzień apostołskiej pracy Jezusa był wyczerpujący. Również wieczorem schodzili się ludzie z całego miasta czy okolicy, przynosząc chorych i opętanych. Kiedy kończyła się Jego codzienna praca, trudno powiedzieć. Może o północy, bo rzesze niechętnie Go opuszczały. Po takim ciężkim dniu i wyczerpującym wieczorze Jezus okrada się jeszcze ze swojego krótkiego snu.

Tymczasem gdy mówimy o ciągłym obleganiu Jezusa przez rzesze, to musimy powiedzieć, że było ono ściśle powiązane z Jego odosobnieniem się na modlitwie. Tu kryje się niezwykle ważne wskazanie również dla ciebie: aby twoje kontakty z ludźmi mogły być owocne, **musisz umieć przedtem odosobnić się.** Musisz docenić moment pustyni w twoim życiu. Jak wielką rolę pełniła ona w życiu świętych. Wystarczy pomyśleć, jak bardzo potrzebował odosobnienia na pustyni Jan Chrzyciel, jak decydującą rolę odegrał okres Manresy w życiu św. Ignacego Loyoli czy pustelnia w Subiaco w życiu św. Benedykta. Współczesnemu człowiekowi, zarażonemu aktywizmem, wydaje się, że musi coraz więcej dawać - ale **co ma dawać?** Można by sądzić, że Chrystus, tak przecież ściśle zjednoczony z Ojcem, nie potrzebował już modlić się. On jednak czynił to nawet kosztem snu. I tak będzie zawsze. Oblężenie przez ludzi będzie zawsze wynikiem odejścia **na spotkanie z Bogiem.** Jeżeli zaś z twojej strony nie będzie odejścia na modlitwę i skupienie, lecz jedynie ucieczka od ludzi w świat własnych spraw, wówczas nastąpi inne oblężenie - przez własny egoizm. To też będzie dla ciebie pustynia, ale nie ta życiodajna, jak w przypadku Chrystusa czy świętych; będzie to pustynia zniszczenia, a nie życia. (por. A. Pronzato, *Ho voglia di pregare*, 64 n).

Pierwszeństwo modlitwy

Tu rodzi się i staje przed tobą zasadnicze pytanie: ile miejsca poświęcasz w swoim codziennym życiu modlitwie? Jakie miejsce zajmuje modlitwa na liście twoich najważniejszych czynności? Przed czym ją stawiasz i po czym? **Czy jest ona na pierwszym miejscu**, jako najważniejsza, czy może stanowi margines twoich życiowych spraw? Jak wygląda twój dzień skupienia i twój rachunek sumienia, a więc to spojrzenie w siebie w obliczu Boga? Z odpowiedzi na tego rodzaju pytania będzie wynikało, **co w twoim życiu jest ważniejsze od Boga**.

W tym miejscu od razu może pojawić się obiekcja, że w nawale przytłaczających obowiązków bardzo trudno jest ci znaleźć czas na modlitwę. Kardynał Lercaro, arcybiskup Bolonii, mówił na spotkaniu z księżmi z właściwym sobie ferworem i żarem o konieczności codziennej półgodzinnej medytacji. Po konferencji, w trakcie dyskusji, wstał jeden z młodych księży i powiedział: Oczywiście, proszę Eminencji, w teorii jest to jasne i proste - trzeba odprawiać rozmyślanie[□], ale kiedy? Bo mój dzień tak oto wygląda: Wstaję o godz. 630, o 700 Msza św., spowiedź, potem lekcje religii, obiad, a po nim zajęcia z chłopcami z oratorium, wizyty u chorych, praca w kancelarii parafialnej, rozmowy duszpasterskie. Wieczorem mam zajęcia z młodzieżą mniej więcej do północy. I gdzie znaleźć miejsce na półgodziną medytację, jeżeli ledwie mieszczę się z brewiarzem? - Masz rację, powiedział kardynał, rzeczywiście, nie masz czasu na półgodziną medytację. Twoje zajęcia tak cię "zaduszają", że nie masz kiedy się modlić. Nie możesz pozwolić sobie na półgodziną medytację, musisz odprawiać ją nie przez pół, ale przez półtorej godziny (A. Pronzato, *Ho voglia di pregare*, 113). Oczywiście, nie chodziło tu o jakieś błyskotliwe, paradoksalne sformułowanie. Tragizm naszego chrześcijańskiego aktywizmu polega na tym, że **czynności rzeczywiście nas zaduszają**. Ten młody, gorliwy kapłan, poświęcający się dla Boga i dusz, był tak zduszony aktywizmem, że potrzebował większego antidotum.

Jeśli spojrzysz na siebie w świetle wiary, zrozumiesz, że **im bardziej jesteś przytłoczony czynnościami, tym więcej czasu powinieneś poświęcać na modlitwę**. W przeciwnym razie będziesz pusty, będziesz miał tylko wrażenie, że coś dajesz, ale będzie to iluzja. **Nie można dawać tego, czego się nie ma**. Można by powiedzieć temu młodemu księdzu, który dyskutował z kardynałem Lercaro: Co z tego, że poświęca ksiądz tyle czasu na pracę duszpasterską, że tyle czasu poświęca chłopcom w oratorium, że składa wizyty chorym, że spowiada i ma rozmowy duszpasterskie - wszystko to jest jak czerpanie wody sitem. Umęczony, zapracowany, zabiegany ksiądz, przelewający wodę sitem, nie zdający sobie sprawy z tego, kto właściwie decyduje o wszystkim. Powiedzenie, że kapłan ten nie ma wiary, byłoby za mocne, ale wiara ta jest niewątpliwie marna. Swoją postawą zdaje się mówić: To ja, człowiek, tworzę historię, choćby na odcinku swojego podwórka - parafialnego czy innego; to ja decyduję, kto będzie wierzył, to wyłącznie od mojej pracy zależy zbawienie innych. Tymczasem wszystko to zależy od Boga; to On decyduje i On może dać siłę. Jeśli włącza cię do swojej pracy, to nie dlatego, że jesteś w tym niezastąpiony. Ile to już razy Pan Bóg pokazywał, że doskonale daje sobie radę bez nas. Jeżeli dostrzegłeś to w swoim życiu, to otrzymałeś wielką łaskę. My tylko dlatego jesteśmy Bogu potrzebni, że On sam tego chciał. On może zbawiać ludzi bez żadnych katechez, czego często jesteśmy świadkami. Przychodzą przecież do kościoła i do konfesjonału ludzie, którzy nie wysłuchali żadnej lekcji religii, a ziarno Boże zakiełkowało w ich duszach. **Pan Bóg** nie potrzebuje ludzkiej ingerencji, ale mimo to **chce włączać nas w dzieło zbawienia świata**. Gdy jednak sądzimy, że to od nas i od naszej pracy wszystko zależy, wtedy przelewamy wodę sitem. Przy wielkim zapracowaniu

łatwo zapomnieć, że przede wszystkim trzeba najpierw przyjść na audiencję do Kogoś, od Kogo rzeczywiście wszystko zależy, Kto trzyma w swym ręku losy świata i losy każdego z nas.

W świetle wiary najważniejszą czynnością naszego dnia jest modlitwa. To ona musi zajmować pierwsze miejsce wśród innych czynności. **Kontakt z Bogiem decyduje o wartości i znaczeniu naszej pracy.** Jej skuteczność zależy od tego, co jest jakby na zapleczu, a więc od twoich, może bardzo obolałych od klęczenia kolan.

Nie ważne jest, co robisz - powie Jan Paweł II - ważne jest, kim jesteś. Ważne jest, czy jesteś, jak Papież, człowiekiem wiary i modlitwy. Chrześcijanin, jako uczeń Chrystusa, kiedy przestaje być człowiekiem modlitwy, staje się nieprzydatny dla świata, staje się solą zwierzają, godną podeptania przez ludzi (por. *Mt 5, 13*).

Problem modlitwy jest w naszym chrześcijańskim powołaniu problemem zasadniczym. Modląc się, nie tylko sami składamy hołd Chrystusowi, ale wielbimy Go w imieniu świata, który albo nie potrafi, albo nie może, albo nie chce się modlić. Jedno jest pewne: jeśli nie będziemy się modlić, nikt nas nie będzie potrzebował. Świat nie potrzebuje pustych dusz i serc. Gdy pytamy, jaka jest relacja między modlitwą i czynem, to trzeba podkreślić pierwszeństwo modlitwy i ofiary w stosunku do działania. Dzieciom, które katechizujemy w domu czy w szkole, dajemy Boga na tyle, na ile przedtem wypraszamy to na kolanach. Problem relacji między modlitwą i działaniem można ująć w stwierdzeniu: wszelkie autentyczne działanie rodzi się z modlitwy i kontemplacji. Bo wszystko, co wielkie na tym świecie, pochodzi od Boga, wszystko, co wielkie na tym świecie, rodzi się z ofiary i modlitwy.

Rodzaje modlitwy

Problem modlitwy jest problemem centralnym dla każdego chrześcijanina. **Na tyle jesteś chrześcijaninem, na ile potrafisz się modlić.** Modlitwa, a później jej poszczególne etapy, znaczą i określają twoją bliskość czy też oddalenie od Boga. Etapy twojej drogi do Boga są określane etapami modlitwy. Na każdym z nich jest inna forma i inny rodzaj modlitwy - bo modlitwa to wyraz twojej więzi z Bogiem.

W twoim życiu może pojawić się etap modlitwy suchej, ogołoconej z uczuć. Wtedy trudno jest się modlić. Może więc zrodzić się pokusa rezygnacji; myśl, że taka modlitwa nie ma sensu. Tymczasem to właśnie wtedy twoja modlitwa może mieć szczególną wartość. Zaczynasz ją bowiem podejmować coraz bardziej już tylko dla Boga.

Bardzo wymowna jest opowiedziana przez jednego ze świętych przypowieść o królewskim grajku, o ich wzajemnej miłości i dramacie grajka. Bo dramatem dla muzyka jest tracenie słuchu. A tak się stało z tym królewskim grajkiem. Zaczął on tracić słuch i wkrótce przestał słyszeć. Wtedy muzyka przestała go pociągać, a granie stało się wręcz udręką. Król zaś wciąż pragnął słuchać jego muzyki. Grajek więc grał dalej - **ale teraz już tylko dla króla.**

Kiedy modląc się odczuwasz obecność Boga, czujesz się dobrze. Wtedy modlitwa może cię pociągnąć. Ty zaś możesz być przekonany, że modlisz się tylko do Boga. Jednak pełniejszą prawdę o swojej modlitwie odkryjesz, gdy podobnie jak muzyk, który utracił słuch, staniesz

się "głuchy" w relacji z Bogiem. Przekonasz się wtedy, że modląc się dla Boga, modliłeś się też w jakiejś mierze dla siebie; że twoja modlitwa nie była w pełni bezinteresowna i czysta.

Kiedy zaczniesz doświadczać oschłości na modlitwie, nie ulegaj pokusie rezygnacji. To wtedy bowiem, kiedy nic nie czujesz, modlisz się tylko dla Króla.

Modlitwy trzeba się ciągle uczyć. Jest ona wciąż stojącym przed nami zadaniem. Aktualna forma modlitwy nie może nam wystarczać. Powinniśmy ciągle iść dalej i stale ją rozwijać. Mówiąc o modlitwie, najczęściej mamy na myśli **modlitwę słowa**. W tej formie modlitwy szczególnie ciężar gatunkowy powinniśmy położyć na akty, w których korzystamy przed Bogiem, wyrażamy naszą wdzięczność czy prosimy o świętość. Modląc się modlitwą słowa, musimy pamiętać, że powinniśmy się modlić o to, czego oczekuje od nas Bóg. Nie może ona być modlitwą przegadaną. Pan Jezus wyraźnie przestrzega, żebyśmy nie modlili się jak poganie, którzy "myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani" (Mt 6, 7).

Wiara ma decydujący wpływ na **intensywność i treść** modlitwy. Jeżeli wiara zmienia naszą mentalność i każe nam stawiać Boga na pierwszym miejscu, to w miarę jej rozwoju nasza modlitwa będzie upraszczała się coraz bardziej. Będzie coraz bardziej poddana działaniu Ducha (zob. Rz 8, 26-27) i coraz bardziej pochłonięta sprawami Królestwa: "Starajcie się najpierw o Królestwo (Boga) i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane" (Mt 6, 33). Słowo "naprzód" jest tu bardzo istotne. Chodzi o to, by Bóg był postawiony na pierwszym miejscu i byś **troskę o siebie i o rezultaty swojego działania** - nie rezygnując z własnych wysiłków - **pozostawił Temu, którego wołą jest obdarzać cię miłością bez granic**. W swej modlitwie będziesz wówczas realizował wezwanie Jezusa skierowane do św. Katarzyny ze Sieny: "**Ty myśl o Mnie, a Ja będę myślał o tobie**".

Poza modlitwą słowa, która może mieć formę modlitwy błagalnej, dziękczynnej czy modlitwy uwielbienia, istnieje pewien prostszy sposób naszego kontaktu z Bogiem. **Pan Bóg chce, żebyśmy nasz sposób modlenia się coraz bardziej upraszczali**. Jeżeli jest postulatem ewangelicznym, żebyśmy modlili się stale, to nasza modlitwa musi się upraszczać, bo w sposób trudny nie będziemy w stanie modlić się długo. W naszym życiu wewnętrznym przychodzi taki czas, że łatwiej jest nam myśleć o Bogu niż mówić do Niego, i wtedy przechodzimy do **modlitwy prostej i skupionej na Bogu myśli**, którą można nazwać **pamięcią na obecność Bożą**. Jest to prostsza forma modlitwy niż modlitwa słowa. Wymaga ona o wiele mniej wysiłku. Wystarczy, że myśl swoją skierujesz ku Jezusowi i uświadomisz sobie, że Ten, który cię kocha, jest przy tobie. Podobnie w ramach przygotowania do Komunii św. wystarczy, że w godzinach poprzedzających jej przyjęcie będziesz kierował swoją wolę i pełną miłości myśl ku Eucharystii. Modlitwa myśli może być wyrazem **wiary**, polegającym na tym, że będziesz starał się myśleć myślami Jezusa czy Maryi. To powinna być myśl pełna pogody i radości. Przecież "przyczyną naszej radości" jest Maryja. Stąd nasz optymistyczny - w sensie nadprzyrodzonym - sposób myślenia jest jakby włączaniem się w myślenie samej Maryi. Modlitwa myśli jest czymś prostym, choć wymaga czuwania i troski, aby była ona w naszym życiu zjawiskiem możliwie najczęstszym. Dlatego staraj się po prostu pamiętać i myśleć o tym, że Jezus cię kocha, że kocha tych, których ty kochasz i tych, o których troszczysz się. Taka modlitwa wiary będzie przynosiła ci pokój wewnętrzny.

Pan Bóg może chcieć uprościć naszą modlitwę jeszcze bardziej. Może chcieć, żebyśmy w ogóle zamilkli. Tak bowiem, jak modlimy się słowami czy myślą, tak możemy również modlić się **milczeniem**. Nie każdy jednak aprobeje taką formę modlitwy. Wielu ma

wątpliwości, czy nie jest to czas zmarnowany, ponieważ w tym przypadku po prostu nie się nie dzieje. Jednak takie milczące trwanie, czy to przed Najświętszym Sakramentem, czy w obecności Matki Bożej, jest dość zaawansowaną formą modlitwy. Karol de Foucauld napisał, że "modlić się to patrzeć na Jezusa miłując Go". Ta forma modlitwy może przybrać formę tak zwanej **modlitwy prostoty** albo **prostego wejrzenia**. Jeżeli jesteś z kimś i musisz tego kogoś zabawiać słowami, to znaczy, że jest on dla ciebie w mniejszym czy większym stopniu kimś obcym. Wobec osoby bliskiej możesz zachować milczenie i ono nie będzie krępujące. To właśnie tak wymowne w swej prostocie milczenie jest kryterium bliskości dwóch osób. Jezus chce, żebyśmy i przed Nim umieli się tak wyciszyć, byśmy po prostu patrzyli na Niego i trwali przed Nim bez zbędnych już słów.

Może być i tak, że również modlitwa milczenia stanie się dla nas za trudna. Wtedy może pojawić się jeszcze inna forma modlitwy - **modlitwa gestu**. Przecież można **modlić się** na przykład **uśmiechem**, nawet gdyby to w pierwszej chwili wydawało się nam dziwne. Bóg przecież naprawdę chce, żeby nasz kontakt z Nim był bardzo prosty, by to był kontakt dziecka z Ojcem, dziecka z Matką. Jeżeli się kogoś kocha, to uśmiechem można doskonale nawiązać kontakt z drugim człowiekiem, można mu tyle powiedzieć. Dlaczego więc nie mielibyśmy się uśmiechać do Boga i do Maryi? Jest to modlitwa gestu. Uśmiech jest gestem symbolicznym, w którym wyrażamy komuś naszą bliskość, wdzięczność, miłość, radość. Jest to forma symbolu, w którym można bardzo wiele zawrzeć, tak że każdy uśmiech może za każdym razem znaczyć coś innego. Nie musisz więc wysilać się, żeby wszystko wyrażać słowami. Bóg wie, że się do Niego uśmiechasz i wie, dlaczego to robisz. Twój uśmiech wobec Boga i płynąca z wiary radość są *par excellence* modlitwą.

Święta Teresa z Lisieux ukazuje nam jeszcze inną, wzruszającą postać modlitwy gestu symbolicznego. Około dwa tygodnie przed śmiercią, gdy była już bardzo ciężko chora, ofiarowano jej piękną różę z klasztorного dziedzińca. Zaczęła obrywać ją z płatków i obsypywać nimi swój zakonny krucyfiks z wielką pobożnością i miłością. Następnie każdym płatkim ocierała rany przebitych dłoni i stóp Jezusa. Tym symbolicznym gestem - jak wyznała - pragnęła zmniejszać ból Ukrzyżowanego Pana, osuszać Jego łzy (zob. *Żółty zeszyt*, 14 IX 1897). Innym razem - relacjonuje Celina - "ujrzawszy, że końcami palców dotyka delikatnie korony cierniowej i gwoździ Jezusa, spytałam: «Co ty robisz?» Wtedy z twarzą zdumioną, że mnie to dziwi, odparła: «Wyjmuję gwoździe i zdejmuję Jego cierniową koronę!»" (*Pisma*, t. II, 295). Takiego gestu nie można niczym zastąpić. Modlitwa ta wyrażała jej pragnienie, by ulżyć Jezusowi ukrzyżowanemu. Była wyrazem szczególnej miłości ku Temu, który był ukrzyżowanym przez grzechy Oblubieńcem jej duszy.

Św. Leopold Mandiä z Padwy, wielki spowiednik naszych czasów, który spędzał codziennie wiele godzin w konfesjonale, modlił się **gestem pustych dłoni**. Kiedy spowiadał, trzymał ręce przed sobą na kolanach, chcąc jakby w ten sposób powiedzieć Jezusowi: "Widzisz Panie, nie jestem w stanie pomóc temu, który koło mnie klęczy. Ja mu nic nie mogę dać. Napełnij te ręce swoją łaską". Gdyby chciał ciągle to Jezusowi powtarzać, to ustałby z wysiłku, zresztą w przypadku słuchania spowiedzi nie byłoby to możliwe. Ty też możesz w różnych sytuacjach modlić się taką postawą ubogiego w duchu, trzymać ręce w taki sposób, ze świadomością, że jest to ciągle gest prośby, aby Jezus te puste ręce napełnił swoimi łaskami i żeby uczynił ciebie narzędziem swojego działania.

Modlitwa człowieka ubogiego

Istnieje ściśle powiązanie między wiarą i modlitwą, a także między pokorą i modlitwą. Ktoś powiedział: modlitwy uczysz się najlepiej w chwilach, gdy nie możesz się modlić. Zupełnie odwrotnie niż nam się wydaje. Kiedy jest ci bardzo trudno się modlić, kiedy modlitwa ci nie wychodzi, wówczas otrzymujesz od Boga jakąś niezwykłą szansę uczenia się jej. **Tajemnicą modlitwy jest głód Boga**, powstający w nas o wiele głębiej od poziomu naszych uczuć i mowy. Człowiek, którego pamięć i wyobraźnię trapi tłum bezużytecznych, a nawet złych myśli czy obrazów, może czasem pod ich naciskiem modlić się dużo lepiej w swym udręczonym sercu niż ten, którego umysł pławi się w jasnych pojęciach i łatwych aktach miłości. Doświadczenia te rodzą w naszym sercu **modlitwę wiary człowieka ubogiego**. Na modlitwie powinniśmy być ubodzy i bezradni. Jeśli nie będziemy umieli się modlić, wówczas sam Duch Święty zstąpi do naszej ubogiej duszy i będzie modlił się w nas, "w błaganiach, których nie można wyrazić słowami" (Rz 8, 26).

Możesz przeżywać różne trudności na modlitwie, ale pamiętaj - to właśnie one sprawiają, że twoja modlitwa jest modlitwą człowieka ubogiego. Powinieneś więc dziękować za to, że ich doświadczasz. Trudności te mogą być różnego rodzaju, mogą one np. wynikać ze zmęczenia. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus pisze: "Winnam trafić się, że zasypiam (od 7 lat) podczas modlitwy i dziękczynienia - ale się nie smucę! Sądzę, że małe dzieci podobają się swoim rodzicom zarówno wtedy, kiedy śpią, jak i kiedy nie śpią [□]. Pan widzi naszą słabość i wie, iżeśmy proch" (*Pisma I*, 221). Tak więc zmęczenie może stać się tym tworzywem, przy pomocy którego Pan będzie kształtował w tobie modlitwę człowieka ubogiego, ubogiego w duchu. A może będziesz mógł wykorzystać więcej takich sytuacji, które sprawią, że twoja modlitwa zacznie być modlitwą człowieka ubogiego?

Jeśli modlitwa przychodzi ci bardzo łatwo, to też jest dar od Boga, którym nie trzeba gardzić. **Właściwy jednak rozwój modlitwy dokonuje się poprzez to przedzieranie się ku Bogu**, które jest wyrazem głodu Boga, stanowiącego istotę modlitwy; **poprzez pragnienie, żeby wejść z Nim w kontakt, otworzyć się na Niego i pozwolić, aby On - Bóg, Duch Święty, modlił się w tobie**. Samo to pragnienie jest dla modlitwy czymś najbardziej istotnym; czy więc ważne są rezultaty? Ważne jest, że pragniesz, że bardzo chcesz się modlić. Im większy będzie w tobie głód Boga, tym lepiej. Tak więc przez modlitwę powinieneś przedzierać się ku Bogu i trzeba, byś to przedzieranie się ukochał. Pan Bóg przyjmie wszystkie twoje pragnienia, choćby ci się wydawało, że nie mają one większej wartości. On kocha podarunki ubogie, nie chce pięknych kwiatów, woli małe, takie z łąki, byle jakie, bo one nie karmią naszej pychy. Pośród wszystkich podarunków - powiedział ktoś - Bóg najbardziej lubi podarunki ubogie, podarunki, które nie są dla człowieka przedmiotem dumy. Właśnie o to chodzi również w przypadku modlitwy. Bóg przyjmuje każdy twój podarunek, choćby nie był on wart więcej niż mała garstka prochu. On nada każdemu z nich wartość bezcenną przez sam fakt, że je przyjmie. Twoja modlitwa może być właśnie taka jak garść prochu, a stanie się bezcenna, ponieważ On - Bóg, twój kochający cię Ojciec przyjmuje ją. Przyjmuje z taką radością, z jaką matka przyjmuje byle jaki kwiatusek małego dziecka, ponieważ liczy się sam gest, a nie to, co zostało ofiarowane.

Może też być tak, że nie będziesz miał co złożyć Bogu na modlitwie. Wtedy oddasz Mu to twoje "nic", tę swoją zupełną bezradność. Oddawaj Panu wszystko, oddawaj siebie samego do dyspozycji takim, jakim jesteś: małym, bezradnym, ubogim w duchu. To będzie ta najlepsza modlitwa, najlepsza, ponieważ zgodna z pierwszym błogosławieństwem. Modlitwa człowieka ubogiego to modlitwa człowieka, który jest pusty w sensie pustki domagającej się zejścia Pana, zstąpienia Ducha Świętego. Gdy Bóg widzi taką duszę ogołoconą z własnej mocy,

wtedy zstępuje do niej ze swoją mocą. Błogosławieni ubodzy w duchu, błogosławieni, którzy modlą się modlitwą człowieka ubogiego.

Różaniec Maryi

W uroczystość Macierzyństwa Matki Bożej, w Nowy Rok, Jan Paweł II w bazylice Świętego Piotra w Rzymie modlił się: "Bądź pozdrowiona, któraś uwierzyła, bądź pozdrowiona. Ewangelista mówi o Tobie: «Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu». Ty jesteś pamięcią Kościoła, Kościół od Ciebie się uczy, Maryjo, że być Matką, to znaczy być żywą pamięcią, to znaczy zachowywać i rozważać w sercu sprawy radosne, bolesne, chwalebne. Maryja te sprawy, to znaczy sprawy Syna i sprawy Jej samej jako Matki obok Syna, w sprawach Syna, zachowywała, pamiętała i rozważała je w swoim sercu. Była pamięcią w Kościele pierwotnym, pozostała pamięcią we wszystkich wiekach dziejów Kościoła".

W myśl słów Ojca Świętego Maryja jest pamięcią Kościoła. W Jej życiu było zwiastowanie, ofiarowanie Syna w świątyni i odnalezienie dwunastoletniego Jezusa. Jeśli Ewangelia mówi, że Ona wszystko to rozważała i zachowywała w swoim sercu, to znaczy, że **Ona modliła się tymi wydarzeniami**. To tak jakby odmawiała swój różaniec, bez przesuwania paciorków, powracając wciąż pamięcią do tego wszystkiego, co było ważne w życiu Jej Syna i Jej własnym. Maryja nie mogła przecież zapomnieć choćby tego pierwszego z najważniejszych wydarzeń w Jej życiu, jakim było zwiastowanie anielskie. Ona żyła i wydarzeniami radosnymi, i tymi, które wiązały się z męką i zmartwychwstaniem Jej Syna. To była Jej modlitwa.

Jeżeli modlisz się na różańcu, to modlisz się Jej modlitwą. Jesteś jakby obrazem Matki Bożej. **Naśladujesz Ją w tym zachowywaniu i rozważaniu tajemnic Syna i Matki.** Ona jest pamięcią Kościoła, pamięcią każdego z nas o tamtych wydarzeniach. Każde z tych wydarzeń ma być dla nas czymś żywym. Rozważając je, nawiązujesz kontakt z tymi tajemnicami i one stają się dla ciebie kanałem łaski. **Umiłować różaniec to umiłować Ewangelię, to umiłować również Maryję i wszystkie te sprawy, które Ona zachowywała i rozważała w swoim sercu, które były treścią Jej życia.**

Człowiek nieustannej modlitwy

Niezwykłym człowiekiem modlitwy był Guy de Larigaudie. Człowiek, któremu, jak się wydaje, Bóg niczego nie odmówił: wielki podróżnik (przejechał po raz pierwszy samochodem z Francji do Indochin), przywódca młodzieży francuskiej; ktoś, kto ukochał Boga całym sercem, dlatego mógł w pełni ukochać również bliźnich i świat. Pod jego fotografią widniał znamieny napis: "uśmiechnięta świętość". Jego religijną postawę cechowała przede wszystkim pełna wiary **modlitwa afirmacji świata**, zachwyty dla jego piękna. Przecież jeśli kocha się Boga, kocha się również świat. "Wszystko - zanotował w swoich zapiskach - trzeba ukochać: orchideę, niespodziewanie rozkwitającą w dżungli, pięknego wierzchowca, gest dziecka, dowcip czy uśmiech kobiety. Trzeba podziwiać wszelką piękność□ odkrywać ją, nawet jeśli nurza się w błocie i podnosić do Boga" ("Znak" 42 [1957], 621). Oczywiście, nie znaczy to, by w jego życiu nie było zmagania i ofiar, by nie było prób wiary i odważnych decyzji - bo przecież świętość nie może być czymś łatwym. "Czuć w głębi siebie wszelki brud, rozpustę i wrzenie instynktów ludzkich, a jednak trwać ponad tym, nie

zanurzając się - tak jak kroczy się po wyschniętym trzęsawisku, pozwalając unosić się dzięki jakiejś swoistej lekkości [□].

- Była to chyba Metyska. Miała wspaniałe ramiona i tę zwierzęcą piękność mieszaićców o grubych wargach i ogromnych oczach. Była piękna, szalenie piękna. Prawdę mówiąc, pozostawało tylko jedno. Nie uczyniłem tego. Wskoczyłem na konia i odjechałem galopem, płacząc z rozpacz i wściekłości. Ufam, że w dniu sądu, jeśli zabraknie czegokolwiek, co mógłbym ofiarować Bogu - dam Mu niby wiązanek wszystkie te pocałunki, których ze względu na miłość do Niego nie chciałem poznać" (s. 622 n).

Czystość jest możliwa, jeśli jest zbudowana na fundamencie modlitwy. "Jest możliwa, piękna i wzbogacająca, jeśli opiera się na zasadzie pozytywnej: żywej, całkowitej miłości Boga, gdyż tylko ona jedna zaspokoić potrafi ogromną potrzebę miłości, której pełne jest serce człowieka" (s. 623).

Guy de Larigaudie kocha ryzyko, taniec, śpiew. Jest doskonałym pływakiem, narciarzem. Bierze wszystkie radości, ale poprzez wszystko, czego doznaje, co przeżywa, płynnie nieustanny rytm przepelnionej wiarą rozmowy z Bogiem. "Nie mogły zrozumieć piękne cudzoziemki - wyznaje - że nawet przy najbardziej porywającej muzyce tanecznej serce moje dotrzymuje taktu modlitwie i że modlitwa ta jest silniejsza aniżeli ich wdzięk i powab" (s. 624 n). W swojej modlitwie o piękno prosił: "Boże mój, spraw, by siostry nasze - dziewczęta miały harmonijne ciała, by były uśmiechnięte i ubrane ze smakiem. Spraw, żeby były zdrowe i aby dusza ich była czysta, aby były czystością i wdziękiem naszego ciężkiego życia. By wobec nas były proste, macierzyńskie, bez nieszczeroci i kokieterii. Spraw, by nic złego nie wśliznęło się między nas. I żebyśmy - chłopcy i dziewczęta - byli jedni dla drugich źródłem nie upadków, lecz bogacenia się. Między Tahiti i Hollywood - wspomina dalej - na koralowych plażach i pokładach parowców trzymałem w ramionach, w rytmie tańca najpiękniejsze kobiety świata. Nie zamierzałem zerwać żadnego z tych ofiarowujących się czy pałających żądzą zdobycia kwiatów. A przecież nie rezygnowałem z tego dla jakichkolwiek względów ludzkich - dla jednej tylko miłości Bożej" (s. 631).

Mówiąc o Eucharystii, wyznaje: "Codzienna Komunia św. była dla mnie każdego ranka obmyciem się w wodzie życia [□], była pożywnym posiłkiem przed dalszym etapem drogi, była czułym spojrzeniem, które daje odwagę i ufność. Przeszedłem przez świat jak przez ogród otoczony murem. Szukałem przygód na pięciu kontynentach [□], a ja jestem ciągle w zamknięciu. Przyjdzie jednak dzień, gdy będę mógł zaśpiewać pieśń miłości i wesela. Usuną się wszystkie zapory. A ja zdobędę Nieskończoność" (s. 631).

Jak wyglądała modlitwa wiary tego współczesnego świętego? "Patrząc [□] na najbardziej nędzny film - pisał - można [□] modlić się machinalnie: za aktorów, reżysera czy statystów, za publiczność, która się bawi lub nudzi, za swego sąsiada z prawej czy z lewej strony"(s. 628). W modlitwie odnajduje dla siebie moc w trudnych chwilach wymagających tak bardzo wierności wobec Pana. "Przychodzą ciężkie godziny - wyznaje - gdy pokusa grzechu tak mocno i nieodparcie trzyma całe ciało, że tylko machinalnie - brzeżkiem ust i niemal nie wierząc zdolni jesteśmy mówić: Boże mój, mimo wszystko kocham Cię, lecz Ty zlituj się nade mną. I są wieczory, gdy siedząc czy to w głębi kościoła - i nawet nie mogąc się modlić

[☒], umiemy zaledwie powtarzać to biedne zdanie, którego czepiamy się jak deski ratunku: jednakże Kocham Cię, Boże mój.

Ścinając końcem szpicruty chwasty, żując źdźbło trawy, goląc się rano, bez znużenia powtarzać można Bogu, że kocha się Go bardzo. [☐] Śpiewem opowiadać całe swe życie minione i marzenia, które się snuje na przyszłość - i tak mówić do swego Boga. I mówić Mu także, tańcząc z radości w blasku słońca na plaży czy sunąc na nartach po śniegu. Mieć zawsze blisko siebie Boga jak towarzysza i powiernika" (s. 627).

"Tak bardzo przyzwyczałem się do obecności Boga w sobie, że w głębi serca zawsze mam modlitwę, która dochodzi niemal do warg. Ta zaledwie świadoma modlitwa nie ustaje nawet w półśnie, któremu towarzyszy kołysanie pociągu czy pomruk okrętowej śruby, nawet w uniesieniu ciała czy duszy, nawet w gorączce miasta czy napięciu uwagi w czasie pochłaniającego zajęcia. Gdzieś w głębi mnie jest toń nieskończenie spokojna i czysta i nie mogą jej dotknąć ani cienie, ani wiry powierzchni" (s. 625). "Całe moje życie było jednym długim poszukiwaniem Boga. Wszędzie i o każdej godzinie, na każdym miejscu świata tropiłem Jego ślady. Śmierć będzie dla mnie tylko cudownym spuszczeniem ze smyczy" (s. 621).

Rozdz. VI Miłość jako realizowanie się wiary

Przy swym Wniebowstąpieniu Chrystus zapewnił, że pozostanie z nami po wszystkie dni, aż do skończenia świata (*Mt 28, 20*). Pozostał nie tylko w Kościele, nie tylko w uobecniającej Jego zbawcze dzieło Eucharystii, **pozostał też w naszych bliźnich**, z którymi się identyfikuje: "Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili" (*Mt 25, 40*). Dzięki obecności bliźnich w naszym życiu codzienność staje się wyzwaniem dla naszej wiary, bo to wiara pozwala nam patrzeć na świat jakby oczami Chrystusa i dostrzegać ukrywającą się w drugim człowieku obecność Bożą.

Wiara "działa przez miłość" (*Ga 5, 6*) i w miłości znajduje swoje pełne życie, zaprasza do obcowania, do "komunii" z Bogiem i braćmi. Bóg objawia nam swoją miłość (*agape*), którą przyjmujemy przez wiarę, aby ją następnie przelewać na innych. W miłości powierzenie siebie Bogu przez wiarę - powie Jan Paweł II - uzyskuje właściwy charakter i wymiar odwzajemniającego daru.

Agape

Istnieją dwa podstawowe rodzaje więzi między ludźmi i korelatywne do nich dwie koncepcje miłości. Pierwsza, starożytna koncepcja, przekazana nam przez Platona, określa miłość słowem *eros*, koncepcja druga, którą ukazuje chrześcijaństwo, to miłość określona w języku greckim terminem *agape*. Istnieje więc *eros* i *agape*, dwa rodzaje miłości, które leżą u podstaw dwóch różnych więzi między ludźmi. *Eros* platoński to miłość, która kocha to, co uważa za warte miłości. Jest to miłość emocjonalna. Jeżeli ci ktoś czy coś odpowiada, na przykład ze względu na ładny, estetyczny wygląd, jeżeli jest ci miło z kimś czy z czymś być, coś mieć, to wszystko wynika jedynie z twoich czysto naturalnych uczuć i jest platońskim *erosem*. Kochasz coś, co sprawia ci przyjemność, z czym jest ci dobrze. Jest to miłość egocentryczna, ponieważ **chodzi w niej wciąż o ciebie**, o to, żeby **tobie** było przyjemnie.

Miłości tej - mimo jej braków i ograniczeń, mimo jej interesowności i nietrwałości - nie należy potępiać czy niszczyć. Wiąże się ona z porządkiem naturalnym, który pochodzi od Boga, ale naruszony został przez grzech pierworodny. Należy ją oczyszczać i przekształcać w miłość nadprzyrodzoną, tę, która w sposób istotny złączona jest z życiem łaski i zgodnie z Ewangelią oraz myślą św. Pawła stanowi odbicie miłości samego Boga. Ukazuje ją słynny tekst św. Pawła z Listu do Koryntian: "Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. [□] Nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; [□] wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję" (1 Kor 13, 4-7). Taka miłość w greckim oryginale Listu określona jest terminem *agape*. W koncepcji chrześcijańskiej Bóg jest *agape* - miłością, która zstępuje ku człowiekowi i kocha to, co nie jest warte miłości. Jest to miłość spontaniczna, udzielająca się dlatego, że jest miłością. *Agape* to ogarniająca człowieka miłość bezinteresowna. Nam czasami wydaje się, że Bogu trzeba się podobać, zasłużyć na Jego miłość. A przecież On kocha ciebie dlatego, że jesteś Jego dzieckiem, nie dlatego, że jesteś wart. **Agape to miłość stwórcza, miłość, która kocha nie dlatego, że jesteś wart miłości, tylko żebyś był jej wart.** *Agape* pragnie tworzyć w tobie dobro, coraz więcej dobra. Ktoś otrzymując specjalne łaski od Boga dziwi się, dlaczego został nimi obdarzony. A przecież miłość *agape* zstępuje na niegodnych, zstępuje na nas wszystkich, bo wszyscy jesteśmy niegodni i wszyscy potrzebujemy tej miłości stwórczej, stwarzającej dobro. Dramat Boga, który jest miłością, polega na tym, że On nie może rozlewać swojej miłości w pełni, że nie może zalać nią duszy ludzkiej, którą kocha, bez miary. Bóg ciągle poszukuje takich otwartych serc, na które mógłby rozlewać bez miary swoją nieskończoną miłość.

Dla matki, która kocha dziecko, choćby było najbrzydsze, będzie ono zawsze najpiękniejszym dzieckiem, bo to jej dziecko. Czy to ważne, ile masz wad. Może masz ich całe mnóstwo, może bardzo cię przytłaczają, może nie możesz już tego znieść. A przecież **Bóg chce cię ogarniać swoją miłością**, chce w tobie stwarzać miłość, chce na ciebie zstępować, **aby ciebie, grzesznego i niegodnego, uczynić arcydziełem swojej miłości.**

Miłość *agape*, która zstępuje do ciebie z góry, od Boga, i którą przyjmujesz przez wiarę, nie może być w tobie zamknięta. Miłość jako dobro musi się rozlewać, musi być przekazywana. *Agape* to Chrystus, który w tobie żyje i który przez ciebie i w tobie chce kochać innych. Człowiek obdarzony miłością *agape* - miłością bezinteresowną - sam zaczyna kochać, a ściśle mówiąc Chrystus w nim zaczyna kochać innych. *Agape* jest miłością nie tyle emocjonalną, ile miłością woli, która chce obdarzać dobrem. Stworzone przez nią więzi międzyludzkie potrafią przetrwać nawet samą śmierć. Nie jest ważne, kim jest ten drugi - brzydki czy ładny, miły czy niemiły, pełen wad i grzechów czy też nie. Ważne, że miłość chce go kochać, aby mógł on stawać się lepszym. Ta miłość *agape*, która wzrasta w tobie na skutek zstępowania do twego serca Chrystusa, wyraża się często w drobiazgach, w gestach, spojrzeniach. Bardzo ważne jest, abyś tę miłość rozdawał w ciepłe swojego spojrzenia, w akceptacji, w podziwie, w stałym życzliwym przyjmowaniu drugiego człowieka.

Rola uczuć

Agape jest nie tylko miłością stwórczą, jest też miłością tworzącą komunie, wspólnotę międzyludzką. Kontakt między ludźmi to często problem uczuć. Są trzy podstawowe warianty emocjonalnych relacji międzyosobowych. Mogą to być relacje rządzone **uczuciami pozytywnymi**, gdy ktoś jest ci bliski, odpowiada ci, lubisz go, chcesz z nim być. Takich uczuć pozytywnych możemy doświadczać zarówno w stosunku do Boga, jak i do człowieka. Może ci być np. dobrze z Panem Bogiem. Czasami kogoś "roznosi" w kontakcie z Bogiem, są

to godziny, dni, a nawet miesiące. Uczucia pozytywne potrafią zalewać duszę ludzką. W drugim przypadku uczucia pozytywne zanikają, rodzi się pewnego rodzaju **emocjonalna pustka** - nic cię nie ciągnie do określonej osoby. To może stać się nagle albo w formie pewnego procesu, który będzie narastał. Z punktu widzenia psychologii można mówić wówczas o pewnej dezintegracji emocjonalnej. I może być trzeci wariant, ten najtrudniejszy, kiedy pojawiają się **uczucia negatywne**. Uczucie niechęci też może występować zarówno w odniesieniu do drugiego człowieka, jak i w odniesieniu do spraw związanych z Panem Bogiem. To ostatnie występuje często w okresach oczyszczeń. Może cię wtedy coś "wyrzucać" z kościoła, możesz odczuwać niechęć chodzenia do spowiedzi czy Komunii świętej, możesz mieć trudności w kontakcie modlitewnym. Podobnie mogą pojawiać się uczucia negatywne wobec drugiego człowieka. W pewnym momencie ktoś, kto był bliskim ci przyjacielem, zaczyna cię po prostu drażnić i odrzucać.

Ludzkie więzi oparte na uczuciach pozytywnych to więzi naturalne. Tego rodzaju uczucia i więzi mogą rodzić się wśród każdej grupy ludzi, nawet wśród przestępców. Mogą to być wspólnoty koleżeńskie. Często można spotkać ludzi bardzo ze sobą zgranych w sensie więzi naturalnych, zgranych na zasadzie wspólnych interesów. Jednak naturalne uczucia pozytywne są czymś bardzo nietrwałym. Mogą one np. występować na początku małżeństwa, a potem zanikać. Co dzieje się, gdy one zanikają? - Rodzi się kryzys spowodowany narastającą pustką emocjonalną, trudną do zniesienia. W stosunku do Pana Boga będzie to pewnego rodzaju oschłość - nic nie czuję w kontakcie z Bogiem, nic mnie nie ciągnie ani do modlitwy, ani do spowiedzi, ani do Eucharystii. Podobny kryzys pojawia się w związku z zanikiem uczuć do drugiego człowieka, gdy nagle przestaje cię coś ciągnąć do człowieka, który przedtem był ci kimś bliskim. Rodzi się wtedy swoista pustka wobec przyjaciół i znajomych.

I wreszcie sytuacja trzecia, bardzo już trudna, kiedy pojawia się emocjonalna niechęć do spraw Bożych czy też niechęć do drugiego człowieka. W takim przypadku trzeba czasami aż heroizmu, żeby się przezwyciężyć. Ale to właśnie **wtedy, gdy ustaje bądź w jakimś stopniu załamuje się czy przynajmniej zmniejsza więź naturalna, jest szansa na pojawienie się lub pogłębienie więzi nadprzyrodzonej**.

Może być taka sytuacja w małżeństwie, że małżonkowie tak doskonale do siebie pasują, że są jak dwa kawałki rozłupanej cegły, które złożone całkowicie do siebie przylegają. Z punktu widzenia wiary nie jest to ideał. Przecież jest to tylko czysto naturalne zgranie uczuć pozytywnych. Nie jest to jeszcze ta wypracowana miłość chrześcijańska, miłość *agape*. Podobnie jest w przypadku dzieci w rodzinie. One nie muszą być zgrane, i nie o to chodzi, by nie było z nimi problemów. Chodzi o to, by próbowały kochać się mimo swoich wad i odrębności, a nie żeby były dopasowane i zgrane ze sobą.

Kryzys więzi naturalnych

Każda wspólnota, czy to wspólnota małżeńska, czy wspólnota przyjaciół, czy jakiejś grupy, jeżeli opiera się wyłącznie na więzi naturalnej, nie ma większych szans przeżycia i kiedyś, wcześniej czy później, musi albo rozpaść się, albo przejść na wyższy stopień egzystencji. Z punktu widzenia wiary można powiedzieć, że to dobrze, jeżeli w naszym życiu pojawiają się tego rodzaju kryzysy. Dobrze, że nagle ktoś staje się nam mniej miły, mniej lubiany, ponieważ z tym może wiązać się niezwykła szansa. Wezwanie Chrystusa, aby realizować Ewangelię, staje się właśnie wtedy szczególnie aktualne. Tak jest również w relacji z Bogiem, w trakcie oczyszczeń, nieraz gwałtownych, kiedy to nie czujesz więzi z Bogiem, kiedy

wydaje ci się, że Go w ogóle nie kochasz, kiedy cię naprawdę wprost coś odrzuca od Niego, a ty jednak starasz się być Mu wierny. Jakże cenna jest spowiedź wtedy, kiedy nie masz chęci pójść do niej, jak cenna jest Eucharystia, kiedy cię do niej nic nie ciągnie, a ty jednak idziesz, ponieważ wiesz, że On - kochający cię Chrystus - jest tam i czeka na ciebie. Ileż wtedy więcej wkładasz w to swojego wysiłku, **twój dar wzrasta na miarę braku więzi naturalnych**. Jak to dobrze, że pojawiają się między nami kryzysy, że są nieraz nieporozumienia w małżeństwie, że dzieci potrafią czasem pobić się, bo nie pasują do siebie. To jest ta szpara, ta jakaś rysa, która może umożliwić zrodzenie lub pogłębienie się więzi nadprzyrodzonej i nadprzyrodzonej miłości. Tej miłości, która jest dziełem Chrystusa, i która, jeżeli rozrośnie się, trwa do końca. Dopiero taka miłość jest mocna, mocna Chrystusem, mocna Bogiem. Małżeństwo silne Bogiem to małżeństwo, które przeszło tego rodzaju dezintegrację i potrafiło reintegrować się na wyższym poziomie. Błogosławiony każdy, kto przeżył jakąś taką trudną chwilę z Bogiem i nie zdradził Go, i pozostał Mu wierny, ponieważ wtedy jego miłość naprawdę zapuściła korzenie.

Jest w tym wszystkim jakaś wielka nadzieja, zwłaszcza dla tych, którzy martwią się, że jest im nieraz tak ciężko. Drugi człowiek często nie jest łatwy. Niekiedy zdaje się on robić wszystko, by odstręczać nas od siebie, ale to właśnie wtedy jest on dla nas szczególnie łaską, ponieważ niesie ze sobą wezwanie do przejścia ponad więź naturalną ku więzi nadprzyrodzonej, ku *agape*. Z punktu widzenia wiary osoby, które mniej lubimy, są dla nas najcenniejsze, bo stwarzają największą szansę polaryzacji naszych postaw i zobaczenia, że kochać to nie to samo co lubić.

Pozwolić, by Chrystus w nas kochał

Specyfiką miłości chrześcijańskiej jest chrystocentryzm w podwójnym znaczeniu tego słowa. Po pierwsze, Chrystus jest najwyższym i jedynym wzorem miłości. Masz **kochać tak jak On**: "Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem" (J 13, 34). Jednak żebyś mógł kochać jak Chrystus, musisz przez wiarę odkrywać Jego Oblicze, ukazywane w Słowie objawionym. Nie wystarczy teoretyczne poznawanie postaci Chrystusa. Dopiero bowiem wraz ze wzrostem wiary będzie wzrastała w tobie miłość, będzie wzrastała egzystencjalna więź z osobowym ideałem miłości, jakim jest Jezus Chrystus. Przez wiarę, która pozwala ci wsłuchiwać się w objawione Słowo i przyłgnąć do osoby Chrystusa, poznasz Tego, który jest wzorem miłości i zapragniesz kochać tak, jak On umiłował - a On umiłował do końca. Przez wiarę będziesz przyswajał sobie Jego myśli i pragnienia, będziesz myślał jak On, pragnął jak On, kochał jak On.

Po drugie, **miłość chrześcijańska jest miłością Chrystusa w nas**. On jest naszą Drogą, Prawdą i Życiem. Jest tym, który myśli, modli się, żyje w nas i kocha w nas swoją miłością. Od stopnia wiary, pozwalającej ci uczestniczyć w życiu Boga, zależy stopień twojej miłości. Naśladowanie Chrystusa jest nie tyle zewnętrznym wzorowaniem się na Jego czynach, ile przyłgnięciem do Niego przez wiarę, tak by Jego wola stawała się naszą wolą, a Jego życie w nas mogło nieustannie wyrażać się w sposobie naszego życia. Powierzyć się Chrystusowi przez wiarę to przyjmować zstępującą na nas Jego miłość, to pozwolić, żeby On nas kochał, pozwolić, by w nas i przez nas mógł kochać innych swoją miłością. Wiara pozwala przyłgnąć do Chrystusa, powierzyć i oddać się Jemu tak, że staje się ona wtedy jakby jedno z ufnością i miłością. Przenikająca całość chrześcijańskiej egzystencji wiara zawiera bowiem w sobie nadzieję i miłość jako dwie formy swej realizacji.

Kochać kogoś, do kogo czujemy niechęć, nie jest czymś łatwym. Dlatego musimy otworzyć się na Chrystusa i wobec przygniatającej fali uczuć negatywnych poczuć się bezradnym dzieckiem. Musi pojawić się w nas postawa dziecka, bezradnego w obliczu spraw związanych z Bogiem i z ludźmi, z otoczeniem i środowiskiem. Dopiero bowiem taka postawa, postawa ufnej wiary, że Jezus przyjdzie i sam będzie w nas kochał, również tych, których my nie darzymy sympatią, umożliwi nam przejście do miłości *agape*. Ostatecznie przecież w sytuacji, gdy narastają w nas uczucia negatywne albo przynajmniej zanikają uczucia pozytywne, tylko Chrystus potrafi w nas kochać. Nasza wola powinna stawać się dzięki Niemu wolna wobec uczuć, a przynajmniej powinna dążyć do takiej wolności. Jego obecność w nas przynosi nam nawrócenie, uwalnia, obdarza łaską, a tym samym i wolnością. Ta obecność urzeczywistnia się jednak na tyle, na ile istnieje w nas pokora, na ile jesteśmy mali i bezradni przed Bogiem, bo dopiero tacy potrafimy przyjmować przez wiarę miłość Jezusa. W tym sensie pojawiająca się w naszym życiu trudność w relacjach z ludźmi jest szansą otwarcia się nas na łaskę, na miłość Jezusa, który widząc, jak jesteśmy bezradni wobec naszych uczuć - a jednocześnie oczekujący wszystkiego od Niego - zstępuje do nas jako Boska *agape*.

Chrystus zstępujący do twojego serca chce kochać, chce udzielać się innym i pragnąć ich dobra, chce kochać coraz więcej i pragnąć jak największego dobra dla innych, co w świetle wiary oznacza pragnąć ich świętości. Jeżeli kochasz kogoś, troszcząc się jedynie o jego sprawy materialne, doczesne, to musisz uświadomić sobie, że właściwie zabrakło ci autentycznej miłości. Nie wystarczy troska o sprawy życia doczesnego, o wykształcenie, zdrowie, byt materialny. **Kochać w pełni możesz tylko wtedy, kiedy sam zapragniesz świętości i kiedy zapragniesz zaszczebiać to pragnienie innym.**

Nie można kochać człowieka, nie kochając Boga

Z tej prawdy, że to Chrystus kocha w nas drugiego człowieka, wynika, że nie można kochać człowieka, nie kochając Boga. Przecież sam nie potrafisz kochać. To Chrystus w tobie kocha. Kochając Chrystusa i otwierając się na Niego, otwierając się na zstępowanie ku tobie tej Boskiej *agape*, pozwalasz Mu kochać siebie, a przez siebie innych. Twoje otwieranie się na to zstępowanie Chrystusa ku tobie, czy to w sakramentach świętych, czy w modlitwie, pozwala ci kochać innych. **Na ile przyjmujesz Chrystusa, na ile pozwalasz Mu ogarnąć się sobą, na tyle możesz Go udzielać innym.** Kochać drugiego człowieka to udzielać mu Chrystusa. Nie można udzielać tego, czego się nie ma. Im bardziej kochasz Boga i przyjmujesz Go w tej miłości, pozwalając Mu w sobie żyć i działać, tym bardziej jesteś zdolny miłować innych.

Kochać znaczy udzielać się, udzielać dobra innym. Nie wystarczy jednak udzielać jedynie dóbr materialnych. W świetle wiary ważniejsze są dobra duchowe. Jeżeli ich nie udzielasz swoim bliskim, ma wówczas miejsce swoista "kradzież" duchowa, swoista duchowa "krzywda". Przecież oni mają prawo do tych dóbr. Twoje otoczenie ma prawo do tego, byś wzrastając w łasce uświęcającej i w dążeniu do świętości stawał się dla nich czystym kanałem łaski. Twój wzrost w świętości staje się w świetle wiary najcenniejszym darem dla twoich bliskich. Musisz zakwestionować swoją miłość, musisz stanąć w prawdzie i zapytać, czy naprawdę kochasz. Jesteś z pewnością święcie przekonany, że kochasz swoje dziecko, bo nie tylko troszczysz się o sprawy doczesne, ale również modlisz się za nie. Ale przecież wartość i skuteczność twojej modlitwy zależy nie od uczuć, a od stopnia łaski uświęcającej, od stopnia twojej wiary i miłości Boga. Jeżeli nie ma w tobie życia wewnętrznego, jeżeli nie ma w tobie

wzrostu wiary i miłości Bożej, stajesz się dla swego otoczenia "złodziejem" w sensie duchowym.

Matka, która jest "letnią" chrześcijanką i nie przyłączyła się przez wiarę do Chrystusa, powinna uświadomić sobie, że przez to, iż nie ukochała Chrystusa, nie ukochała też w pełni swojego dziecka. Przez to, że nie przyjmuje Komunii św., pozbawia szczególnych łask również swoje dziecko, które jest dla niej skarbem. Nieświadomie okrada je z tych łask, które spływałyby na nie dzięki jej Komuniom św. Każde bowiem uczestnictwo w Eucharystii, przystąpienie do sakramentu pokuty, przyjęcie innych sakramentów i każda modlitwa na mocy "systemu naczyń połączonych", czyli naszego ścisłego powiązania w Mistycznym Ciele Chrystusa, jest zawsze jednoczesnym daniem dobra innym. Na tyle kochasz męża, syna, córkę, rodziców, osoby bliskie czy dalsze, na ile sam nawracasz się ku Bogu, na ile dążysz do świętości i pozwalasz, byś już nie ty żył, ale by żył w tobie Chrystus. On, który jest jedyną miłością i jedynym dobrem, pragnie miłować nas bezgranicznie i ciągle szuka dusz, na które mógłby rozlewać bezmiar swojej miłości. Nie można kochać człowieka, nie kochając Boga. Tak naprawdę drugiego człowieka kochają tylko święci, ci, którzy w pełni otworzyli się na Chrystusa, w których Chrystus w pełni może żyć i kochać.

Samorealizacja w Chrystusie

Psychologia mówi o "ja" idealnym i "ja" faktycznym. Każdy z nas ma jakieś wyobrażenie tego, kim chciałby być, czyj obraz i podobieństwo chciałby w sobie zrealizować. Pragnienia te odzwierciedlają "ja" idealne. "Ja" faktyczne zaś może być czasami tak odstręczające, że niektórzy zrywają się na nie czy wręcz irytują na swoje "ja" faktyczne. Nie jest to postawa właściwa. Dowodzi ona jednak, że człowiek nie chce być takim, jakim jest, że ma swoje "ja" idealne, że pragnie być kimś innym, bardziej sobą.

Jeżeli przez wiarę otwierasz się na Chrystusa, On staje się twoją "drogą i prawdą, i życiem" (J 14, 6). On sam zaczyna wtedy ukazywać ci twoje "ja" idealne i jednocześnie je urzeczywistniać. On sam będzie dokonywał twojej samorealizacji.

W człowieku wierzącym obraz "ja" idealnego będzie doskonalił się wraz z rozwojem życia wewnętrznego, z rozwojem identyfikacji z Chrystusem. Poznawanie Chrystusa i przyłączenie do Niego rodzi bowiem w nas pragnienie utożsamienia się z Nim. Chrystus staje się wtedy naszym osobowym ideałem, naszym "ja" idealnym. Wzrastanie w wierze i łasce powoduje uwyrażnianie się twojego "ja" idealnego, ponieważ wtedy Chrystus udziela ci coraz więcej nadprzyrodzonego światła i coraz pełniej ci się objawia.

Ponieważ wszyscy jesteśmy przeznaczeni na to, "byśmy się stali na wzór obrazu Jego Syna" (Rz 8, 29), dlatego jedynie Chrystus może być naszym **prawdziwym** osobowym ideałem. W miarę więc, jak obraz twojego "ja" idealnego zbliża się do obrazu Chrystusa, **ty zbliżasz się do prawdy**, Chrystus sam staje się twoją drogą i prawdą. On sam też udziela mocy twojej woli, byś mógł na wzór "ja" idealnego kształtować swoje "ja" faktyczne.

Każdy z nas realizuje samego siebie dopiero wtedy, gdy kocha. Ja mogę zrealizować siebie tylko dzięki tym, których kocham. Taka jest ekonomia Boża i taka jest moja struktura psychiczna. Nikt z nas nie może sam siebie zrealizować bez odniesienia do drugiej osoby. Bez tego odniesienia nigdy nie będziesz w pełni sobą. Niekiedy w naszej relacji z drugim człowiekiem wszystko układa się niemal idealnie i wtedy nie widzimy potrzeby heroizmu.

Czasami jednak nasz bliźni potrafi postawić nas w takiej sytuacji, że bez heroizmu pozostawałoby tylko zaprzeczenie miłości. W czasie II wojny światowej ludzie stawiani byli często wobec wezwania do miłości heroicznej - albo ty będziesz bił, albo sam będziesz bity; albo będziesz zabijał, albo sam zginiesz. Były to sytuacje szczególne, ale i w warunkach mniej dramatycznych Bóg niejednokrotnie będzie wzywał nas do miłości za wielką cenę. Wtedy przekonamy się, że nie potrafimy kochać i łatwiej nam będzie zrozumieć głęboki sens słów Chrystusa: "Ja jestem krzewem winnym, wy latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić" (*J 15, 5*) - bez Chrystusa **nic nie możemy uczynić**. To Chrystus jest naszym życiem. Bez Niego stajemy się jak odcięta od winnego krzewu latorośl, która usycha. - Człowiek nie może zrealizować siebie bez Chrystusa.

Samorealizacja każdego z nas dokonuje się na tyle, na ile otwieramy się na Chrystusa, **na ile pozwalamy, by to On sam w nas kochał, by On sam w nas żył**. Gdybyś w pełni otworzył się na Chrystusa, mógłbyś powiedzieć za św. Pawłem: "Teraz już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus" (*Ga 2, 20*). - A Chrystus rzeczywiście ma takie niezwykle pragnienie: **chce kochać miłością właściwą każdemu z nas**; chce mieć tyle twarzy, ilu jest ludzi na ziemi.

Kościół uczy, że nie ma miłości bez krzyża - bym mógł kochać drugiego człowieka, moje "ja" musi zostać ukrzyżowane. Ja jednak nie zgodzę się na to bez łaski. Tylko łaska może mnie do tego uzdolnić. Łaska zaś działa tak, że to sam Chrystus włącza się w moje "chcę", w to ludzkie: "chcę kochać, chcę wybierać dobro". "To Bóg jest w was sprawcą i chcenia, i działania zgodnie z Jego wolą" (*Flp 2, 13*).

Nasza wola, dzięki której możemy wybierać dobro i miłość, jest słaba. Wola człowieka jest za słaba, by wybierać to, co trudne, co wymaga przekreślenia własnego egoizmu. Jeżeli ktoś jeszcze tego nie doświadczył, to z pewnością kiedyś przekona się, że naprawdę nie potrafi kochać, że nie potrafi obumierać sobie - a tylko przez miłość każdy z nas staje się w pełni człowiekiem.

Miłość to akt woli, to nasza chęć obdarzania innych tym, co dobre. Wiemy, że każdy z nas może chcieć czegoś np. na "5, 70 czy 100 procent". Jeżeli jest w nas pragnienie realizowania miłości na "10 procent", to za mało, by tworzyć międzyludzką harmonię, by mógł dokonywać się proces **integracji osób**; za mało, by kochać tak, jak Chrystus kochał. Moje "chcę" może jednak być coraz bardziej potęgowane łaską Chrystusa, tak że zacznę chcieć realizować Chrystusowe przykazanie: "abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem" (*J 13, 34*) już nie na "10 procent", ale na 70, czy nawet więcej. Tym objawia się życie Chrystusa w nas.

Odkrycie Chrystusa w drugim człowieku w niczym nie pomniejsza wartości bliźniego. Kochając Chrystusa, kocham jednocześnie tego człowieka. To dzięki Chrystusowi drugi człowiek zaczyna nas fascynować, bo staje się coraz lepszy, coraz piękniejszy. Chrystus, włączając się w jego wolę, sprawia, że ten człowiek coraz bardziej pragnie dobra, że jest w nim tego dobra coraz więcej. Jest to jego dobro, bo przyjęta łaska pozostaje dobrem człowieka, choć jednocześnie jest to dobro Chrystusa. Chrystus włącza się w nasze życie w sposób tak doskonały, że to **On kocha drugiego człowieka moją miłością, a ja kocham Jego miłością**. Nie ma tu jakiegoś rozdzielania ni alienacji, przeciwnie, dzięki temu, że Chrystus jest we mnie, ja staję się sobą - kocham i wzrastam w miłości.

Jeżeli Chrystus staje się moim "ja" idealnym, dokonuje się moja samorealizacja. I odwrotnie, gdy grzeszę, kiedy mówię Chrystusowi - "nie", ograbiam siebie z własnego "ja", staję się coraz mniej sobą. Grzech i zamknięcie na Chrystusa wyobcowuje mnie. Jeżeli zamykam się na Chrystusa, staję się smutny, przygnębiony, zły, a przecież nie takim chcę być, nie takie jest moje "ja" idealne. To Chrystus jest "ja" idealnym twoim, moim, każdego z nas - dlatego przybiera tyle twarzy. Jednocześnie to On je w każdym z nas realizuje. Ta wspaniała rzeczywistość jest potwierdzeniem słów Chrystusa: "Ja jestem drogą i prawdą, i życiem".

Nasza samorealizacja dokonuje się przez życie w prawdzie i podjęcie Bożego wezwania do miłości. Bez życia w prawdzie nie można mówić o miłości w sensie nadprzyrodzonym. Ta bowiem miłość jest miłością samego Chrystusa w nas, a On żyje w nas na tyle, na ile my, widząc siebie w prawdzie, czyli poznając własną słabość, przyzywamy Go, na ile chcemy, by On sam był naszym życiem. Człowiek sam z siebie nie jest zdolny do dobra nadprzyrodzonego. Kościół nie mówi, że natura ludzka jest zepsuta, niemniej powinniśmy mieć świadomość, że my sami z siebie nie jesteśmy zdolni do dobra nadprzyrodzonego, że nie potrafimy kochać. Sami z siebie nie jesteśmy zdolni do podjęcia tego niezwykle trudnego dla nas Bożego wezwania, zwłaszcza wezwania do miłości bliźniego, która niekiedy wymaga od nas wręcz heroizmu. Chrystus w rozmowie z młodzieńcem powiedział: "Czemu nazywasz Mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg" (*Mk 10, 18*). Wszystko, co jest dobre w nas, pochodzi od Boga. - "Cóż masz, czego byś nie otrzymał?" (*1 Kor 4, 7*).

Do tych słów musimy stale powracać, bo nie można mówić o samorealizacji w Chrystusie bez życia w prawdzie. Chrystus powiedział o sobie: "Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie" (*J 18, 37*). **Bóg jest** jakby w sposób szczególny **wyczulony na prawdę**. Antropomorfizując można powiedzieć, że prawda to "słaby punkt" Boga. Jeżeli masz upodobnić się do Chrystusa, nie może być w tobie zakłamania. Chrystus, który utożsamia się z prawdą, jest nieustępliwy wobec fałszu i pychy, wobec przywłaszczania tego, czego On sam w nas dokonuje. Im większe Boże łaski przypisujemy sobie, tym większa okazuje się nasza głupota. Bóg, broniąc nas przed tym, będzie musiał ograniczać swoje łaski.

Fundamentem naszej samorealizacji jest pokora. Jest ona dlatego tak ważna, że **człowiekowi, który niczego sobie nie przywłaszcza, Bóg gotów jest dać wszystko**. Jeżeli żyjesz w prawdzie i uznajesz, że bez Chrystusa nic nie możesz, to tak jakbyś przyzywał Go: Przyjdź i żyj we mnie. - I dopiero wtedy Chrystus przychodzi.

Żeby nie przypisywać sobie działania Chrystusa, staraj się możliwie często mówić: To dzięki Tobie, Chryste, ja jestem sobą; to dzięki Tobie mój współmałżonek jest taki fascynujący, dzięki Tobie ludzie, których spotykam, są tacy dobrzy. Będzie to wyraz pokory. Wszystko, co fascynuje mnie w drugim człowieku, jest i Chrystusowe, i jednocześnie tego człowieka. Gdybyśmy uważali, że ktoś, kto nas fascynuje dobrem nadprzyrodzonym, jest sam z siebie taki godny podziwu, byłoby to uleganie złudzeniu. Każdy z nas kiedyś przekona się, jak bardzo jest słaby i grzeszny. Tymczasem Chrystus właśnie z nas, z ciebie chce stworzyć arcydzieło, które będzie fascynowało innych, i będziesz wtedy coraz bardziej stawał się sobą, a jednocześnie będzie w tobie wzrastał Chrystus.

Każdy ze świętych w inny sposób zrealizował w sobie obraz Chrystusa. Czymś niezwykłym jest to, że mamy tak różnych świętych. Mamy naszą królową Jadwigę, która była

prawie jak arbiter elegantiarum - miała taki szczególny i to nie tylko estetyczny smak, fascynowała inteligencją, poziomem umysłowym i duchowym. I mamy św. Benedykta Labres, który umierał jako nędzarz i żebrak. A św. Kamil de Lellis był w młodości karciarzem, zabijaką, prowadził życie pewnie gorsze niż żołnierze wyrzuceni z francuskiej legii cudzoziemskiej. Kiedyś, kiedy był już nałogowym alkoholikiem, zobaczył zakonnika i nagle pojawiła się w nim iskra nadziei - przecież i ja mogę być innym. Kiedy później znów przegrał w karty i zmuszony do żebrania zakrywał sobie chustką twarz, ożyło w nim pragnienie, by z tym wszystkim zerwać, zrozumiał, że to, co robi, jest poniżające, że on nie jest sobą, że jest karykaturą człowieka. Zaczął marzyć, żeby być normalnym człowiekiem. Postanowił się nawrócić. I wtedy Chrystus dokonał jego samorealizacji, uczynił z niego nie tylko normalnego człowieka, ale arcydzieło, doprowadził go do świętości.

Tak postępuje z nami Chrystus, ponieważ On chce stawać się dla nas **wszystkim** - naszą miłością, naszą drogą, prawdą i życiem.